Nawrocki udaje Trumpa • Żurek na ostro • Zabójstwa łowieckie • Mit słodyczy fit
Gdzie wyrzucić odzież • Dzieje grzechu: księża i homoseksualizm

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY 1

POLITYKA.PL

ILUSTRACJA ADAM WÓJCICKI

TYGODNIK, nr 36 (3530), 3.09–9.09.2025, cena 13,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195
USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

ZAKAZAĆ UCZNIOM SMARTFONÓW?

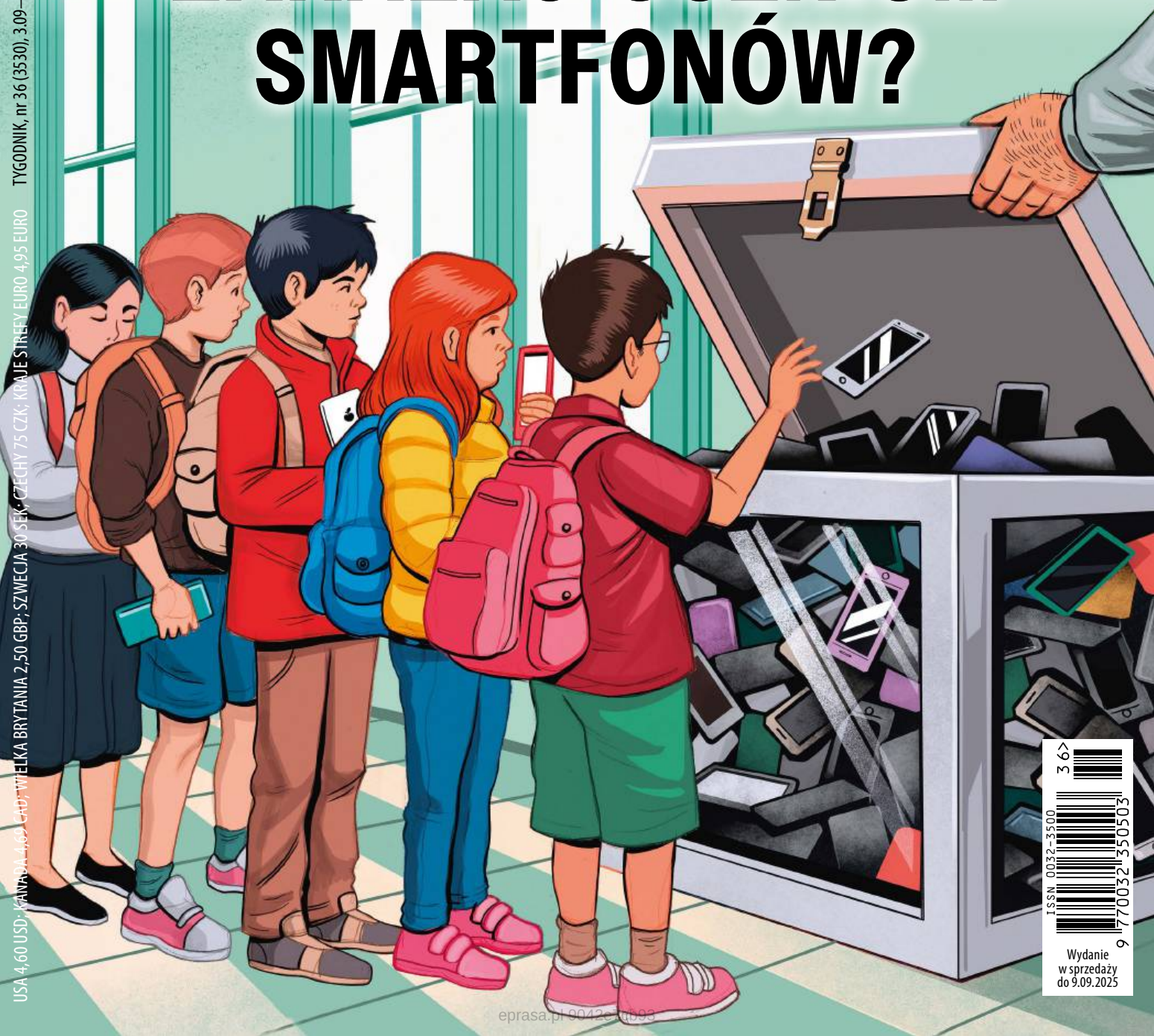

ISSN 0032-3500
Wydanie w sprzedaży do 9.09.2025

eprasa.pl 9042e7d093

ski team®

SKITEAM.PL | ROWERYCUBE.PL | SPYDER.PL

CUBE NAJNOWSZA KOLEKCJA 2026

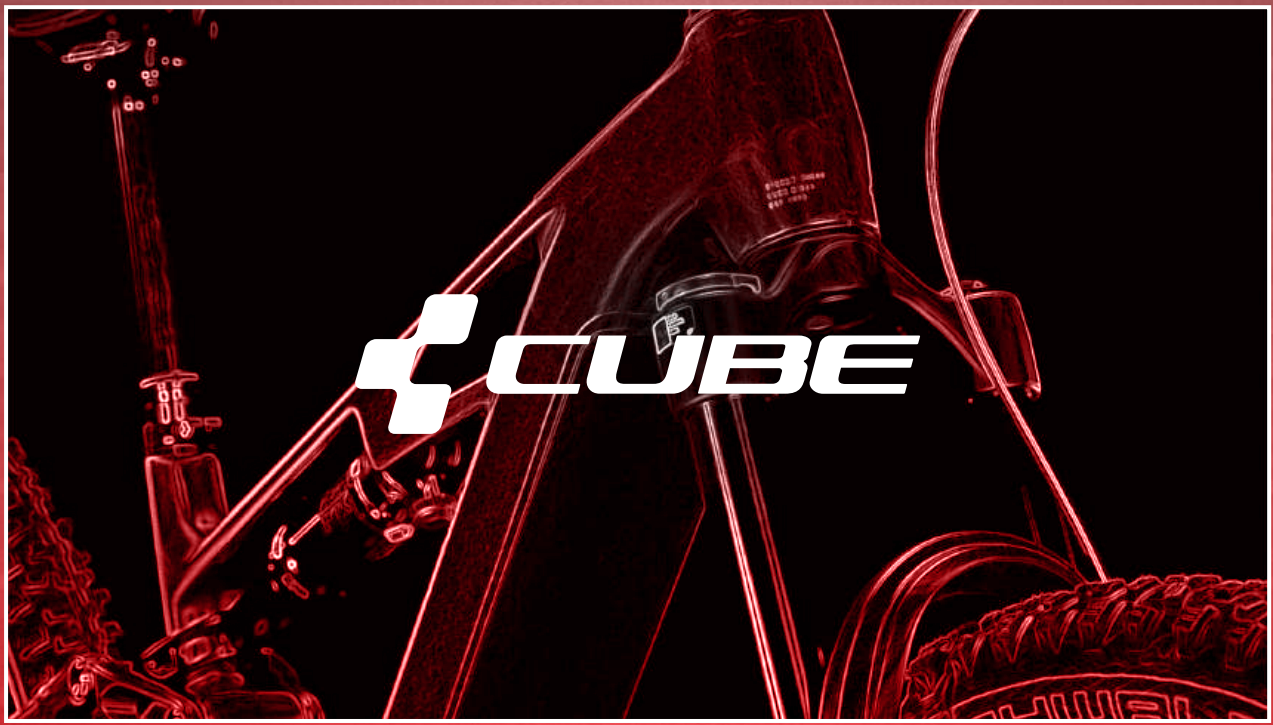

PREMIERA NAJNOWSZEJ KOLEKCJI ROWERÓW CUBE

Sprawdź w sklepach Ski Team oraz na skiteam.pl

Godziny otwarcia sklepów Poniedziałek - Sobota: 12:00 - 20:00

Warszawa: ul. KOR 36/38, ul. Toruńska 107b, Poznań: ul. Bułgarska 117a, Katowice: ul. Sportowa 20, Wrocław: ul. Grabiszyńska 167

Sprawdź na skiteam.pl

eprasa.pl 9042e7cb93

© FILIP NAUMIENKO/REPORTER, BRANDON BELL/GETTY IMAGES

16, 48
Karol, który chce zostać Donaldem

Temat tygodnia

12 Joanna Cieśla **Smartfony w szkole: czy należy ich zakazać?**
13 Rozmowa z prof. **Jackiem Pyżalskim**, specjalistą od edukacji

Polityka

16 Rafał Kalukin **Burzliwy start prezydenta Nawrockiego**
19 Ewa Siedlecka **Misja ministra Żurka**
22 Anna Dąbrowska **Czy miliony rozdawane przez Polską Fundację Narodową da się odzyskać?**

Społeczeństwo

26 Katarzyna Kaczorowska **Myśliwi strzelają na oślep**
29 Paweł Walewski **Słodycze fit: kolejny mit?**
32 Rozmowa z dr. **Bartoszem Kiciorem** o tym, jak zwiedzać, a nie zaliczać, i dlaczego coraz trudniej wrócić z urlopu wypoczętym
36 Paweł Walewski **Niebezpieczni pacjenci**

Rynek

39 Joanna Solska **Jak państwo wspiera rodziny i czy można lepiej**
42 Cezary Kowanda **Nowe zasady segregacji śmieci: co robić z odzieżą**
45 Marcin Rotkiewicz **Chińska sztuczna inteligencja**

Świat

48 Tomasz Zalewski USA **Nawrocki w Białym Domu**
51 Aleksander Kaczorowski CZECHY **Afera z kryptowalutami demoluje czeską politykę**
54 Agnieszka Lichnerowicz UZBEKISTAN **Piękny i zniewolony**

Nauka/projektpulsar.pl

58 Marta Alicja Trzeciak **Kuracja muzyką**
61 Marcin Rotkiewicz **Robot w szpitalu**
64 Przemek Berg **Czym jest Proba 3 i jaki udział w niej mają Polacy**

Historia

66 Prof. **Richard Overy** o tym, jak druga wojna światowa zrodziła się z geopolitycznych fantazji
69 Rozmowa z prof. **Krzysztofem Skwierczyńskim** o tym, skąd się wziął celibat w Kościele

Kultura

76 Reż. **Ari Aster** o „Eddington" i skłóconej Ameryce
79 Piotr Sarzyński **Muzeum Bitwy Warszawskiej 1920 r.: bez cudu…**
82 Dorota Szwarcman **Za kulisami Konkursu Chopinowskiego**
85 Rozmowa z **Ewą Wójciak** o Teatrze Ósmego Dnia i życiu na kontrze
88 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Ludzie i style

94–97 • **Jak się nosi polityk** • **Inteligentne pluszaki** • **Znieżywieni** • **Galeria uliczna na Dżerbie** • **Kursy winiarskie**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia • **72** Afisz • **89** Sulej • **90** Orliński • **91** Chutnik i Plebanek • **92** Mizerski • **93** Do i od redakcji • **98** To jeszcze nie koniec

DRODZY CZYTELNICY!

Nasz tygodnik możecie teraz też nabyć w sklepach sieci Biedronka.
Polecamy się Państwa uwadze przy codziennych zakupach i zapraszamy do lektury!

eprasa.pl 9042e7cb93

Karolum veto

Mariusz Janicki

Dynamicznie rozwija się rozgrywka między rządem a prezydentem Nawrockim. Jego kolejne weta – już siedem, dlatego zaczęto mówić o nowym liberum veto – mają zepchnąć obóz władzy do trwałej defensywy. Wizyta Nawrockiego w Białym Domu (w atmosferze epokowego wydarzenia), a także zapowiedzi własnej polityki międzynarodowej mają wzmocnić wrażenie o podrzędności rządu wobec głowy państwa (więcej o wizycie s. 48). Obok stałych dotąd motywów atakowania Tuska pojawił się nowy wątek: „zrujnowanego budżetu", „monstrualnego deficytu", „rozpaczliwych podatków" nakładanych na Polaków, aby „ratować polityczny interes Tuska" itp. Taki zapewne będzie przekaz najbliższych tygodni, bo decyduje się właśnie budżet na przyszły rok (termin złożenia to koniec września).

Jak przewidywaliśmy, szykuje się pojedynek między tzw. dużym i małym pałacem na wzajemne odrzucanie projektów oraz rywalizacja, kto bardziej wiarygodnie dla opinii publicznej uzasadni swoje odmowy. Etapem tej walki była również pierwsza Rada Gabinetowa, podczas której prezydent Nawrocki mówił o potrzebie „zaktualizowania naszych zobowiązań i programów działania", czyli oczekuje niejako uzgadniania programów – prezydenckiego i rządowego. Można powiedzieć, że w takiej wersji pojawia się jeszcze jeden „koalicjant". Premier Tusk jednak odpowiedział, że „Rada Gabinetowa to nie jest substytut rządu" ani „klub dyskusyjny", a ma cel tylko informacyjny, i w sumie z tego starcia wyszedł z tarczą (więcej o Radzie Gabinetowej s. 7). Takich starć będzie jednak więcej, bo to szerszy proces (więcej o Nawrockim i jego wzorowaniu się na Trumpie s. 16).

Ostatnie wydarzenia pokazują, że współistnieją dwie tendencje: szczery, ale i marketingowo sterowany triumfalizm prawicy oraz totalna krytyka Tuska i Platformy, także ze strony liberalnej. Atakowanie głównej partii rządzącej i jej lidera stało się bardzo łatwe, wręcz rutynowe: błędy są oczywiste, szanse zmarnowane, komunikacja społeczna puszczona, przekonanie o nieuchronnym zwycięstwie prawicy w 2027 r. – powszechne. Ale też słychać pierwsze głosy otrzeźwienia. W końcu Platforma jest nadal nie do zastąpienia w roli największej partii rządzącej, wciąż ma te same ok. 30 proc., które miała w październiku 2023 r., mimo tylu wpadek, głupstw i rozczarowań swojego elektoratu. Nastrój nieuchronnego upadku bierze się głównie z tego, że to partia Hołowni i PSL szorują po dnie sondaży, zazwyczaj wyraźnie poniżej progu wyborczego, czyli nie są w ogóle uwzględniane w podziale sejmowych mandatów.

Mówi się, że Tusk nie pozwalał na realizację pomysłów koalicjantów, że zdominował cały układ, a mniejsi partnerzy na tym toksycznym związku stracili. Ale po pierwsze, można zapytać, jakie to były te efektowne koncepcje Hołowni czy Kosiniaka-Kamysza, dzięki którym obie ich partie poszybowałyby w sondażach, a na które Tusk się nie zgodził? Z drugiej strony koalicjanci pogrążyli obietnice Platformy i Lewicy w kwestii aborcji czy związków partnerskich, za co największe gromy spadły na Tuska. A te projekty miały większy społeczny rezonans niż mniej lub bardziej niszowe, nawet jeśli sektorowo jakoś istotne, postulaty centroprawicowych partnerów koalicyjnych. Może więc nadszedł czas, aby wicepremier i marszałek Sejmu zajęli się reanimacją własnych ugrupowań, a nie narzekaniem na Platformę, że jej tak słabo idzie. Co nie zmienia faktu, że partia Tuska w dużej mierze zmarnowała polityczny kredyt, jaki uzyskała w 2023 r., a główną odpowiedzialność jako szef całości ponosi premier Tusk. Ale PiS, choć miał Platformę na tacy, to też nie taki orzeł.

O tym, że sytuacja nie jest tak jednoznaczna, świadczy to, że Jarosław Kaczyński specjalnie nie tryska humorem i niemal w każdym swoim wystąpieniu, jak niedawno w Gdańsku, stara się hamować triumfalizm swoich ludzi. Bo tak naprawdę całe „rumakowanie" PiS, radosne przebieranie nogami w oczekiwaniu na zemstę, wisi na Konfederacji. Sam PiS w sondażach nie zyskał nic od 2023 r., a wręcz stracił kilka punktów, i to mimo „najgorszych rządów w historii", czyli władzy Tuska. Ma mniej więcej tyle, ile układana już w trumnie Platforma, ale to niby PiS jest na niesamowitej historycznej fali. To jednak fala pod osobistą kontrolą Mentzena, a Konfederacja też już nieźle falowała: przed wyborami w 2023 r. miewała 16 proc., skończyła na 7 proc. Teraz znowu ma kilkanaście procent, ale ile będzie miała w 2027 r., nikt nie może dzisiaj przewidzieć. Jeśli zaś chodzi o Brauna, to Kaczyński sam powiedział, że alians z nim jest niemożliwy, ponieważ Amerykanie się na to nie zgodzą. Kaczyńskiemu nie chodzi rzecz jasna o antyukraińskość czy prorosyjskość kręgów Braunowej Korony, bo to dla Trumpa raczej nie jest problemem, ale o antysemityzm i wrogość wobec Izraela, czego amerykański prezydent nie toleruje. Chyba że w desperacji Kaczyński pominie opinię USA albo każe Braunowi taktycznie milczeć, co może być jednak skrajnie trudne.

Przy remisie na górze cała potęga prawicy polega więc na tym, że Konfederacja – którą zresztą Kaczyński chce za wszelką cenę osłabić, z Mentzena zaś nieustannie drwi – ma 12–13 proc., a główny dzisiaj partner Platformy: Lewica – ok. 6–7 proc. Na takim dystansie rozgrywa się różnica między entuzjazmem prawicy a depresją rządzących. Trudno liczyć na odrodzenie formacji Hołowni czy jakieś fajerwerki ludowców, ale Lewica mogłaby się jeszcze ogarnąć i zawalczyć o barierę 10 proc., gdyby wreszcie znalazła atrakcyjną agendę, np. w mieszkalnictwie, ochronie zdrowia – co jest w badaniach na topie społecznej ważności – potrafiła to obudować marketingowo, i gdyby Tusk (w interesie całego obozu władzy) nie stawiał przeszkód. Samej Platformie będzie jeszcze trudniej niż PiS dociągnąć do 40 proc. poparcia. Szykuje się gra na wyniki junior partnerów, a rezultat zależy od politycznych talentów obu stron. I jest wciąż daleki od rozstrzygnięcia.

eprasa.pl 9042e7cb93

Albatros travel

Wielki rejs na **Antarktydę** – Siódmy Kontynent

Prawdziwa ekspedycja morska najnowszym statkiem Albatrosa, Ocean Albatros – 15 dni z polskim pilotem (dla grup powyżej 10 osób).

Latem na półkuli południowej Albatros Travel organizuje rejsy na Antarktydę, gdy panują najlepsze warunki pogodowe, a zwierzęta – foki, pingwiny i ptaki – są wyjątkowo aktywne. Podróż odbywa się na statku Ocean Albatros, przystosowanym do ekspedycji i mieszczącym tylko 169 gości. Rejs łączy komfort z możliwością zejścia na ląd, spacerami po Szetlandach Południowych i Półwyspie Antarktycznym oraz obserwacją wielorybów. Uczestnicy w małych grupach odkrywają kolonie pingwinów, stacje badawcze i pływają zodiakami między górami lodowymi.

15 dni
Wylot z Warszawy
20/01 2026

5/5

54.998,-

NOWOŚĆ

Wyspy Owcze – zielony raj

Zapraszamy do krainy owiec i maskonurów, z soczyście zielonymi wzgórzami, urokliwą stolicą Thorshavn, majestatycznymi klifami Vestmanna i najpiękniejszymi krajobrazami.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa - Wyspy Owcze. Przyjazd do Thorshavn i zakwaterowanie w hotelu. **Dz. 2** Thorshavn. Rejs łodzią pośród majestatycznych klifów Vestmanna i spacer po Thorshavn. **Dz. 3** Thorshavn. Wycieczka fakultatywna „Atrakcje Północy"- 6 wysp w jeden dzień" lub czas do własnej dyspozycji w Thorshavn. **Dz. 4** Thorshavn. Całodniowa wycieczka po wyspie Eysturoy z fascynującą przyrodą i historią. **Dz. 5** Wyspy Owcze - Warszawa. Wizyta w wiosce Gásadalur i wodospad Múlafossur, widok na strome klify Tindhólmur i Drangarnir. Powrót do Polski.

5 dni | Wyloty z Warszawy 12/05, 17/06, 03/07, 15/07, 10/08 2026 | 7.998,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL33**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty resjowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 9042e7cb93

Katastrofa F-16: żałoba zamiast święta

Na ten weekend lotnicza Polska i spora część Europy szykowały się dwa lata. Zespoły akrobacyjne, polskie i światowej sławy Red Arrows z brytyjskiego RAF-u, dziesiątki samolotów w powietrzu i na ziemi, wystawa sprzętu wojskowego, setki tysięcy odwiedzających. To miały być najważniejsze dni Radomia i prawdziwe lotnicze święto – po tym symbolicznym, przypadającym chwilę wcześniej, 28 sierpnia. Ale tego właśnie dnia po godz. 19 radość zmieniła się w dramat, a święto w żałobę. W czasie pierwszej próby przed planowanym na sobotę i niedzielę występem rozbił się myśliwiec F-16, pilotowany przez mistrza pilotażu pokazowego, **mjr. Macieja Krakowiana** z 31. Bazy Lotnictwa Taktycznego w Poznaniu-Krzesinach. Jego Jastrząb o numerze 4056, w charakterystycznym szaro-szarym tygrysim malowaniu, uderzył w drogę startową z dużą szybkością, powodując wybuch i pożar paliwa. Samolot właśnie kończył figurę zwaną pętlą, ale zabrakło mu miejsca na powrót do lotu poziomego. Pilot nie użył fotela wyrzucanego, zginął na miejscu.

12-minutowy pokaz Tiger Demo Team ze SLAB-em (lotniczy *call-sign* pilota) za sterami F-16 miał być kulminacją sobotniego wieczoru i perełką niedzielnego popołudnia. Jeszcze w przededniu tragedii oficer ćwiczył „na sucho", chodząc po płycie lotniska i pokazując dłońmi figury akrobacji. W czwartkowy wieczór nie pomogło 17 lat doświadczenia ani renoma jednego z najlepszych w poznańskiej „tygrysiej" eskadrze. Zabrakło ułamków sekund i kilku metrów. Siły Powietrzne straciły doświadczonego pilota i instruktora, który mógł przekazać swoje umiejętności kilkudziesięciu adeptom. Samolot – niby do odkupienia – to też kosztowny ubytek: z zaledwie 48 polskich F-16, które niemal codziennie muszą chronić polskie niebo przed zagrożeniem ze wschodu.

Pierwsza katastrofa F-16 jest szokiem, bo przez niemal 20 lat służby tych maszyn, ich pilotów i obsług naziemnych nie imały się zwyczajne awarie i wypadki. To było lotnicze szczęście, ale i dowód opanowania systemu F-16, najbardziej skomplikowanego z wprowadzonych po wejściu Polski do NATO. Na tym tle najbardziej niepokoi to, że ledwie rok temu wydarzył się bardzo podobny wypadek na próbie do pokazów. Wówczas również zginął doświadczony pilot szkolnego odrzutowca. Ale fani lotnictwa nie chcą rozliczeń. Pieniądze zwrócone za bilety chcą przekazać rodzinie mjr. Krakowiana.

Ujawnione przez TVN24 fragmenty nagrań radiowej komunikacji radomskiej wieży z samolotami biorącymi udział w próbach do pokazu obrazują chaos i brak orientacji obsługi naziemnej w tym, co działo się w powietrzu. W pewnej chwili przed F-16 miał przelecieć FA-50, a wieża nie wiedziała, do kogo mówi. Błędy łączności trzeba rozliczyć, ale to nie one wywołały tragiczne w skutkach zniżanie na włączonym dopalaczu, co nie dało pilotowi F-16 szans na wyprowadzenie maszyny z nurkowania. Do wyjaśnienia MON wstrzymało loty pokazowe samolotów wojskowych, a F-16 mają wykonywać tylko zadania rozpoznawcze i przechwytywać wrogie statki powietrzne. (MŚ)

Gruzini non grata

Gruzini to kolejna nacja, która jest na szybkiej ścieżce do wypadnięcia z uproszczonej procedury wjazdu i pracy w Polsce. Kilkanaście dni temu Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej skierowało do konsultacji projekt rozporządzenia do ustawy o warunkach dopuszczalności powierzenia pracy cudzoziemcom na terenie RP. To świeża ustawa, ale dotyka starych spraw, czyli uproszczonej procedury zatrudniania obcokrajowców. Pomysł z uproszczoną procedurą przez lata zgłaszali rolnicy, a później inne branże. W efekcie od 2014 r. Ukraińcy, Białorusini, Mołdawianie, Gruzini, Armeńczycy i Rosjanie mogli podejmować w Polsce pracę na tzw. oświadczenia i nie przechodzić ciągnącej się miesiącami ścieżki przez urzędy wojewódzkie. W ten sposób pracę w Polsce świadczyło kilkaset tysięcy cudzoziemców. Po agresji na Ukrainę z procedury wypadli Rosjanie.

Wygląda na to, że za chwilę ich ścieżką podążą Gruzini. Ministerstwo po prostu nie uwzględniło ich w nowej wersji rozporządzenia. Wygląda na to, że zmiana miała nastąpić po cichu. Ale nagłośniła ją Konfederacja Lewiatan, której prawnicy twierdzą, że godzi w polski biznes. Ministerstwo wypowiada się wstrzemięźliwie. Głównie ze względu na to, że rękoma MRPiP państwo załatwia kłopoty innych resortów. Przede wszystkim MSWiA, bo tak się składa, że Gruzini mają „nadreprezentację" w liczbie popełnianych przestępstw. – *Zwalczanie przestępczości wśród tej narodowości jest niezwykle trudne ze względu na język. Nawet z podsłuchami jest problem, bo trudno znaleźć tłumaczy. Nie pomaga również klanowa struktura tego społeczeństwa. Oni po prostu nie współpracują z wymiarem sprawiedliwości* – mówi prokurator proszący o anonimowość.

Gruzini stosunkowo szybko weszli w Polsce w handel narkotykami. Kolejne paragrafy, z którymi są kojarzeni, to te za rozbój. W efekcie, jeśli chodzi o cudzoziemców osadzonych w polskich więzieniach, Gruzini są drugą nacją po Ukraińcach. Obecnie przebywa w więzieniach 325 Gruzinów. Tyle że w sumie według ZUS legalnie pracuje ich w Polsce 26,5 tys., a Ukraińców – 818 tys. Kolejne 2,6 tys. Gruzinów poddano procedurze ekstradycyjnej.

Zła sława za Gruzinami ciągnęła się już od kilku lat. Ale w uproszczonej procedurze byli niejako na zachętę. Polska próbowała przyciągać ten kraj do zachodnich wartości. Po tym, jak nowe władze Gruzji ostentacyjnie zwróciły się ku Rosji, nawet w MSZ skończyła się cierpliwość. W Gruzji ciągle jest ulica Lecha Kaczyńskiego. Ale to chyba jedna z ostatnich pamiątek dobrych relacji polsko-gruzińskich. (JULL)

eprasa.pl 9042e7cb93

Rada, rada i po radzie

Karol Nawrocki w krótkiej przerwie między wetowaniem ustaw (siedem w niecały miesiąc, idzie na rekord) zwołał na 27 sierpnia **Radę Gabinetową**. To rada ministrów obradująca pod przewodnictwem prezydenta w sprawach szczególnej wagi; organ ten nie ma kompetencji rządu i jest ciałem konsultacyjno-doradczym. Punkty programu były trzy: stan finansów państwa tuż przed przyjęciem przez rząd budżetu, inwestycje (CPK i elektrownie atomowe) oraz umowa UE z Mercosur, której Polska – z uwagi na interes rolników – się sprzeciwia, ale ma ograniczone możliwości jej zablokowania. Dobór tematów był nieprzypadkowy; Nawrocki chciał wykazać, że rząd nie radzi sobie z budżetem, a w sprawie CPK i elektrowni punktował opóźnienia oraz dowodził, że jego inicjatywa dotycząca portu ma szersze poparcie i bierze pod uwagę interesy nie tylko metropolii, lecz również mniejszych miast.

Tusk replikował, że po PiS „odziedziczyliśmy sytuację bliską stagnacji, a to wpływa na kondycję budżetu, deficyt i dług", przypomniał dane o rekordowym w Unii wzroście gospodarczym i spadającej inflacji. W kontekście CPK przekonywał, że „my nie opowiadamy, my robimy" i dodał, że wydatki na inwestycje wzrosły z 50 do 100 mld zł rocznie. Nawrocki dopytywał z troską, które obietnice koalicji są aktualne i oferował, że wyśle premierowi swój program. Kpił z ministra finansów Andrzeja Domańskiego, ironicznie dziękując mu za niewypłacanie subwencji dla PiS, co zaktywizowało wyborców do wpłacania pieniędzy na jego kampanię.

Rozbieżności nie brakowało, ale rozmowa była cywilizowana; w części zamkniętej dyskusja zrobiła się nawet spokojniejsza. Konkluzje? W zasadzie wspólne stanowisko w sprawie umowy z Mercosur (ale z perspektywą przerzucania się odpowiedzialnością w razie fiaska) oraz brak zbliżenia w kwestiach budżetu i inwestycji.

Nie o konkretne ustalenia jednak chodziło. Nawrocki wykorzystuje dostępne narzędzia, by sprawiać wrażenie, że 6 sierpnia to on przejął władzę; chce być zwierzchnikiem rządu i w zasadzie jednoosobowo decydować o kształcie ustaw. Tusk ma się z nim konsultować w sprawie projektów, bo będzie weto. Jeśli spojrzymy na całokształt aktywności prezydenta – weta, inicjatywy ustawodawcze, retorykę – to widać, że podjął próbę wprowadzenia zmiany ustrojowej. Stara się prowadzić politykę wewnętrzną (w tym gospodarczą) i międzynarodową, choć konstytucja daje pod tym względem zdecydowanie więcej narzędzi rządowi.

I te próby Nawrockiego – po początkowej euforycznej fazie – niekoniecznie się powiodą. Tusk już na Radzie Gabinetowej mówił, że to nie jest substytut rządu ani parlamentu oraz zapowiedział, że w reakcji na weto ustawy wiatrakowej załatwi sprawę rozporządzeniem. Później była udana konferencja prasowa kilkorga ministrów, którzy odpowiadali na krytykę prezydenta i przedstawiali swój dorobek. I tak, paradoksalnie, efektem antyrządowych zabiegów Nawrockiego może być sprawniejsze działanie i lepsza komunikacja rządzących.

WOJCIECH SZACKI

Lex Kamilek do poprawki

Siódmą ustawą, którą Karol Nawrocki zawetował, jest nowelizacja tzw. ustawy Kamilka. Prezydent powoływał się na zastrzeżenia, które zgłaszała rzeczniczka praw dziecka Monika Horna-Cieślak. I rzeczywiście, ustawa miała słabe punkty. Osoby skazane za przestępstwa seksualne lub np. zabójstwo wciąż mogłyby mieć kontakt z dziećmi, ponieważ nowela znosiła obowiązek składania zaświadczeń o niekaralności przez wizytujących w szkołach pracowników uczelni wyższych i organizatorów szkolnych praktyk. Tego rodzaju prewencji mieli nie podlegać także rodzice, którzy angażują się w szkolne aktywności jako opiekunowie na wycieczkach.

Pomysłodawcą obu zmian był resort edukacji. Dlaczego? Rok temu dyrektorzy szkół alarmowali, że wejście w życie tzw.

ustawy Kamilka i konieczność dowiedzenia swojej niekaralności sparaliżowały prace szkół. Nie odbywały się albo przesuwano wcześniej zaplanowane wyjazdy integracyjne, zielone szkoły, wyjścia do kina, bo po zaświadczenia z Krajowego Rejestru Karnego trzeba było stać w kolejkach. I to mimo że MEN wydał opinię, iż zaświadczenia o niekaralności należy wymagać tylko od osoby, która zostaje z uczniami sam na sam. Rodzice także czuli się skrzywdzeni, że muszą przynosić zaświadczenia, jeśli zgłosili się jako wsparcie np. podczas wyjścia na basen. – *Bez tej kontroli nie wiedzielibyśmy do końca, kogo dopuszczamy do dzieci. Ze statystyk, które są przekazywane przez RPD czy przez policję, wynika, że najczęściej sprawcami wykorzystywania seksualnego są osoby najbliższe* – mówi Agnieszka Kwaśniewska-Sadkowska, radczyni prawna, która współpracuje z Fundacją Dajemy Dzieciom Siłę.

Ale weto zablokowało przy okazji wyczekiwane zmiany. Przede wszystkim: cykliczną, co dwa lata, weryfikację w rejestrze sprawców przestępstw seksualnych wszystkich osób dopuszczonych do pracy z dziećmi. Dziś poddawani takiej ocenie są tylko nowi pracownicy. – *Trudno w to uwierzyć, ale wciąż są w Polsce miejsca, w których przez półtora roku obowiązywania ustawy nie sprawdzono żadnego pracownika. A więc wciąż nie wiadomo, w ilu żłobkach, przedszkolach i szkołach pracują skazani za przemoc wobec dzieci* – tłumaczy radczyni. (AGSZCZ)

© WOJSKOWE CENTRUM REKRUTACJI WE WROCŁAWIU/X, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, WOJTEK LASKI/EAST NEWS

eprasa.pl 9042e7cb93

TYDZIEŃ W POLITYCE

Nawrocki na ringu

Przemysław Sadura

Socjolog, profesor UW, kurator instytutu badawczego Krytyki Politycznej

Co dla nas było ostatnim tygodniem wakacji, dla polityków było pierwszym tygodniem reszty ich politycznego życia. Główni rywale zachowywali się jak bokserzy na początku meczu zakontraktowanego na kilkanaście rund. Nie znają się dobrze, nie wiedzą, na co stać tak ich, jak i rywala. Przed walką dużo mówili, prowokując się nawzajem i dostarczając materiału szukającym sensacji mediom. Teraz ostrożnie wymieniają pierwsze ciosy. Opukują się, sprawdzając siły swoje i przeciwnika. Nie łudźmy się. Na razie nic się nie wydarzy. Nikt nie zaryzykuje próby nokautu z obawy, żeby samemu nie znaleźć się na deskach.

Więcej inicjatywy zdaje się przejawiać Nawrocki, jednak niekoniecznie z korzyścią dla siebie. Jego problemem jest dość schematyczne działanie. Wyprowadza długie serie bardzo podobnych ciosów. Jak weto, to zaraz jedno po drugim. Niektóre z nich oprócz tego, że są na dłuższą metę szkodliwe i złe dla Polski, mogłyby stanowić celne strzały przyciągające uwagę prawicowego elektoratu. Tak było np. w przypadku ustaw w sprawie pomocy Ukraińcom czy w sprawie budowy wiatraków. Jednak kiedy weta dotyczą spraw tak różnych, jak ustawa o zapasach ropy i gazu, nowelizacja prawa o środkach ochrony roślin czy lex Kamilek powstaje wrażenie, że głowa państwa bez czytania wetuje wszystko, co trafia na prezydenckie biurko.

Komentatorzy polityczni zmieniają się w rachmistrzów skrupulatnych, którzy siedzą w statystykach i robią zestawienia. Lech Kaczyński w niecałe pięć lat zawetował 18 ustaw. Andrzej Duda o jedną więcej, ale w trakcie dwóch kadencji. Najwięcej, bo aż 38 ustaw zawetował Aleksander Kwaśniewski, ale po instrument weta najczęściej sięgał Lech Wałęsa. Jego 27 wet w ciągu jednej kadencji daje roczny wynik bliski sześciu. Siedem machnął Nawrocki w niecały miesiąc. Mistrz. Cóż, każdy prezydent chce przejść do historii, jednak sięgnięcie po księgę rekordów Guinnessa jako trampolinę grozi popadnięciem w farsę.

Podobne wrażenie powstaje, gdy prezydent myli chęć „nawtykania" nielubianym kolegom z podwórka ze „sprawami szczególnej wagi", jak to ujmuje Konstytucja, i zwołuje Radę Gabinetową tylko po to, żeby obsobaczyć premiera i jego ministrów. Wiele zresztą wskazuje na to, że Nawrocki wrzesień ukierunkuje na zaprzęganie polityki obronnej i zagranicznej do obsługi konfliktu wewnętrznego. Rada Gabinetowa przygotowała grunt pod to, co na odcinku krajowym przynieść mają działania na froncie międzynarodowym. Wizyty Nawrockiego w krajach traktowanych jako sojusznicze, bo rządzone przez prawicowych populistów, a później w krajach naszego regionu staną się prawdopodobnie narzędziem zwalczania znienawidzonego rządu, a nie budowania pozycji Polski na arenie międzynarodowej.

Nie miejmy jednak przesadnych nadziei. Zanim Nawrocki zdoła sobie zaszkodzić, uratuje go gong na przerwę między rundami. Jestem przekonany, że trener wykorzysta czas do tego, żeby doradzić mu uspokojenie ruchów przy jednoczesnym urozmaiceniu repertuaru.

Poobijane Rondle

18 sierpnia br. z pewnością przejdzie do historii polskiej branży rowerowej. Niestety w kategorii czarna kartka z kalendarza. W Krajowym Rejestrze Zadłużonych pojawiła się informacja o postępowaniu upadłościowym firmy **7Anna**. Pod względem wielkości produkcji i sprzedaży to trzeci gracz wśród rodzimych producentów rowerów. Jednak wyjątkowość 7Anna nie brała się z ilości, lecz z jakości. Właściwie to oni wyprowadzili polski przemysł rowerowy na szerokie międzynarodowe wody. W swoim portfolio mieli takie marki jak Rondo, NS Bike, Octane, Creme. Szczególnie ta pierwsza jest ważna.

Trudno mówić, że to w Rondo wynaleźli rower typu gravel, ale ze swoimi produktami (pieszczotliwie nazywanymi przez klientów Rondlami) idealnie wstrzelili się w trend, którego w Polsce w ogóle jeszcze nie było widać. Ledwo pokazali swoje pierwsze modele, a już w 2017 r. na Międzynarodowych Targach Rowerowych w Friedrichshafen EuroBike

© MP

zdobyli pierwszą nagrodę za swojego gravela. W 2019 r. Rondo HVRT CF0 dostało prestiżową nagrodę Rower Roku od brytyjskiego magazynu „BikeRadar". Nigdy wcześniej na radarze gazety tej klasy nie znalazł się rower z Europy Środkowej. No i spoza wielkiej dziesiątki światowych producentów.

7Anna szybko rosła. Kiedy przyszedł covid, a później wielki boom na rowery, w zamówieniach dosłownie się zagotowało. – *Podwoiliśmy sprzedaż, a i tak mieliśmy dwa razy więcej zamówień, niż mogliśmy obsłużyć* – wspomina Tomasz Cybula, prezes 7Anna. Na całym świecie tak to wtedy wyglądało. W 2023 r. w całej branży doszło do gigantycznego przegrzania rynku. Klienci nie ustawiali się już w kolejkach, a cen nie można było windować. Chciwość branży spowodowała, że magazyny największych producentów zaczęły pękać w szwach. Ryba zepsuła się od głowy, bo to najwięksi dyktowali ceny. Ale też je psuli.

W branży zaczęła się rzeź. Na pierwszy ogień poszli właściciele małych sklepów rowerowych, które nie wytrzymały konkurencji z internetem. Szacuje się, że w Polsce upadło w ostatnich latach 15 proc. sklepów rowerowych. 27 grudnia 2024 r. upadłość ogłosiła niemiecka firma Sprick Cycle GmbH, a wraz z nią Sprick Rowery sp. z o.o., która była polską montownią niemieckiego giganta. Teraz wniosek o upadłość złożyło 7Anna. Firma zapewnia, że dalej trwa, honoruje gwarancje i walczy o inwestora. A w branży wszyscy zastanawiają się, kto będzie następny. (JULL)

Więcej dowiedzą się Państwo z naszego podkastu „Rowery, nie bajki".

eprasa.pl 9042e7cb93

450 milionów

sztuk kosmetyków produkowanych rocznie w **fabryce L'Oréal pod Warszawą**

POZNAJ WIĘCEJ NASZYCH OSIĄGNIĘĆ

L'Oréal w Polsce - strategiczny HUB przemysłowy i eksportowy

Fabryka L'Oréal Warsaw Plant wytwarza rocznie 450 milionów sztuk produktów, które są eksportowane do prawie 30. krajów. Oznacza to, że co druga Europejka lub Europejczyk korzysta z kosmetyków wyprodukowanych w Warszawie. Ponad 1,2 miliarda złotych zainwestowano w Polsce* w produkcję, innowacje i zrównoważony rozwój. Od 2019 roku zmniejszyliśmy zużycie energii o 26% i zużycie wody o 20%. Nasza fabryka pod Warszawą wykorzystuje ponownie 98% wody.

*od 1997 r.

L'ORÉAL GROUPE

TWORZYMY PIĘKNO, KTÓRE PORUSZA ŚWIAT

eprasa.pl 9042e7cb93

Kontra Putina

Minął właśnie termin kolejnego ultimatum, jaki wyznaczył prezydent **Donald Trump**, by przekonać się – jak sam wszystkich przekonywał – o pokojowych zamiarach Władimira Putina. Gdy żegnał go na fali dyplomatycznego uniesienia, najtrudniejsze zakończenie ze wszystkich wojen, jakie Trump miał skończyć, wydawało się w zasięgu ręki. Ale od czasu spotkania na Alasce Rosja nie zrobiła ani kroku w kierunku pokoju. Storpedowała postulat Trumpa, by w najbliższym czasie doszło do spotkania Putina z Wołodymyrem Zełenskim, za to demonstracyjnie zacieśniła antyzachodni azjatycki sojusz z Chinami i Indiami. Wojnę z Ukrainą wyłącznie eskaluje, na kilka sposobów. Kijów i inne miasta zasypywane są co kilka dni gradem dronów i rakiet, które ukraińscy przeciwlotnicy w większości strącają, ale których kilka uderzeń w bloki mieszkalne wystarczy, by za każdym razem ginęło kilka–kilkanaście osób. Zbierane przez przeciwlotniczy OSINT (otwarty wywiad) tory lotów dronów i rakiet pokazują, że Rosjanie uderzają Ukrainę z kilkunastu kierunków i kluczą wewnątrz kraju, by przeciążyć, zmylić i przełamać ukraińską obronę.

Podobną jak w powietrzu taktykę Rosja stosuje na lądzie. Mając więcej rekruta, więcej dronów i więcej miejsc ataku do wyboru, przełamała ukraińskie linie w obwodzie dniepropietrowskim, podczas gdy dwa tygodnie wcześniej ukraińska obrona skupiała się na łataniu skutków wcześniejszego włamania w Donbasie. O ile jednak Donbas jest umocniony i nieźle obsadzony, przerwania frontu na południu teatru wojny są zawsze dotkliwsze, bo otwierają teren aż do Dniepru, zmuszając sztab gen. Ołeksandra Syrskiego do przerzucania najbardziej bitnych brygad w roli straży pożarnej. Podczas gdy Syrski się poci nad mapami, szef rosyjskiego sztabu Walery Gierasimow ogłosił właśnie, że nie będzie żadnego wstrzymania ognia, dopóki jego armia nie osiągnie swoich celów. Z wyliczaniem sukcesów terytorialnych jak zawsze przesadził, ale obiektywnie widoczny trend jest jasny – Ukraińcy się cofają, a Zachód miota się od pomysłów szybkiego pokoju do deklaracji dalszego wsparcia zbrojnego, które nie za wiele dało przez ostatnie lata. Dlatego ideologiczny szaman Wielkiej Rosji Aleksander Dugin przekonuje – w wywiadzie dla białoruskiej telewizji – że nawet jeśli jakiś pokój będzie, to tylko tymczasowy, bo wojna z Zachodem i tak musi trwać. Kolejne jej oznaki zauważymy we wrześniu, gdy Rosja i Białoruś zaczną złowrogie ćwiczenia Zapad.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Farage walczy z najazdem

Lider prowadzącej w angielskich sondażach partii Reform UK **Nigel Farage** przedstawił plan na „masową deportację nielegalnych imigrantów" z Wysp. Na lotnisku w Oksfordzie, stojąc na tle baneru imitującego tablicę odlotów, obiecał, że jeśli jego skrajnie prawicowe ugrupowanie wygra wybory (najbliższe muszą się odbyć do 2029 r.), to w ciągu jednej kadencji pozbędzie się z kraju 600 tys. „nielegalów".

W jaki sposób? Najpierw ich masowo zatrzyma, wykorzystując do tego również armię, co jest nawiązaniem do jego mentora Donalda Trumpa. Potem zamknie w odosobnionych bazach wojskowych – na pewno nie w wynajmowanych przez państwo hotelach, jak teraz. A potem metodą kija (sankcje) i marchewki (2 mld funtów – prawie 10 mld zł) przekona państwa, skąd pochodzą „nielegalni", do ich przyjęcia. Farage oświadczył, że to oferta również dla reżimu talibów z Afganistanu, skąd pochodzi wielu nielegalnych przybyszów. Ci, którzy dobrowolnie zgłoszą się do deportacji, otrzymają nagrodę w wysokości 2,5 tys. funtów (ponad 12 tys. zł).

Farage zapowiedział również całkowite wstrzymanie rozpatrywania wniosków o azyl, składanych przez uciekinierów próbujących dostać się do Wielkiej Brytanii na łodziach (tzw. *small boats*) przez kanał La Manche. Wiąże się to z zapowiedzią o wystąpieniu z międzynarodowej Konwencji ds. uchodźców z 1951 r. oraz tymczasowym zawieszeniem udziału w Europejskiej Konwencji Praw Człowieka.

Wielka Brytania ma problem z nielegalną imigracją. Sprawę miał rozwiązać brexit, którego Farage był wielkim zwolennikiem. Ale dziś liczby są jeszcze gorsze. Od początku roku do brzegów Brytanii dotarło już ponad 28 tys. nielegalnych, równie rekordowa jest tegoroczna liczba wniosków o azyl: 111 tys. Według brytyjskiego rządu tylko od 2020 r. na Wyspy w nieuregulowany sposób dotarło prawie 200 tys. migrantów. W tym roku Londyn deportował do krajów pochodzenia niecałe 11 tys.

Reform UK w najbliższym czasie ma niewielkie szanse na przejęcie władzy, choć nastroje w kraju zmieniły się na korzyść Farage'a. W zeszłorocznych wyborach wyraźnie zwyciężyła Partia Pracy premiera Keira Starmera, ale od tego czasu straciła już co trzeciego wyborcę (poparcie spadło jej z 34 do 20 proc.). Gdyby wybory odbyły się dziś, wygrałaby partia Farage'a z wynikiem 31 proc. Zmienia się też atmosfera w kraju – w ostatnich dniach przez liczne miasta przetoczyła się akcja wywieszania brytyjskich i angielskich flag, co dotychczas nie było w zwyczaju Anglików, może poza uroczystościami związanymi z monarchią i meczami narodowej reprezentacji piłkarskiej. Teraz, zdaniem ludzi Farage'a, flagi te stały się „symbolem oporu dominującej kultury przed najazdem nielegalnych imigrantów".

© ANNABELLE GORDON/EPA/PAP, LEON NEAL/GETTY IMAGES, GETTY IMAGES, MP

eprasa.pl 9042e7cb93

Chiński szczyt

Xi Jinping zbiera owoce chaotycznych zaburzeń w porządku międzynarodowym. **Na szczycie w Tiencinie** przyjął kilkudziesięciu przywódców z Azji, Afryki i Europy. Ich tłumek miał pokazać, że stabilnie autorytarne Chiny – bardziej niż demokratyczne Stany Zjednoczone pod impulsywnym kierownictwem Donalda Trumpa – nadają się na ośrodek politycznego, gospodarczego, a może i cywilizacyjnego odniesienia. Intencje gospodarza wzorowo odczytał Aleksandr Łukaszenka, lubiący przyjmować rolę prymusa podobnych zjazdów. Zapewnił, że jego system szczerze podziwia dokonania chińskich komunistów i będzie się od nich starannie uczył. Praktycznym wyrazem tych nauk stanie się narodowe muzeum historii Białorusi, naśladujące ekspozycję placówki chińskiej. Osobiście oglądał ją syn uzurpatora z Mińska, student uniwersytetu w Pekinie, który z wystawy przywiózł ojcu kilka zdjęć.

Odwołanie do polityki historycznej nie jest przypadkowe. Xi wystawił też wielką defiladę wojskową w Pekinie (przemaszerowała 3 września, już po zamknięciu tego numeru POLITYKI). Jej zadaniem było nie tylko upamiętnienie 80. rocznicy zakończenia drugiej wojny światowej na terytorium azjatyckim, ale przede wszystkim wzbudzenie przekonania, że tamten konflikt rozstrzygnęły własnymi siłami Chińska Republika Ludowa i sowiecka Rosja, bo to one poniosły najwięcej ofiar w starciach z Niemcami i Japonią. Skoro tak, to Pekinowi i Moskwie należy się nimb rzeczywistych zwycięzców i prawo do roszczeń. Ich podnoszeniem zajmują się Xi i jego główny gość z Tiencina Władimir Putin. Pretekstem ich najnowszego spotkania był coroczny konwentykiel Szanghajskiej Organizacji Współpracy. SzOW zaczynała na początku wieku od niewielkiej grupki najbliższych sprzymierzeńców Rosji i Chin. Z czasem wypączkowała do inicjatywy ogniskującej znaczną część państw Azji, z dochodzącymi „obserwatorami" i „partnerami w dialogu" z sąsiednich kontynentów. SzOW reprezentuje jedną trzecią globalnego PKB, czwartą część lądów i 40 proc. ludzkiej populacji. Przez lata pozostawała ledwie szyldem i tkwiła w instytucjonalnym skostnieniu. Więcej życia tchnęła w nią aktualna dynamika. Xi w trwającym kwadrans wprowadzeniu domagał się reformy globalnego systemu zarządzania. Jej celem będzie „demokratyczny i sprawiedliwy" porządek międzynarodowy, czyli ułożony według chińskiej partytury.

Z organizacyjnego rozdzielnika w Tiencinie pojawił się premier Indii. Dotąd Narendra Modi orbitował bliżej wspólnoty Zachodu. Zraził go jednak Trump, obciążając cłami nałożonymi w związku z kupowaniem przez indyjskie rafinerie rosyjskiej ropy objętej amerykańskimi sankcjami. Modi nie zaglądał do Chin od siedmiu lat – oba państwa pogrążały się w coraz głębszym sąsiedzkim kryzysie – ale w Tiencinie obiecali sobie z Xi przerwanie rywalizacji. Miło gawędzili w duecie i w trójce – z Putinem. Modi został zaproszony przez Putina do jego limuzyny (a niedawno na Alasce to Putin wsiadł do auta Trumpa). Rozmowy z Rosjaninem indyjski premier skwitował obserwacją, że „nawet w najtrudniejszych sytuacjach Indie i Rosja zawsze szły ramię w ramię". Takie obrazy i słowa mają wzbudzić przekonanie, że w Azji powstaje klub, który ma dość argumentów i determinacji, by rzucić wyzwanie Stanom Zjednoczonym i całemu Zachodowi.

Bundeswehra na ochotnika

W Niemczech szok i niedowierzanie: przywrócony zostaje zawieszony w 2011 r. pobór do wojska, na początek dla 40 tys. ochotników rocznie. Ale gdyby ich zabrakło, dobrowolność zastąpi przymus. Obowiązywać ma model sprawdzony w Szwecji, która przywróciła pobór już w 2017 r., po aneksji Krymu przez Rosję. Cały rocznik 2008 r. będzie podlegał rejestracji pod kątem stanu zdrowia, planów życiowych i zainteresowań, przy czym dla 18-latków będzie ona obowiązkowa, a dla 18-latek dobrowolna. Z tej bazy ma zostać wyłoniony ochotniczy kontyngent, kuszony statusem żołnierzy kontraktowych, solidnym żołdem (ponoć 2,3 tys. euro miesięcznie) oraz licznymi atrakcjami: bazą sportową, kursami językowymi i na prawo jazdy itd. Idealnie, aby jak najwięcej z nich zostało w armii na stałe, inni zasilą rezerwę, która też ma być rozbudowana. Licząca dziś 183 tys. żołnierzy Bundeswehra, cierpiąca na permanentny deficyt kadr, ma do 2031 r. urosnąć do 260 tys. plus 200 tys. rezerwistów. Powody takiej decyzji są oczywiste: rosnące poczucie zagrożenia w Europie i wzmożenie wysiłku obronnego.

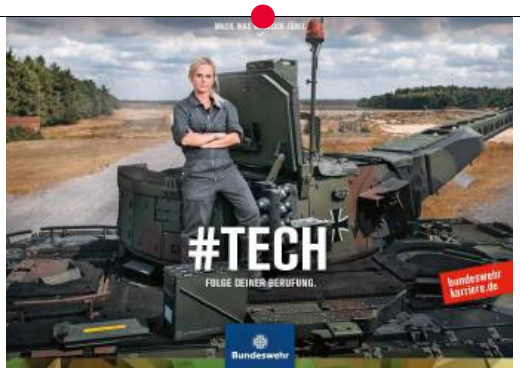

Plakat zachęcający do wstąpienia do Bundeswehry

Połowiczne rozwiązanie dotyczące techniki poboru to koalicyjny kompromis: CDU/CSU opowiadała się za przywróceniem obowiązkowego poboru i ma za sobą większość opinii publicznej (według IPSOS: 72 proc. w grupie 60+, 52 proc. wśród 18–39-latków). SPD nie chce o tym słyszeć; uważa, że trzeba za wszelką cenę brnąć w wolontariat. Argument jest też taki, że ochotnicy to lepszy materiał na zawodowych żołnierzy niż przypadkowi rekruci. Teraz będzie gorąca debata w Bundestagu, przy czym kanclerz Friedrich Merz zapowiada stanowczo, że „bardzo szybko może przyjść konieczność sięgnięcia po dodatkowe środki". Interesujący jest model duński. Od 1 lipca wprowadzono tam obowiązkową służbę wojskową także dla kobiet. Pierwszeństwo w poborze mają ochotnicy obu płci, a gdy nie wypełnią kontyngentu, resztę 18-latków losuje się na równych prawach. Losowanie do Bundeswehry? Czy prestiż to wytrzyma?

eprasa.pl 9042e7cb93

Dzwonek na lekcji

Pomysł zakazu smartfonów w szkołach zapowiada się na jeden z najgorętszych tematów początku kolejnego już sezonu. Ale aż prosi się zadać pytanie: czy chcemy faktycznie chronić dzieci przed uzależnieniami od sieci, zaburzonymi relacjami, agresją i możliwym wykorzystaniem? Czy może chcemy po prostu przyjąć przepisy i cieszyć się, że „coś" zrobiliśmy?

JOANNA CIEŚLA

Problem używania przez dzieci smartfonów nie zaczyna się od szkoły. Specyficznie szkolne wyzwanie związane z korzystaniem z telefonów jest tak naprawdę tylko jedno – sprowadza się do osłabionej koncentracji na lekcjach. Całą resztę: narażenie na hejt i na przekaz teorii spiskowych, wycofanie z aktywności w „analogowym świecie", ten ocean w którym toną kilku- i nastolatki, widać we wszystkich innych przestrzeniach życia. To nawet nie temat smartfonów. To temat dzieci i dorosłych, uwagi i odpowiedzialności tych starszych za młodszych.

Dzieci zaczynają korzystać z telefonów długo, zanim szkoła pojawi się na ich drodze. Zadziwiająco rzadko w dyskusji ostatnich lat wracamy do poruszających wyników projektu „Brzdąc w sieci", którego kolejne edycje prowadzi od 2020 r. Akademia Pedagogiki Specjalnej w Warszawie. Z badania dr Magdaleny Rowickiej i dr. Michała Bujalskiego wynika, że smartfonów, tabletów czy laptopów używa ponad połowa (54 proc.) maluchów do szóstego roku życia. I to nie sporadycznie – ponad godzinę dziennie. Zaczynają średnio w wieku dwóch lat i dwóch miesięcy.

Starszym, pięcio–sześcioletnim przedszkolakom swoje telefony daje do zabawy trzy czwarte rodziców. Trzy czwarte tych urządzeń ma otwarty dostęp do internetu i wszystkich jego niebezpieczeństw. Co drugie małe dziecko ogląda, klika lub scrolluje podczas posiłków. Prawie dwie trzecie matek i ojców udostępnia dziecku smartfon „w nagrodę". Tyle samo, gdy maluchy płaczą lub marudzą. To znaczy, że już kilkulatki nabierają nawyku uspokajania się z wykorzystaniem technologii, w sztucznych światach, długo zanim przekroczą próg szkoły.

Faktem jest, że w wieku szkolnym zaczyna się technologiczna jazda bez trzymanki. Ponad 90 proc. osób między 7. a 14. rokiem życia codziennie łączy się z siecią. Dzieci i nastolatki spędzają tam 4,5 godz. na dobę. Z głośnego raportu Instytutu Cyfrowego Obywatelstwa „Internet dzieci" wynika, że od 600 tys. do miliona uczniów do 12. roku życia używa telefonów w szkole. Ale zdecydowanie więcej z nich – 1,1–1,3 mln wskakuje do sieci po południu. A 800 tys. dzieci siedmioletnich i starszych korzysta ze smartfona ok. godz. 22, zamiast spać. Wśród starszych nastolatków ponad milion robi to godzinę później, a ponad 600 tys. po północy. W dni

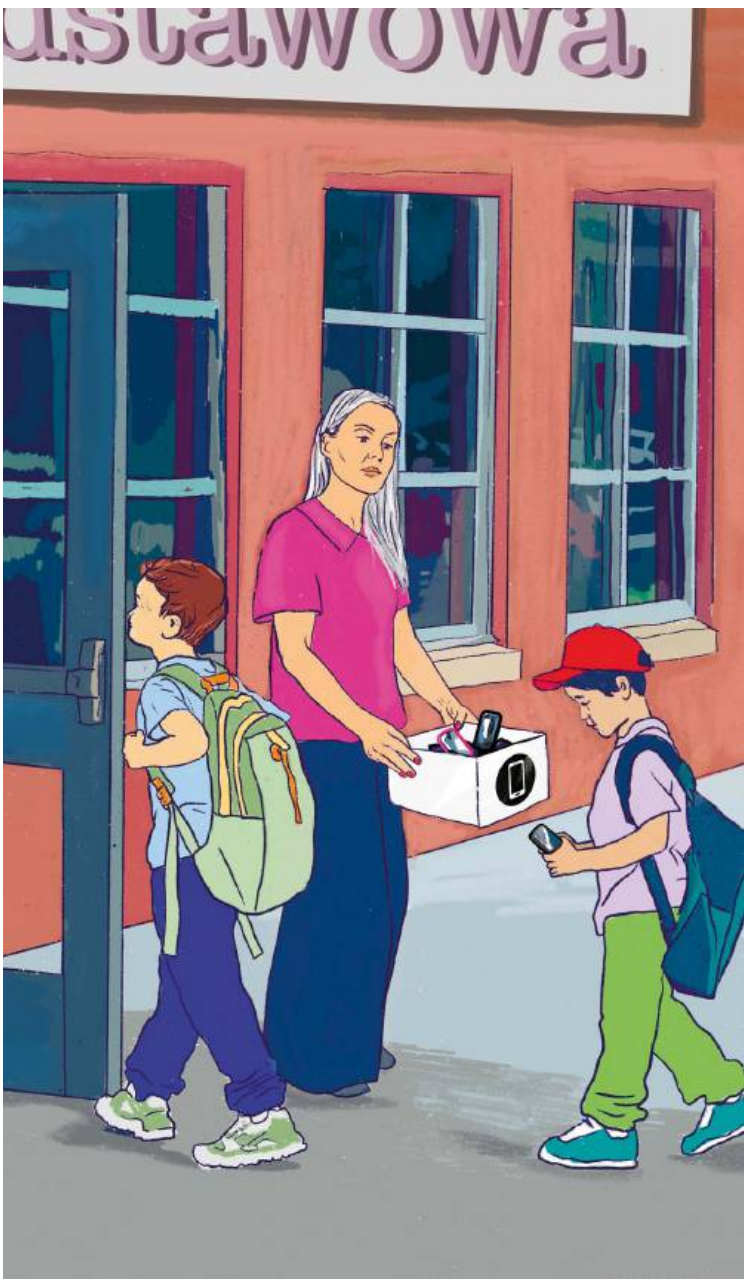

ILUSTRACJA MARTA FREJ

eprasa.pl 9042e7cb93

powszednie. Naiwnością jest wierzyć, że po takich nocach będą o poranku lepiej skoncentrowane na nauce dzięki wprowadzeniu w szkołach ustawowego zakazu smartfonów.

Szkolny zakaz nie zamknie też dzieciom dostępu do serwisów społecznościowych. Choć formalnie nie powinien z nich korzystać nikt poniżej 13. roku życia, robi to aż połowa dzieci w wieku 7–12 lat. Zazwyczaj za wiedzą rodziców, a także właścicieli platform. Jeśli na poziomie systemowym chcielibyśmy zaradzić szkodliwemu korzystaniu przez dzieci z nowych technologii, to od tego powinniśmy zacząć – tam jest największy potencjał uzależnienia, rozprzestrzeniania nienawiści, dezinformacji i innych patologii.

Pokazują to też doświadczenia krajów bardziej niż Polska zdeterminowanych w poszukiwaniu skutecznych sposobów ochrony dzieci przed tym, co w nowych technologiach jest niebezpieczne. Na przykład w Wielkiej Brytanii wprowadzono system realnie ograniczający dzieciom dostęp do stron pornograficznych. By tam wejść, konieczny jest specjalny kod udostępniany po przesłaniu zdjęcia i skanu dowodu tożsamości. Mimo to dostępu dzieci do pornografii nie udało się wyeliminować, wciąż natyka się na nią 70 proc. z nich. Zazwyczaj „przez przypadek", właśnie na portalach społecznościowych, najczęściej na X. Świat czeka na efekty rozwiązań australijskich, na razie najszerzej zakrojonych. W tym kraju od grudnia zacznie obowiązywać zakaz posiadania kont w mediach społecznościowych przez osoby poniżej 16. roku życia. Odpowiedzialność za uniemożliwienie im wstępu ma spocząć w całości na dostawcach serwisów.

Jeśli chodzi o ściśle szkolne centralne przepisy, najszerzej opisywane są te francuskie. W 2018 r. Francja wprowadziła nakaz wyłączania telefonów przed lekcjami i chowania ich do specjalnych toreb dla uczniów w wieku 11–15 lat. Od września, po półrocznym pilotażu, zakaz zostanie rozszerzony i zaostrzony – uczniowie będą oddawać telefony do depozytu. W dotychczasowym modelu wciąż czasem przemycali urządzenia. Jednoznacznych wyników nie daje na razie radykalna szwedzka droga ograniczenia nowych technologii w szkołach, zwrot od tabletów ku drukowanym książkom i ręcznemu pisaniu.

Wracając do naszego kraju – mamy już w Sejmie, oprócz projektu Polski 2050, kilka propozycji przepisów, które mają pomóc opanować warunki życia dzieci w świecie zdominowanym przez nowe technologie – dwa projekty dotyczące realnej weryfikacji wieku użytkowników serwisów internetowych, dwa projekty antyhejterskie. Przeszkodą w pracach nad nimi są obawy o interesy przedsiębiorców, o ochronę prywatności itd. Wszystko to istotne, ale pora byłoby się zdecydować, które wartości są dla nas społecznie najistotniejsze i kto ma te wartości realizować – dorośli czy dzieci?

Przykro to pisać, ale na razie jako rodzice i obywatele jesteśmy zdani na siebie. Najprostsze, co możemy robić, to nie kupować małym dzieciom smartfonów i nie dawać im naszych własnych do zabawy. Owszem, jednocześnie jest to trudne – ale wykonalne. A jeśli już się stało i urządzenia przykleiły się naszym synom i córkom do rąk, wciąż możemy zapisywać dzieci na edukację zdrowotną, angażować się w organizację mądrych warsztatów w szkołach i tworzenie w tych szkołach, w gronie dorosłych i dzieci, regulacji, które będą uznane w tych społecznościach za „nasze". To zresztą może być świetne ćwiczenie wychowawcze. Nakaz i instytucjonalna przemoc – nie. ■

Szkoła użycia

Rozmowa z prof. UAM dr. hab. Jackiem Pyżalskim o tym, czy wprowadzać zakaz korzystania ze smartfonów w szkołach.

Jacek Pyżalski
– profesor na Wydziale Studiów Edukacyjnych Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu. Od prawie 20 lat bada, jak młodzi ludzie używają technologii cyfrowych.

JOANNA CIEŚLA: **– Zakazać czy nie?**

PROF. JACEK PYŻALSKI: – Nie zakazywać. A już na pewno nie traktować zakazu jako najważniejszego rozwiązania. Nie znam problemu społecznego, który udałoby się opanować wyłącznie prostą metodą prohibicji. Kategoryczne działania często tworzą złudne poczucie, że problem został rozwiązany, więc nie trzeba już edukować, badać ani obserwować sytuacji. Przez to ostatecznie skutki społeczne bywają gorsze niż przy braku zakazu. Dlatego wobec najbardziej radykalnych rozwiązań – całkowitego niewnoszenia telefonów do budynków czy zakazu ich używania – jestem zdecydowanie przeciw, zarówno w szkołach podstawowych, jak i ponadpodstawowych.

To jest pan w mniejszości. Dwie trzecie – trzy czwarte Polaków według różnych badań chce takiego zakazu. A Polska 2050 chce im go dać. Złożyła projekt ustawy zakazujący korzystania z telefonów komórkowych na terenie szkół, przez uczniów podstawówek. W sierpniu Sejm zaczął prace nad projektem.

Jestem za wprowadzaniem – na poziomie szkół – zasad dotyczących używania przez uczniów własnych urządzeń. Nie tylko prywatnych – mnóstwo laptopów, tabletów i innych urządzeń umożliwiających komunikację jest na wyposażeniu szkół, sfinansowanych przez państwo. A projekt Polski 2050 w ogóle tego nie rozróżnia. Gdybyśmy się mieli trzymać literalnie tej propozycji, to ona wyłącza korzystanie np. z pracowni komputerowej w szkołach, które nie dopuszczą tego w wewnętrznych przepisach. Nie uwzględnia też, że zupełnie innego podejścia w odniesieniu do technologii potrzebują dzieci 7-letnie, a innego 14-letnie. Ogólnie mówiąc, ten projekt nie jest najlepiej napisany.

Według założeń ma doprowadzić do ograniczenia negatywnego wpływu nowych technologii na edukację, rozwój umiejętności społecznych oraz ryzyko uzależnienia. To zacznijmy od pierwszej kwestii. Czy smartfony w szkole przeszkadzają w nauce?

Tak – jeśli telefony są używane podczas zajęć do celów innych niż dydaktyczne. Liczne badania pokazują, że telefon rozprasza nawet wtedy, gdy nie jest używany, a używany – tym bardziej. Wiemy też, że cechy przypisywane tzw. cyfrowym tubylcom, jak rzekoma zdolność multitaskingu, to mit. Człowiek popełnia mniej błędów i szybciej pracuje, gdy koncentruje się na jednej czynności. To jedna z najwyraźniejszych konkluzji płynących z licznych badań ▶

© ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 9042e7cb93

▶ nad wpływem technologii: tam, gdzie są regulacje, uczniowie są bardziej skupieni i osiągają lepsze wyniki. Podkreślam to dlatego, że wiele wniosków z badań bywa pochopnych. Mamy dowody, że korzystanie z technologii oddziałuje na zdrowie psychiczne, ale też, że to stan psychiczny i sposób funkcjonowania wpływają na korzystanie z niej. Nie potrzeba jednak globalnych zakazów – wystarczą szkolne ustalenia, np. zakaz używania telefonów na lekcjach. I to rozwiązanie już działa w wielu polskich szkołach; szczerze mówiąc, nie znam takich, gdzie uczniowie masowo korzystają z telefonów podczas zajęć.

Na rozwój społeczny zanurzenie w świat wirtualny też chyba nie działa dobrze?

Rezultaty badań dotyczących tego obszaru są mniej czytelne. Niektóre prace pokazują, że jeśli telefonów na przerwach nie ma, to uczniowie faktycznie częściej bawią się razem, rozmawiają. Ale wiele badań pokazuje, że nie ma związku albo że jest bardzo słaby. To znów bardziej mit, że jak się po prostu zabierze telefony, to nagle uczniowie rzucą się w życie towarzyskie. Duże badanie przeprowadzone w Czechach przez naukowców z Uniwersytetu Masaryka to jasno pokazuje.

No to przykład z życia. Nauczycielka z podwarszawskiej podstawówki opowiadała mi, że w ich szkole nie wolno korzystać z telefonów, także na przerwach. I że ta zasada jest przestrzegana. Najbardziej przyczyniło się do tego otwarcie na przerwach sal gimnastycznych, gdzie pod okiem wuefistów dzieciaki mogą grać w kosza albo tańczyć, biegać, spędzać razem czas.

We wspomnianych badaniach w czeskich szkołach, w których wprowadzono zakaz, w porównaniu ze szkołami bez zakazu, tę akurat różnicę stwierdzono – więcej uczniów było aktywnych fizycznie. W tych pierwszych 26 proc., w tych drugich 41 proc. Ale wciąż też nie było to tak, że wszyscy ruszyli biegać. Organizacja infrastruktury – rozstawienie cymbergajów, piłkarzyków, miejsca, gdzie dobrze się rozmawia, to bardzo ważne kwestie. Uczniowie muszą na tych przerwach mieć co robić – ale tu przestajemy mówić po prostu o zakazie, a zaczynamy o spójnym zbiorze rozwiązań.

Obecnie przepisy pozwalają szkołom w statutach określać warunki korzystania z urządzeń elektronicznych. I w połowie placówek jakieś ograniczenia są. Ale co trzeci nastolatek i tak mówi, że w trakcie zajęć pozostaje online.

Z polskich badań EU Kids Online wynika, że obecne ograniczenia w szkołach są często niespójne i łamane – u jednego nauczyciela coś wolno, u innego nie. To jednak nie tylko polska specyfika. Według badań australijskich 13 proc. młodych nie przestrzegało zakazu nawet tuż po jego wprowadzeniu, omijając go na różne sposoby. Widać więc, że zapisanie regulacji i ich wdrażanie to dwie różne kwestie. Warto też zauważyć pewne uproszczenia, że przerwy z „czasów bez urządzeń" często są idealizowane jako zawsze aktywne i pełne zajęć, co niekoniecznie odpowiada rzeczywistości.

Przez upraszczających przemawiają wspomnienia.

Tylko że te wspomnienia są lukrowane. Kiedy słyszę, jak to uczniowie dawniej byli zawsze kulturalni, ściąganie nie przyszło im do głowy i nic nie robili, tylko się zastanawiali, jak się lepiej uczyć, to myślę, że chcielibyśmy powrotu do szkoły, której nigdy nie było. To dotyczy też kolejnego wątku o wpływie technologii na zdrowie psychiczne. Wpływa na nie wiele rzeczy – sytuacja rodzinna, materialna, relacje, zdrowie fizyczne itd. A my zafiksowaliśmy się na pojedynczym czynniku, czyli na smartfonach. Błędem jest zakładanie, że gdy go wyeliminujemy, rozwiążą się problemy zdrowia psychicznego dzieci. A my już nie będziemy musieli troszczyć się o inne kwestie.

Analiza danych z wielkiego projektu Global Mind Project, wskazuje na to, że dzieci, które wcześniej dostały smartfony, są w gorszej kondycji psychicznej niż te, które dostały je później. Wśród 100 tys. przebadanych młodych dorosłych ci, którzy otrzymali urządzenie przed ukończeniem 13. roku życia, znacznie częściej przyznawali się m.in. do myśli samobójczych, problemów emocjonalnych, mieli niskie poczucie własnej wartości.

Warto w tym badaniu sprawdzić jeszcze, z jakimi innymi czynnikami, np. w rodzinie, było skorelowane wczesne korzystanie ze smartfonów. Z pewnością narzędzia cyfrowe używane bez ograniczeń bywają szkodliwe. Ale jeśli wnika się w to głębiej, to okazuje się, że u kilku procent osób negatywne skutki są mocno nasilone, u kilkunastu procent – umiarkowanie, a u reszty nie występują. Gdyby ten wpływ był zero-jedynkowy, nie mielibyśmy rozrzutu, szkodziłoby to po równo wszystkim. Z jakiegoś powodu jednym szkodzą bardziej, innym mniej. Z badań ySkills prowadzonych w sześciu krajach (w Polsce kierowanych przeze mnie w UAM), przez trzy lata, na próbie tych samych 2,5 tys. młodych ludzi, wynika, że trudno rozstrzygnąć, co jest przyczyną, a co skutkiem. Problemy zdrowia psychicznego wynikają z różnych rzeczy i mogą sprawiać, że dzieci korzystają z urządzeń w sposób bardziej ryzykowny itd., ale jest to tylko element pewnej układanki. Nie bagatelizuję tego, oczywiście ważny jest ich zwrotny wpływ. Jednak naprawdę silnie upraszczamy tę dyskusję.

Są głosy, że nieobecność telefonów w szkołach mogłaby zapewnić dzieciom choć kilka godzin dziennie bez narażenia na dezinformację i cyberprzemoc.

Pola, ósmoklasistka z doświadczeniami szkoły publicznej i niepublicznej:
W szkole publicznej nie było ograniczeń. W nowej nie mieliśmy ostatnio dostępu do telefonów. Najpierw wprowadzono jedną przerwę telefoniczną i to było OK – nie korzystaliśmy z telefonów cały czas, ale na tej przerwie mogliśmy pograć albo nagrać wspólnie jakiś filmik. Prawie wszyscy tego przestrzegali. Jak dzieciaki mają telefony na przerwie, to nie ma rozmów, pewnie, ale poza tą telefoniczną przecież gadaliśmy ze sobą normalnie. Potem ją usunęli i trzeba było telefony zostawiać w szafce. Oddajemy je przy wejściu do szkoły. Telefon w czasie lekcji? Czasem komuś dzwonił. Ale trzeba go odbierać tym, którzy łamią zakaz, a nie karać wszystkich.

Teresa, siódmoklasistka, chodzi do szkoły prowadzonej przez siostry zakonne:
U nas zakaz obowiązuje od dawna – i w czasie lekcji, i w czasie przerw. Jeśli ktoś naprawdę musi zadzwonić, prosi wychowawcę o pozwolenie. Uczeń przyłapany na korzystaniu z telefonu dostaje upomnienie. Za trzecim razem telefon jest odbierany i można go odzyskać dopiero po lekcjach. To teoria. W praktyce podczas przerw uczniowie chowają się ze smartfonami po kątach. W czasie lekcji raczej nikt nie korzysta. Gdy kolega podczas lekcji odpalił grę, wszyscy uznali, że to przesada i brak szacunku dla nauczyciela. Ja w ogóle nie mam telefonu, tak zdecydowali rodzice. Czasem mam z tym drobne problemy techniczne, gdy np. chcę poinformować, że się spóźnię. Kontakt z koleżankami i kolegami utrzymuję przez telefon mamy.

eprasa.pl 9042e7cb93

Nie wierzę, żeby w ten sposób udało się wyeliminować zjawisko przemocy. Ona istniała w szkołach, zanim rozwinęła się technologia, i będzie się nadal pojawiać, także w formie cyberprzemocy, po lekcjach. Jednak większość uczniów jest najbardziej aktywna w sieci po zajęciach. I wtedy też używa internetu w sposób ryzykowny. Co do dezinformacji – pamiętajmy, że jest niemała grupa dzieci, która tylko w szkole ma szansę nauczyć się, jak sobie z dezinformacją radzić. Ich rodzice nie mają takich umiejętności, nie zwracają na to uwagi. Jeśli zrobimy ze szkoły enklawę, to tracimy bardzo ważny obszar wyrównywania szans.

Mówi pan, że zakaz może przynieść gorsze skutki niż jego brak. Jakie?

W wersji z najnowszego projektu problemem przede wszystkim byłoby to, jak ten zakaz egzekwować. Do ustawy nie przewiduje się aktów wykonawczych, czyli nie wiadomo, na jakiej podstawie nauczyciele mieliby reagować, gdyby uczeń w szkole używał smartfona. Co mogliby zrobić: zabrać telefon? Mamy przećwiczone, jak to działa, np. w odniesieniu do środków psychoaktywnych. Według wykładni prawnych jeśli nauczyciel podejrzewa, że uczeń ma substancję psychoaktywną, może poprosić o jej wydanie. Jeżeli uczeń odmawia, nauczyciel nie ma prawa go przeszukać ani siłą tego przedmiotu odebrać. Może wezwać policję. Ale nie wydaje mi się, żeby policja chętnie przyjeżdżała na wezwania w sprawie odebrania telefonu uczniowi. Zwłaszcza że rodzice mogą zacząć podnosić swoje konstytucyjne prawo do kontaktu z dzieckiem. Mamy już badania, np. szwedzkie, z wnioskiem, że nakładanie na nauczycieli roli kontrolerów w tym zakresie osłabia zaufanie i relacje nauczyciel–uczeń.

A jednak w kolejnych krajach są wprowadzane ograniczenia czy wręcz zakazy.

Trochę to działa na zasadzie społecznego dowodu słuszności. Wszyscy już wprowadzili, to i my wprowadźmy. Jeśli w dodatku jest to łączone z argumentacją, że taki krok rozwiąże poważne problemy zdrowia psychicznego młodzieży, narażenia na cyberprzemoc itd., to naprawdę trudno się temu opierać. Faktycznie ta skuteczność, jak mówiłem, jest dyskusyjna. Poza tym to nie do końca jest prawda, że „wszyscy już to robią". Przepisy w państwach, które w mediach umieszcza się na jednej liście „krajów z zakazami", są bardzo zróżnicowane. Przykładowo francuski zakaz centralny jest bardzo restrykcyjny, dotyczy całego dnia szkolnego, a fiński – jedynie wykorzystania smartfona podczas lekcji. Zwykle pozwala się też nauczycielom autonomicznie decydować o zastosowaniu edukacyjnym. Inne państwa wprowadziły regulacje dotyczące tylko młodszych dzieci. Co ciekawe, niektóre kraje określane medialnie jako te z zakazem wprowadzały przepisy takie jak obecnie obowiązujące w Polsce, czyli regulacje, o których decyduje się na poziomie szkół. Generalnie w takich kwestiach rozpoznanie potrzeb i elastyczność działania są kluczowe.

To co robić?

Zastanowić się, czy problemem są urządzenia, czy np. niebezpieczne treści, algorytmy i sposób działania tzw. mediów społecznościowych. Moim zdaniem głównym problemem jest ten drugi obszar. Ale w odniesieniu do niego jakoś nie mamy spektakularnych sukcesów legislacyjnych, naciskających na branżę technologiczną, żeby zapewniała dzieciom bezpieczeństwo, choćby przez realne ograniczenie dostępu do szkodliwych treści. Dlatego, że to jest dużo trudniejsze. Pomyślmy, jakie problemy naprawdę chcemy rozwiązać, i wtedy planujmy pasujące rozwiązania.

Ministerstwo Cyfryzacji zaczęło prace nad ustawą nakładającą na serwisy pornograficzne obowiązek realnej weryfikacji wieku użytkowników. Ale te prace toczą się dość powoli. Może politycy nie mają chęci naciskać na twórców serwisów, w których sami prowadzą działalność owocną dla swojej popularności?

Być może o to też chodzi. Jeśli poważnie zostałby potraktowany wieloletni problem skutecznej weryfikacji wieku i uniemożliwienia dzieciom dostępu do szkodliwych treści, odpadłaby poważna część niebezpieczeństw związanych z korzystaniem z urządzeń. To kwestia woli i możliwości. W tej całej dyskusji młodzież chwilami jawi się jako bardziej racjonalna niż dorośli.

Co pan ma na myśli?

W najnowszej edycji europejskiego porównawczego badania EUKids Online, koordynowanego przeze mnie na UAM, z udziałem dzieci w wieku 10–17 lat, sprawdzaliśmy ich podejście do regulacji w szkołach. Szczegółowy raport wydamy z Fundacją Orange na początku 2026 r., ale młodzi ludzie w Polsce w większości akceptują zasady dotyczące używania telefonów. Siedmiu na dziesięciu ze szkół, gdzie jest możliwość korzystania na przerwie, a zakaz na lekcjach mówi, że to jest w porządku. Wśród tych, którzy takich reguł w szkołach nie mają, prawie 65 proc. byłoby za. Pytanie, czy chcemy coś zrobić razem z młodzieżą, czy wobec młodzieży – ten drugi wariant zawsze jest trudniejszy i mniej wychowawczy. Nie warto się decydować na sam zakaz, a pomijać inne rozwiązania – jak edukację medialną, przygotowanie metodyczne nauczycieli. To jest paląca potrzeba dzisiejszych czasów. Nasze badania, np. ySkills czy EUKids Online, pokazują, że młodzież często nie rozumie świata online, np. działania algorytmów – ani teoretycznie, ani praktycznie. Bardzo wielu wciąż myśli, że na wszystkich urządzeniach wyświetla się to samo, gdy czegoś szukają. Oczywiście edukacja to droga dłuższa i droższa. A zakaz to krok prosty i mało kosztuje. Ale takie rozwiązania bardzo rzadko są skuteczne, a do tego rzadko badamy ich rezultaty.

ROZMAWIAŁA JOANNA CIEŚLA

Janek, w tym roku zdał maturę, ma doświadczenia z różnych szkół, głównie prywatnych:
Pierwszy telefon dostałem w czwartej klasie podstawówki. W szkole teoretycznie obowiązywał zakaz, ale wszyscy o tym zapomnieli. Co nie znaczy, że siedzieliśmy w telefonach cały czas, bo mieliśmy potrzebę wspólnej integracji. W innej szkole jedynym ograniczeniem było, żeby używać telefonu z sensem. Lekcje odbywały się w małych grupach, sporo było zajęć interaktywnych, więc raczej nikt smartfona nie nadużywał. VII i VIII klasa to już kolejna szkoła – telefony trzeba było deponować w pudełku przed wejściem. Zakaz nie bardzo się podobał, ale nikt z tego powodu specjalnie nie lamentował. Najbardziej uparci mieli po dwa telefony i deponowali tylko jeden.

Wanda, I klasa LO
Gdy chodziłam do publicznej szkoły, mogliśmy mieć telefony, ale wolno ich było używać tylko w ramach lekcji. Na przerwach nie, więc mnóstwo ludzi chowało się z telefonami po łazienkach. Takie zakazy są bezcelowe, jeśli nikt nie tłumaczy ich sensu. Nikt nam nie wyjaśnił, dlaczego nie możemy korzystać w czasie przerw; przecież to nasz czas wolny. Oczywiście bez sensu, jak ktoś scrolluje w czasie lekcji, ale jeśli chodzi o wyszukiwanie informacji czy przygotowywanie quizów, to smartfon może być takim narzędziem jak książka. Teraz idę do prywatnego liceum i z tego, co wiem, na czas lekcji oddaje się wyłączone telefony do specjalnego pudełka.

eprasa.pl 9042e7cb93

Karol, który chce zostać

RAFAŁ KALUKIN

Pręży bicepsy, lubi pokrzykiwać, obcesowo traktuje przeciwników. To wystarczyło, żeby Karol Nawrocki podbił serca rozkochanej w Trumpie polskiej prawicy. Tylko że nawet najlepsza podróbka nigdy nie zastąpi oryginału.

Jego dynamiczne wejście w prezydenturę zrobiło spore wrażenie na całej klasie politycznej, co niewątpliwie dodaje mu teraz animuszu. I chyba naprawdę polubił swoją rolę, gdyż odgrywa ją z niesłabnącym zapałem. Jeszcze wyraźniej daje się wyczuć w Karolu Nawrockim rosnące pokłady miłości własnej, kiedy sam o sobie mówi „prezydent Rzeczypospolitej". Pewnych zdolności istotnie nie sposób mu zresztą odmówić. W publicznych wystąpieniach jest coraz bardziej sugestywny. Owszem, deficyty kulturowe co jakiś czas wciąż się jeszcze ujawniają w dosyć elementarnych błędach językowych, które człowiekowi z doktoratem nie powinny się zdarzać. Przebieg ubiegłotygodniowej Rady Gabinetowej miał również kolejny raz potwierdzić, że głowa państwa nie jest wymagającym partnerem do merytorycznych dyskusji o państwie i gospodarce. Ale uwiedzeni ogólną krzepą Nawrockiego nie zwracają uwagi na takie drobiazgi.

Pierwszy miesiąc „ludowej" prezydentury był jednak ledwie wizerunkowym badaniem gruntu przed właściwym starciem. Opinia publiczna chętnie kupiła jego wizerunek politycznego predatora, który będzie teraz metodycznie i aż do skutku obijał rząd Tuska.

Nie bez przyczyny komentatorzy wskazują na inspirację Donaldem Trumpem, a można wręcz mówić o naśladownictwie. Niekiedy karykaturalnym, jak w przypadku garderoby, czyli granatowych garniturów i czerwonych krawatów, ale też podobnie władczych gestów, zawadiackich deklaracji, lekceważących uwag pod adresem politycznych rywali. Chociaż Amerykanin bywa mimo wszystko dosadniejszy, bardziej obcesowy. Styl

eprasa.pl 9042e7cb93

Donaldem

Nawrockiego to jadowita uprzejmość, poprzez którą demonstruje premierowi swoją dobrą wolę nawiązania poprawnych relacji, ale pod warunkiem że to on będzie w nich podmiotem dominującym.

Już widać, że do wetowania rządowych ustaw ma lekką rękę. Niektóre z wet można było bez trudu przewidzieć. Wręcz przesądzony wydawał się los ustawy o pomocy dla obywateli Ukrainy, która miała nieszczęście frontalnie zderzyć się z przybierającymi na sile antyukraińskimi nastrojami społecznymi. Najbardziej po prawej stronie, chociaż to akurat Rafał Trzaskowski w niedawnej kampanii jako pierwszy wyszedł z inicjatywą pozbawienia niepracujących Ukraińców prawa do świadczenia 800 plus, oczywiście Nawrocki nie potrzebował dodatkowych uzasadnień, bo okrajanie Ukraińców ze świadczeń jest dość powszechnie aprobowane. Sam prezydent żywi zresztą do Ukrainy resentyment, skupiając się przede wszystkim na rozliczaniu historycznych krzywd, oczywiście jednostronnie.

Trudno też było oczekiwać, że prezydent ulegnie „klimatycznemu szaleństwu" i podpisze ustawę wiatrakową. I rządowy trik z włączeniem do wspólnego projektu zamrożonych taryf na prąd nie miał większych szans tego zmienić. To chwyt nie tylko naruszający standardy legislacyjne, ale do tego ograny i prosty do obejścia. Ceny prądu są politycznie wrażliwe i obecne limity tak czy inaczej trzeba będzie pewnie przedłużyć. Tylko że teraz to Nawrocki będzie mógł mobilizować do tego rząd swoim projektem.

Ale już pozostałe weta dotyczące deregulacji prawa energetycznego, ordynacji podatkowej, zapasów gazu oraz ochrony roślin wcale nie były oczywiste. Żadna z tych ustaw nie naruszała przecież szczególnie istotnych dla prawicy norm politycznych bądź ideologicznych. To część legislacyjnej rutyny, która nie wywołuje poważnych skutków społecznych. W każdym z projektów ludzie Nawrockiego doszukali się jednak dziury w całym, żeby uzasadnić blokadę. Najwyraźniej chodziło po prostu o to, żeby takich wet na obecnym etapie było jak najwięcej.

To zapowiedź modelu prezydentury, jakiego w III RP jeszcze nie było. Poprzednicy Nawrockiego sięgali po prawo weta z różną intensywnością, ale mimo wszystko uważali je za narzędzie wyjątkowe. Do wykorzystania w sytuacjach nadzwyczajnych, kiedy miewali zasadnicze wątpliwości wobec stanowionego prawa, obawiali się społecznych skutków, w trakcie kampanii zabiegali o poklask wyborców, ewentualnie chcieli sprowokować ostrą konfrontację i coś na tym ugrać. Normą pozostawał jednak podpis, a nie jego odmowa.

Nawrocki najwyraźniej postanowił odwrócić proporcje. Dzisiaj wystarczy więc wskazać jakąś drobną wątpliwość, żeby odesłanie w niebyt ustawy stało się zasadne. Bez przejmowania się faktycznymi konsekwencjami, kosztami, spójnością systemu prawnego, międzynarodowymi zobowiązaniami. Prezydent wetuje, bo ma takie prawo, a jeśli wynikają z tego jakieś szkody, to rząd musi coś z tym zrobić.

To oczywiście nic innego jak demonstracja siły. Od objęcia urzędu Nawrocki daje rządowi do zrozumienia, że jego mandat jest mocniejszy i wymaga absolutnego podporządkowania się. Gabinet Tuska powinien więc porzucić swoją politykę i przystąpić do realizowania obietnic wyborczych prezydenta. Wbrew ustrojowej logice, ale to przecież tylko elitarne przesądy, bo żyjemy w czasach triumfującego chłopskiego rozumu. Nie po to w końcu naród wybrał swojego prezydenta, żeby ten siedział w pałacu i celebrował żyrandol.

I tak samo nie ma już znaczenia logika ekonomiczna. Nawrocki z jednej strony chce rozliczać rząd z potężnego deficytu budżetowego, a z drugiej domaga się uchwalenia swoich projektów, co oznaczałoby radykalne zwiększenie dziury w finansach. A jakby tego było mało, zapowiada weto każdej ustawy, która zwiększa publiczne daniny, poczynając od zapowiedzianego już wzrostu akcyzy na alkohol. A że nie ma w tym żadnego sensu? W codziennym jazgocie już mało kto zwraca na to uwagę. Politycznym ideałem jest dzisiaj „sprawczość", niechby w robieniu głupot.

W końcu Trump też nie jest ani spójny, ani tym bardziej konsekwentny. Nie na tym opiera się jego *modus operandi*, którego używa w polityce krajowej i zagranicznej. Chodzi zawsze o to samo – żeby wywrzeć presję, zastraszyć, upokorzyć. Tak, żeby stłamszonemu przeciwnikowi/partnerowi na koniec nie zostało już nic innego, jak zawrzeć *deal* na korzystnych dla Trumpa warunkach. Co prawda korzystnych tylko na krótką metę, bez przejmowania się długofalowymi skutkami, ale w zanarchizowanej populizmem polityce horyzonty już dawno się skróciły. Nie liczą się reguły, szersze wizje, traci na znaczeniu moralność.

Nie da się jednak skopiować samego tylko stylu Trumpa. Jego lokalna implementacja nieuchronnie prowadzić musi do rewizji ogólnych orientacji politycznych. Świetnie to widać w prawicowej publicystyce, która chyba się nawet nie zorientowała, jak daleko odeszła od niedawnych jeszcze dogmatów. „Prezydent i PiS są częścią zdobywającej kolejne przyczółki konserwatywnej międzynarodówki Trumpa" – bez ogródek stwierdził ostatnio autor tygodnika „Sieci", tak bardzo przecież przywiązanego do idei narodowej suwerenności. Owszem, istnieje też „międzynarodówka Sorosa, Obamy i von der Leyen", do której od dawna należy Tusk, tylko że ona jest już właściwie upadła. Pozostaje więc internacjonalizm pod sztandarem MAGA, czyli nie tyle konserwatywny, ile nacjonalistyczny.

Chociaż to oczywiście oksymoron, bo nacjonalizm nie jest ideologią braterstwa, lecz egoizmu. Co próbuje się jednak rozmywać za pomocą swoistego realizmu, tak samo zresztą zaskakującego w świetle głoszonych wcześniej poglądów i wartości. Cóż jednak uczynić, kiedy – jak z kolei przy okazji rozważań o szczycie na Alasce zauważa publicysta „Do Rzeczy" – „reset amerykańsko-rosyjski właściwie już się dokonał"? I „nazywając rzecz po imieniu", sam sobie odpowiada, postulując „zręczne dostosowanie się polskiego wasala (...) do amerykańskiego suwerena". Trump jest bowiem „człowiekiem zdolnym wynagradzać lojalność oraz okazywany mu publicznie szacunek".

Przed laty popularny był na prawicy slogan „Polska Wielki Projekt". Dzisiaj najwyraźniej zostało z tego już tylko płaszczenie się przed suwerenem z Białego Domu, nawet jeśli jeszcze nie wszyscy autorzy aż tak otwarcie tę myśl wyrażają. Czasem zawarta jest ona w dygresjach, jak u kolejnego z autorów – tym razem ponownie „Sieci" – który ma za złe Radosławowi Sikorskiemu jego kategoryczną odmowę nawiązania kontaktów dyplomatycznych z Białorusią. Szefowi polskiej dyplomacji zabrakło bowiem „wyczucia czasu, rytmu i okoliczności", nie przewidział bowiem, że dwa dni ▶

© MARCIN GADOMSKI/PAP, WILL OLIVER/EPA/PAP

eprasa.pl 9042e7cb93

▶ później Trump odbędzie „wspaniałą rozmowę” z Łukaszenką. I nie ma znaczenia, że tego samego Sikorskiego i pozostałych liderów koalicji pieszczotliwie określa się na paskach TV Republika mianem „reseciarzy”. Najwyraźniej są resety równe i równiejsze.

Przy tak daleko posuniętej fascynacji Trumpem, że nawet zdołała zniwelować tradycyjne obawy przed Putinem, zapożyczenia propagandowe zza oceanu stają się niewartym zauważenia szczegółem. Jak czytamy w „Sieciach”: „Karol Nawrocki jest młody i dopiero startuje. Donald Tusk zaś jest stary, chory i na finiszu politycznego wyścigu”, a do tego „jest politykiem bez agendy, bez celu i krzty seksapilu, zarażającym wszystkich dookoła poczuciem klęski”. Czyli, wypisz wymaluj, jak witalny Trump i stetryczały „Sleepy Joe” Biden.

Równie niekorzystnie wypada zresztą na tych łamach porównanie ekip premiera i prezydenta: u Tuska to wyliniałe koty, a „na tym tle team Karola Nawrockiego wygląda jak Barcelona przy Izolatorze Boguchwała”. Ilustrowały tę metaforę pałacowe przechwałki o tym, jak to ludzie Nawrockiego posadzili samotnego Tuska pod portretem Lecha Kaczyńskiego i kazali mu czekać na prezydenta. Winszowano też sprytu samemu Nawrockiemu, który w ostatniej chwili ogłosił termin Rady Gabinetowej, żeby Tusk nie mógł sobie zaplanować urlopu. Ot, „barcelońska” finezja...

Z kolei o taktyce „Barcelony” można się było trochę więcej dowiedzieć od szefa gabinetu prezydenta Pawła Szefernakera, który w ubiegłym tygodniu był gościem organizowanej przez IBRiS konferencji Horyzonty. Pytany o model prezydentury, z uporem powracał do kampanii wyborczej Nawrockiego, którą zresztą kierował. W jego mniemaniu zasługuje ona jednak na kontynuację, gdyż wyznaczyła nowe szlaki na drodze „profesjonalizacji polskiej polityki”. Posługujący się beznamiętnym żargonem politycznego technologa Szefernaker najwyraźniej nie miał jednak świadomości, że po głównym doradcy głowy państwa publiczność oczekiwała mimo wszystko jakiejś refleksji państwowej. Dostała czytelny sygnał: kampania trwa nieprzerwanie i cała polityka prezydenckiego ośrodka będzie podlegać jej logice.

Tyle że rozpychanie się Nawrockiego mimo wszystko napotkało już pierwsze poważne bariery. Rada Gabinetowa pewnie miała być spektaklem imperialnym, kolejnym etapem wizerunkowego podporządkowywania rządu prezydentowi. Nie po to jego ludzie snuli wcześniej po mediach barwne metafory na temat kiepskiej formy Tuska („Premier zaliczył knockdown i jest o kilka sekund od knockoutu”), żeby trzymać się dekoracyjnej roli tego ciała. Tyle że Nawrocki od początku blefował, co Tusk skutecznie zdemaskował, w miarę precyzyjnie określając konstytucyjne granice wpływów.

W efekcie zrobił się z tego dosyć typowy pojedynek na miny, w którym prezydent też zresztą specjalnie nie błysnął. I chociaż jego ludzie zapowiadają ustanowienie cykliczności spektaklu, nie widać w tym większego sensu. Każda kolejna Rada Gabinetowa będzie się odtąd cieszyć coraz słabszym zainteresowaniem, aż ich zwoływanie w ogóle przestanie mieć sens. Ale też nie jest to mechanizm ustanowiony w celu wymuszania na rządach uległości. Zaprojektowany w bardziej idealistycznych czasach, miał pomóc usprawnić oczekiwaną współpracę obu ośrodków władzy wykonawczej w nadzwyczajnych sytuacjach.

Pytanie, czego tak naprawdę oczekują wyborcy. Permanentnej bijatyki, która już do końca zdestabilizuje państwo, czy mimo wszystko owej mitycznej „sprawczości”? Sam Nawrocki posiłkuje się hasłem ustanowienia nowej konstytucji, ale to obietnica trudna do zrealizowania przy mimo wszystko dosyć wyrównanych siłach. Z kolei stratedzy z Nowogrodzkiej zapewne zakładają, że choćby dla świętego spokoju Polacy pójdą za dwa lata zagłosować na PiS, żeby obecny chaos wreszcie się skończył. Tyle że racjonalność tej kalkulacji również nie jest oczywista, skoro źródłem bałaganu będzie przede wszystkim Nawrocki. „Ludowa” prezydentura dzisiaj może się podobać, ale obietnicy silnego przywództwa w stylu Trumpa nie zrealizuje. A wtedy społeczna cierpliwość dla głowy państwa, która wetuje rządowi kolejne ustawy tylko z tego powodu, że „zupa była za słona”, może się zacząć wyczerpywać.

Tym bardziej że to rząd poprzez skoordynowaną legislację kontroluje państwową agendę. I jeżeli skupi na tym swój wysiłek, pewnie ma jeszcze szansę odwrócić niekorzystną dzisiaj dynamikę. Dysponuje zresztą furtką w postaci rozporządzeń. Nie przejmując się aż tak bardzo selektywnie podsyłanymi projektami prezydenckimi, które najpewniej zaczną seryjnie lądować w sejmowej zamrażarce jako rażące przypadki braku odpowiedzialności za kasę państwa. Chyba że udałoby się Nawrockiemu zaproponować coś realistycznego, otwierając pole negocjacyjne. To jednak scenariusz chyba zbyt optymistyczny jak na obecne ambicje prezydenta i fantazje jego zaplecza o polskim Trumpie.

I wszystko to niestety rokuje dla państwa jak najgorzej. Tym bardziej że chyba nie ma też widoków na elementarną współpracę w polityce zagranicznej. Pokazały to najlepiej uzgodnienia przed wizytą Nawrockiego w Waszyngtonie. Jak zawsze w takich przypadkach MSZ przesłał do Pałacu Prezydenckiego swoją instrukcję, do czego miał pełne prawo, gdyż – jak mówi konstytucja – to rząd we współpracy z prezydentem prowadzi politykę zagraniczną. Tylko co z tego, skoro prezydencka „Barcelona” zdecydowała się kolejny raz odegrać swoją firmową tiki-takę?

Dokument najpierw został zaanonsowany w mediach jako „kiepska rozprawka z WOS”, a następnie wyciekł do dyżurnego trefnisia z Kanału Zero Roberta Mazurka, który przez blisko pół godziny zrywał boki z ubawu, jak niepoważni ludzie kierują polską dyplomacją. Propagandowy strzał w dziesiątkę, gdyż już w pierwszych godzinach obejrzały to setki tysięcy internautów.

Ale w urzędniczym żargonie akurat zaszyte zostały sensowne postulaty, żeby Nawrocki nie podejmował w rozmowie z Trumpem zobowiązań w sprawie kontraktów zbrojeniowych ani też w miarę możliwości nie poruszał drażliwej kwestii podatku cyfrowego. W obu tych sprawach dobrze jest bowiem zachować pole manewru, tylko żeby to zrozumieć, należałoby jednak chwilowo zawiesić członkostwo w międzynarodówce MAGA. Dla dziennikarskich akolitów Nawrockiego to najwyraźniej nieosiągalne. A dla samego prezydenta? Incydent z notatką też nie daje powodów do optymizmu.

Wygląda więc na to, że organizowana z takim zadęciem wizyta nie będzie niczym więcej jak tylko pielgrzymką do idola, konfrontacją podróbki z oryginałem, okazją do porównania czerwonych krawatów. Do bieżącego wykorzystania w krajowej polityce, ale mimo wszystko z ograniczonym terminem przydatności. Ostatecznie imitacja ma swoje ograniczenia, bo stojący na czele globalnego mocarstwa Trump jest tylko jeden, podczas gdy lokalnych wyrobów trumpopodobnych namnożyło się już na całym świecie całkiem sporo. Zauroczeni dzisiaj Nawrockim mogą więc przeżyć jeszcze niejedno rozczarowanie.

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl 9042e7cb93

© KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI/FORUM, ERYK STAWIŃSKI/REPORTER

Czyściciel

EWA SIEDLECKA

Minister Waldemar Żurek miał nadać nowe tempo zmianom w wymiarze sprawiedliwości, ale także przyspieszyć śledztwa w sprawie afer byłej władzy. Jaka zatem jest sytuacja w prokuraturze pod nowym zwierzchnictwem?

„Nie będę doginał prokuratorów, natomiast chciałbym, żeby oni sami poczuli, że nie mogą się bać stawiać zarzutów" – deklaruje nowy prokurator generalny Waldemar Żurek. A jednocześnie „dogina" prokuratora, który nie chciał postawić zarzutów Robertowi Bąkiewiczowi. „Miało być pięknie, ▶

eprasa.pl 9042e7cb93

▶ a wyszedł PiS bis" – taką opinię słychać wśród prokuratorów. I to nie z okazji „dogięcia" prokuratora od Bąkiewicza. To podsumowanie półtorarocznych rządów w prokuraturze nowej władzy. Niesprawiedliwe, ale oddaje zawiedzione nadzieje wielu prokuratorów. Oni chcieliby przede wszystkim gwarancji niezależności i czytelnych zasad awansów. Władza polityczna – za głosem swojego elektoratu – chce zaś karnego rozliczenia ekipy rządzącej za PiS. Jedno z drugim niekoniecznie się rymuje. Szczególnie tam, gdzie przewiny wymykają się kwalifikacji prawnej.

Waldemar Żurek dostał od premiera zadanie przyspieszenia rozliczeń. A więc politycznie jego najważniejsza funkcja to stanowisko prokuratora generalnego. Na razie jako sędzia cywilista niewiele miał z nią wspólnego, więc jest to skok w nieznane.

Pierwszą decyzją kadrową PG Żurka było powołanie znanej z niezależności, ale też kontrowersyjnej w środowisku, prokuratorki Ewy Wrzosek na swoją doradczynię. Oficjalnie jest radczynią prawną ministra sprawiedliwości, delegowaną w tym celu do ministerstwa do „współpracy w imieniu ministra sprawiedliwości prokuratora generalnego z Prokuraturą Krajową". Prokurator Żurek powtórzył więc nieudany eksperyment swojego poprzednika Adama Bodnara, który skończył się odwołaniem prokuratorki z delegacji do ministerstwa. – *Ja lubię wyzwania i lubię pracować z ludźmi, którzy są niesztampowi* – tłumaczy POLITYCE.

Zaczął urzędowanie od złamania prokuratorskiej niezależności. Sprawa dotyczyła postaci, z którą trudno sympatyzować: Roberta Bąkiewicza. Wprawdzie prokurator generalny Żurek nie mówił publicznie, że oczekuje od prokuratora postawienia zarzutu Bąkiewiczowi, ale dla prokuratorów jest jasne, że chciał im w ten sposób pokazać, że twardo będzie egzekwował od nich swoją wolę.

Media podały, że prokurator Prokuratury Okręgowej w Gorzowie Wielkopolskim „nie chce stawiać zarzutów Bąkiewiczowi". Założono, że kwestia złamania przez Bąkiewicza prawa jest oczywista, a ów prokurator albo boi się zemsty Ziobry, albo popiera Bąkiewicza. Tymczasem skorzystał on z prawa do własnej oceny materiału dowodowego, a ponieważ przełożony (prokurator regionalny w Szczecinie) miał inne zdanie, poprosił o wydanie polecenia na piśmie. Za PiS, a także wcześniej, prokuratorzy, którzy korzystali z tego przepisu, uważani byli za bohaterów pozytywnych, którzy narażali się przełożonym, broniąc swojej niezależności. Tym razem prokuratora publicznie napiętnowano. A on uzasadnił swoje stanowisko tym, że na tym etapie śledztwa jest za wcześnie, by stawiać Bąkiewiczowi zarzut znieważenia funkcjonariuszy na służbie. Chodzi o monolog wygłoszony do pograniczników na polsko-niemieckiej granicy, w którym padły słowa: „Gdzie macie honor? Ile tego honoru macie?".

Kiedy gorzowski prokurator dostał pisemne polecenie przełożonego, skorzystał z kolejnego przepisu i poprosił o wyłączenie go ze sprawy. Prokurator krajowy Dariusz Korneluk nie uwzględnił tej prośby. W oficjalnym oświadczeniu Prokuratury Krajowej podano, że polecenie postawienia zarzutu jest „czynnością techniczną", którą prokurator „powinien wykonać niezależnie od własnych ocen prawnych i faktycznych, ponieważ nie on ponosi za nią odpowiedzialność".

Takie uzasadnienie zszokowało prokuratorów bez względu na ich polityczne sympatie i antypatie, bo co jak co, ale postawienie zarzutów, podobnie jak skierowanie aktu oskarżenia, zatrzymanie czy wniosek o areszt, to kluczowe czynności procesowe w śledztwie, a nie żadna „czynność techniczna".

Lex Super Omnia, stowarzyszenie założone przez prokuratorów, którzy nie dali sobie łamać kręgosłupów za Ziobry, wydało oświadczenie, w którym krytykuje działanie prokuratora krajowego i domaga się usunięcia z prawa o prokuraturze przepisu umożliwiającego zmuszenie prokuratora do wykonania czynności procesowej, z którą się nie zgadza. „Nowa prokuratura musi być zbudowana na fundamencie niezależności prokuratorów. Tylko niezależny prokurator jest gwarantem rzetelnego procesu" – napisało LSO w oświadczeniu.

Ta sprawa może mieć krytyczne znaczenie dla powodzenia misji prokuratora generalnego Waldemara Żurka. Żeby się powiodła, musi on mieć poparcie i zaufanie przynajmniej części prokuratorów. Tymczasem już na starcie zaatakował kluczową dla poczucia ich zawodowej godności zasadę niezależności. Prawda, że zaatakował jawnie, a nie – jak było za Ziobry – ukrytymi naciskami, ale przecież prokuratorowi, który odmówiłby wykonania wydanego na piśmie polecenia przełożonego, grożą konsekwencje służbowe, a także dyscyplinarne.

Naciski wpisują się w praktykę prokuratury nieprzerwanie od czasów PRL. Choć nie zawsze polegają na zakulisowym wymuszaniu przez przełożonego działań niezgodnych ze stanem sprawy i oceną prokuratora. Odbierane są tak np. publiczne oświadczenia prokuratora generalnego przesądzające o winie czy żądające surowej kary, a nawet przewidziane prawem wytyczne co do tego, jak prokuratorzy powinni interpretować przepisy, ścigać określone czyny czy wnioskować o areszt. (Słynne były np. wytyczne prokuratora Zbigniewa Ziobry za pierwszych rządów PiS o w zasadzie obligatoryjnym wnioskowaniu o areszt tymczasowy, po którym przekroczona została pojemność więzień). Prokurator generalny Adam Bodnar wydawał – po zaakceptowaniu przez Krajową Radę Prokuratorów – wytyczne w sprawach głośnych medialnie, jak ataki na pracowników służby zdrowia, odmowy zabiegu przerwania ciąży czy tzw. aborcji farmakologicznej, a ostatnio w sprawie użycia środków przymusu bezpośredniego przez policję. Prokuratorzy jako naciski odbierają też np. oczekiwanie aktów oskarżenia w sprawach związanych z mową nienawiści, które nie zawsze są takie oczywiste i wymagają wyważenia kwestii wolności słowa. Można się zgadzać z tą prokuratorską wrażliwością lub nie – tym bardziej gdy owocuje hasłem, że teraz w prokuraturze jest „PiS bis" – ale faktem jest, że wielu prokuratorów „liniowych" czuje się zawiedzionych.

A nadzieje wiązane z prokuratorem generalnym Bodnarem były wielkie, bo to i były rzecznik praw obywatelskich, i prezes Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. Bodnar robił gesty w stronę prokuratorów, jeżdżąc na spotkania z nimi po całej Polsce i słuchając żalów. Wynikiem było m.in. powołanie Komisji

eprasa.pl 9042e7cb93

Antymobbingowej, podwyższenie wynagrodzeń dla pracowników prokuratury, zmniejszenie liczby prokuratorów delegowanych (to patologia z czasów Ziobry, pozwalająca trzymać takich delegowanych „w górę" prokuratorów na smyczy albo karać delegacją „w dół"), przyspieszenie procesu digitalizacji akt i w ogóle cyfryzacji w prokuraturze.

PG Bodnar usunął ze stanowiska prokuratora krajowego – sprytnie wykorzystując prawo – teoretycznie niemożliwego do ruszenia namiestnika Zbigniewa Ziobry Dariusza Barskiego. Wprowadził polską prokuraturę do prokuratury europejskiej. Praktycznie odsunął od wpływu na działalność prokuratury swoich zastępców mianowanych przez Ziobrę, którzy – kto to dziś pamięta? – zainicjowali przeciwko niemu regularny bunt z okupacją Prokuratury Generalnej i przejęciem jej serwerów. Zlecił stworzenie raportu na temat spraw politycznie sterowanych za czasów Ziobry, czyli śledztw wszczynanych dla zastraszenia lub z zemsty i takich, którym „ukręcano głowę". To wszystko były ważne i potrzebne działania.

Prokuratorzy skarżą się dziś na brak czytelnych zasad awansów. Na to, że za Ziobry w prokuraturze rządzili prokuratorzy ze stowarzyszenia Ad Vocem, a teraz – ze stowarzyszenia Lex Super Omnia. Że projekt o rozdziale prokuratury od rządu utknął w rządowym procesie legislacyjnym, a politycy rządzącej ekipy mówią, że należy dać sobie z nim spokój, bo rozdzielenia chcą prokuratorzy ziobrowi, co prokuratorzy komentują: każda władza chce mieć swoją prokuraturę. Na dowód wskazują, że w tym projekcie o rozdziale nie zmieniono przepisów wprowadzonych przez Ziobrę dla manipulowania prokuratorami i śledztwami: o prawie nakazania prokuratorowi przez przełożonego wykonania czynności procesowej, z którą ten się nie zgadza, o możliwości przedłużania w nieskończoność delegowania prokuratora bez jego zgody, o uznaniowym trybie awansów, nie wykreślono nawet przepisów tzw. ustawy kagańcowej. Mają świadomość, że prezydent i tak by tego nie podpisał, ale uchwalenie takich zmian byłoby przynajmniej gestem dobrej woli wobec prokuratorów. „Polityczna kontrola nad prokuraturą nadal trwa, a niezależność pozostaje iluzją. W tym kontekście coraz trudniej nie przyznać racji tym, którzy ostrzegali, że politycy nas po prostu oszukają" – napisało w niedawnym oświadczeniu stowarzyszenie Lex Super Omnia.

Prokuratorzy krytykują brak otwartych konkursów na miejsca w prokuraturach wyższych szczebli. Wprawdzie nie ma do nich podstawy prawnej w ziobrowym prawie o prokuraturze, ale jakoś bez tego udało się PG Adamowi Bodnarowi przeprowadzić konkurs na prokuratora krajowego, na szefa Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury czy na etaty w prokuraturze europejskiej.

Zapytany przez POLITYKĘ o brak konkursów przy awansach i o to, dlaczego nie pytał o opinię kolegium prokuratury, w której był wakat, Adam Bodnar powiedział, że osoby do awansu przedstawiał mu prokurator krajowy Dariusz Korneluk, zawsze z obszernym uzasadnieniem i informacją na temat awansowanego, więc miał pewność, że awansuje osobę najlepszą z możliwych. Tyle że tej pewności nie mieli prokuratorzy, którzy na taki system awansów patrzyli. Tym bardziej że panuje opinia, iż prokuratura jest dziś bardziej podzielona niż kiedykolwiek. Są ziobryści i antyziobryści, bodnarowcy i antybodnarowcy, niezrzeszeni, ale krytyczni, ci, którzy chcą spokojnie pracować, i ci, którzy chcą przetrwać i nie oberwać.

– *Ja mam zupełnie inną metodę, niż miał Adam Bodnar. Szanując jego dokonania i kontynuując wiele jego projektów, przede wszystkim chcę powiedzieć prokuratorom, że nie ma wrogów wśród obrońców demokracji. Wrogami w prokuraturze są ci, którzy wykonywali polityczne polecenia i którzy czekają tylko na powrót swojego pryncypała, który dawał im szybkie ścieżki awansu, nieograniczoną władzę i parasol ochronny do łamania wszystkich zasad funkcjonowania prokuratury* – mówi POLITYCE prokurator Żurek. – *Moim celem jest stworzenie w prokuraturze kadry ludzi, którzy nie będą się bali politycznych retorsji za śledztwa. Powinno dojść do zmian kadrowych i pokazania prokuratorom liniowym, że nie muszą się obawiać długich rąk ludzi Ziobry* – dodaje.

Pytany o losy projektu rozdziału prokuratury od rządu mówi, że jakąkolwiek reformę prokuratury musi poprzedzić jej oczyszczenie: – *Najpierw trzeba podjąć działania, które mogą przywrócić wiarę, że zmiana w prokuraturze jest realna i trwała. Prokuratura jest jak pacjent w naprawdę złym stanie. Jeśli go wypuścimy ze szpitala, zanim go wyleczymy, to on przewróci się za progiem.*

Pozbycie się nominatów Ziobry, pozostałych jeszcze na wysokich funkcjach w prokuraturze, uważa za kluczowe. Bodnar ich zneutralizował i usiłował usunąć za pomocą postępowań dyscyplinarnych i karnych, ale blokuje to Izba Odpowiedzialności Zawodowej w Sądzie Najwyższym. Jak sobie z tym poradzi Żurek? Nie chce zdradzić. Ale ich pozostawanie na stanowiskach uważa za korzeń zła, który sprawia, że inni prokuratorzy nie wierzą w możliwość odnowy prokuratury, boją się powrotu Zbigniewa Ziobry (który już ich straszy) i nie chcą oskarżać ludzi władzy PiS.

A co z priorytetem premiera, który oczekuje przyspieszenia już teraz? Na razie mamy akt oskarżenia wobec byłego szefa MON Błaszczaka i jego byłego doradcy, a dziś szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego Cenckiewicza, ale to jeszcze urobek Bodnara. Podobnie jak zarzuty dla Grzegorza Brauna. – *Nie będę „doginał" prokuratorów, natomiast chciałbym, żeby oni sami poczuli, że są niezależni, że nie mogą się bać stawiać zarzutów. Mam instrumenty nacisku, które do prawa o prokuraturze wprowadził Ziobro, ale będę je wykorzystywał tam, gdzie nie będzie wyjścia. Muszę mieć zaufanie do prokuratorów, bo oni są fachowcami. I nie chodzi o to, że powiem: macie stawiać zarzuty wbrew wszystkiemu. Chodzi o sytuację, gdy będę np. widział, że prokurator przewleka postępowanie i ma wstręt do stawiania zarzutów.*

Tymczasem w reakcji na wszelkie przyspieszenia, rozliczenia i odnowy pojawił się ruch funkcjonujący w internecie jako @DNWSSiNWSO. Czyli: Dajcie Nam Wszyscy Święty Spokój i Normalnie Wykonywać Swoje Obowiązki. To coś w rodzaju prawniczej Pomarańczowej Alternatywy z lat 80., która rozbrajała stan wojenny błazeńskimi happeningami. Ruch ma już swoje logo: Temidę w różnych prześmiewczych kontekstach. Bo wciąż sytuacja jest nadzwyczajna i nienormalna.

EWA SIEDLECKA

eprasa.pl 9042e7cb93

W ramach programu „Zwiastun" żołnierze sił NATO roznoszą na Litwie paczki dla potrzebujących. Płaci za to PFN, czyli polski podatnik, ale w roli darczyńcy występuje litewski podmiot.

Będą wydawać dalej

Instytut z Wilna, za którym stoi polski franciszkanin, rzutem na taśmę otrzymał od odchodzącego zarządu Polskiej Fundacji Narodowej 12,5 mln zł. Nowe władze PFN próbują te pieniądze odzyskać, ale kiedy Karol Nawrocki wygrał wybory prezydenckie, negocjacje stanęły.

ANNA DĄBROWSKA

Prokuratura w Rzeszowie zdecydowała o wszczęciu śledztwa z pierwszego zawiadomienia, które w lutym złożyła Polska Fundacja Narodowa, na działanie poprzedniego zarządu. Chodzi o ok. 30 mln zł szkody w majątku fundacji, których dopuścić mieli się prezesi związani z Prawem i Sprawiedliwością. Miliony poszły m.in. na słynną kampanię „Sprawiedliwe Sądy", wskazano także na nieprawidłowości związane z projektami „Polskie Dziedzictwo Wschód" i „Zwiastun". W ramach tych dwóch ostatnich wytransferowano z PFN ponad 12,5 mln zł na rzecz „podmiotu litewskiego". „Zawarcie tej umowy było jaskrawo sprzeczne z celami, do realizacji których Fundacja została powołana, a sama umowa jest dla PFN niekorzystna" – czytamy w oficjalnym komunikacie.

Chodzi o Wileńskie Centrum Kultury i Duchowości – Instytut Dziedzictwa Rzeczpospolitej Trojga Narodów. Faktycznie instytutem zarządza franciszkanin o. Marek Adam Dettlaff. Okoliczności przekazania mu pieniędzy są zadziwiające. 12 lutego 2024 r. obsadzony przez działaczy PiS zarząd PFN podjął uchwałę o oddaniu do realizacji Instytutowi dwóch wielkich projektów. Dziesięć dni później cały zarząd, wiedząc już, że za chwilę zostanie odwołany przez nowe władze, sam złożył rezygnację. A dzień przed odejściem (21 lutego) mijał termin przelania na konto Wileńskiego Centrum Kultury i Duchowości 12 mln 650 tys. zł.

Oficjalne uzasadnienie darowizny to „duża liczba zadań PFN oraz konieczność należytego i starannego wykonywania wszelkich przedsięwzięć". Wiadomo jednak, że koszty realizacji projektów prowadzonych przez franciszkanina na terenie Polski są wyższe niż te, które ponosiłaby Fundacja, bezpośrednio realizując te działania. Nowe władze PFN długo prowadziły z o. Dettlaffem negocjacje i były już blisko odzyskania chociaż części pieniędzy, za które Fundacja mogłaby kontynuować realizację projektów. Do dziś to się jednak nie udało.

„Polskie Dziedzictwo Wschód" ma na celu zwiększenie ochrony polskiego dziedzictwa na Kresach przez

© VALDEMAR DOVEIKO/PAP

eprasa.pl 9042e7cb93

dofinansowanie renowacji polskich zabytków oraz dbanie o relacje z Polakami mieszkającymi na Kresach, także poprzez pomoc materialną w postaci np. słynnej „Paczki na Kresy". „Zwiastun" jest skierowany do stacjonujących w Polsce żołnierzy NATO, by budować pozytywne skojarzenia z naszym krajem (m.in. odwiedzają najważniejsze miasta, poznają tradycję i historię Polski).

Pieniądze bez rozliczenia?

W uchwale o przekazaniu ponad 12,5 mln zł zapisano, że „oba projekty realizowane są w sposób reaktywny na występujące aktualnie potrzeby i nie ma możliwości przewidzenia terminarza działań". Dlatego w podpisanym przez cały zarząd dokumencie stwierdzono, że środki mają zostać rozliczone do 30 kwietnia 2029 r. – *To zaskakujące i prawnie wątpliwe, biorąc pod uwagę to, że zgodnie z aktem założycielskim PFN finansowanie Fundacji zostało zapewnione tylko do 2026 r. To oznacza, że Fundacja w tym roku może przestać istnieć i obdarowani nie będą mieli przed kim się z tych ponad 12 mln zł rozliczyć* – tłumaczy konsekwencje tego zapisu obecny prezes PFN Maciej Szudek.

Ktoś inny opowiada, że Cezary Jurkiewicz z dawnego zarządu, który podpisywał się pod umowami z franciszkaninem, szczególnie je ochrania, bo sam mocno był w nie zaangażowany. Był pierwszym prezesem PFN i zarazem organizatorem służby porządkowej podczas miesięcznic smoleńskich. Przypomnijmy, że przez władze PFN przewinął się Maciej Świrski, którego w 2022 r. Sejm głosami PiS wydelegował na przewodniczącego Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, a ostatnio – również głosami ludzi wysłanych do Rady przez PiS – odwołano go z tej funkcji. Stanie przed Trybunałem Stanu. Cezary Jurkiewicz jest jego asystentem w KRRiT. – *To Jurkiewicz stoi za tym, aby te pieniądze od franciszkanów nie wróciły do PFN. Widać, że po wygranych wyborach prezydenckich przez PiS poczuli wiatr politycznych zmian i są przekonani, że nie będzie żadnych rozliczeń, partia Jarosława Kaczyńskiego wróci do władzy i będą kolejne pieniądze na przedziwne projekty* – twierdzi informator POLITYKI.

Kuriozalne jest to, że za pieniądze PFN pochodzące z największych polskich spółek z udziałem Skarbu Państwa to litewski instytut, a nie polska fundacja, występuje wobec beneficjentów projektów „Zwiastun" i „Polskie Dziedzictwo Wschód" jako organizator czy darczyńca. Jeśli mówimy o budowaniu *soft power* Polski, czym powinna się zajmować PFN, to kompletnie niezrozumiałe jest doprowadzenie do tego, że rodzina obdarowana w ramach „Paczki na Kresy" albo amerykański, brytyjski czy rumuński żołnierz NATO uczestniczący w projekcie „Zwiastun" widzą w roli darczyńcy czy organizatora podmiot litewski. Jak to się ma do promocji Polski?

Przebieg negocjacji nowego zarządu PFN z franciszkaninem jest tego potwierdzeniem. Na początku, w połowie 2024 r., o. Dettlaff twierdził, że z całej puli wydał ok. 500 tys. zł, a resztę odda, jeśli dostanie z PFN pisemne potwierdzenie braku zastrzeżeń co do rozliczenia. – *Nie mogliśmy się na to zgodzić, dopóki nie sprawdzimy w dokumentach, czy te pół miliona zostało wydane zgodnie z umową. Ale o. Dettlaff nalegał i przekazał nam, że dopóki nie przystaniemy na jego żądanie, to on nie odda PFN 12 mln zł, które zostały z darowizny* – opowiada prezes Szudek.

Być może duchowny się obawiał, że jeśli odda całą pulę, to PFN nie zatwierdzi poczynionych wydatków. Skoro jednak wydawał na to, do czego miał prawo, to dlaczego nie chciał pokazać kompletnej dokumentacji? Negocjacje ciągnęły się tygodniami, sprawa utknęła w miejscu. Tymczasem Wileńskie Centrum bez porozumienia z nowymi władzami PFN kontynuuje realizację projektów, a pula 12,5 mln zł z tygodnia na tydzień topnieje. Przy kolejnej próbie doprowadzenia do ich zwrotu franciszkanin stwierdził, że zaciągnął kolejne zobowiązania – do końca 2025 r. – na ok. 500 tys. euro, ale nadal nie chciał udowodnić, że pieniądze wydano właściwie. Nasz informator twierdzi, że być może część poszła na budowę pokoi gościnnych w klasztorze, co byłoby niezgodne z przeznaczeniem darowizny. Ostatecznie o. Dettlaff zerwał rozmowy i poinformował, że Wileńskie Centrum będzie dalej prowadzić projekty i nie zamierza oddawać ani euro.

Całkowicie zależni od zakonu

Stało się to zaraz po drugiej turze wyborów prezydenckich. – *To nie jest przypadek, że rozmowy zostały zerwane zaraz po wygranej Karola Nawrockiego. Dettlaff ma dobre układy w PiS i poczuł się kompletnie bezkarny. Nawet jak PFN wezwie go do zwrotu całej kasy, to sprawa będzie się ciągnęła latami, on zdąży ją już wydać, a potem wróci PiS i da mu kolejne miliony* – mówi z irytacją osoba związana z PFN.

Dodaje, że PiS potrafił tupnąć nogą i wszystkie spółki karnie płaciły na PFN, niezbyt interesując się losem tych pieniędzy. Pod nowymi rządami nie chcą już łożyć na „pisowską" – jak można usłyszeć – fundację. Co więcej, niektóre spółki wysłały żądania przedsądowe o zwrot wpłaconych od początku istnienia Fundacji milionów, a ENEA, PKO BP i Tauron pozwały ją do o zwrot łącznie ponad 70 mln zł. Jednak prezes Szudek zamierza robić to, do czego został powołany, choć sytuacja PFN jest trudna, bo z jednej strony musi rozliczać i próbować odzyskiwać zmarnowane miliony, a z drugiej realizować statutowe cele. – *Na dniach wystąpimy do Wileńskiego Centrum Kultury i Duchowości przedsądowo o zwrot całej przekazanej przez poprzedni zarząd kwoty, tj. ponad 12,5 mln zł. Niestety, o. Dettlaff nie odpowiedział na próby ugodowego rozwiązania sprawy, więc nie mamy innego wyjścia* – ujawnia.

Zapytaliśmy franciszkanina, czy zamierza odpowiedzieć na wezwanie PFN i oddać pieniądze. Jego prawa ręka, księgowa Regina Karpowicz, oficjalnie dyrektorka Wileńskiego Centrum Kultury i Duchowości, odpisała, że takie wezwanie „sprzeciwia się w samej istocie zawartej umowie podpisanej przez Zarząd PFN i Centrum. I byłyby złamaniem zawartej umowy między tymi organizacjami". A pieniędzy otrzymali już sporo, nie tylko te 12,5 mln zł.

Franciszkanin związany jest z archidiecezją wileńską od początku lat 90. Sprawował tam funkcje m.in. pierwszego rektora kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, delegata ds. renowacji i rewitalizacji franciszkańskiego kompleksu w Wilnie, pełni też posługę egzorcysty. „Wileńskie Centrum Kultury i Duchowości nie jest instytucją samodzielną. Całkowicie jest zależne od zakonu i przed prowincjałem zdaje relację ze swej działalności. Natomiast nad przyjmowanymi decyzjami czuwa o. Marek Dettlaff" – tłumaczyła niedawno w lokalnych mediach Regina Karpowicz, dyrektorka Centrum. I dalej opowiadała, czym się centrum zajmuje. Po pierwsze, to sprawy gospodarcze: utrzymanie pomieszczeń, ich wynajem, remonty. Po drugie, działalność kulturalno-duchowa, w tym rekolekcje, ▶

eprasa.pl 9042e7cb93

O. Marek Adam Dettlaff zerwał rozmowy z zarządem PFN i nie zamierza oddawać ani euro

▶ konferencje, zajęcia z ikonoterapii. Centrum wzięło też na siebie renowację kościoła Wniebowzięcia NMP w Wilnie, a PFN szczególnie w tym pomogła.

Na klasztor, szopkę i organy

W marcu 2019 r. zakon franciszkanów otrzymuje 213 tys. zł na „Patriotyczną Szopkę Bożonarodzeniową w Wilnie". Szopka ma zostać zainstalowana w jego wileńskim kościele. Chodzi o „34 figury poruszające się i odpowiednio oświetlone". Będą to „Jezus, Maria, Józef, Trzej Królowie, 3 pastuszków, 5 baranków, św. Franciszek itd.". Każda figura za 1,6 tys. zł, wszystkie za ponad 54 tys. zł.

W kwietniu 2019 r. Wileńskie Centrum Kultury i Duchowości otrzymuje od PFN 1,868 mln zł darowizny na „muzeum chrystianizacji Litwy" w klasztornym kościele. Dostosowane do jego potrzeb mają zostać piwnice kościelne (za 525 tys. zł), do placówki trafią multimedialne zbiory z archiwów państwowych na Litwie. Sporo poszło na sprzęty, audio, by – jak napisano we wniosku – „zwiedzający miał niesamowite wrażenie przechodzenia obok lektora", do tego makieta Wilna za 1,2 mln zł.

6 września 2019 r. podpisano dwie kolejne umowy darowizny: 2,417 mln zł na „rekonstrukcję barokowych organów dla kościoła franciszkanów w Wilnie" i 2,132 mln zł na działania „Instytutu Polskiego Dziedzictwa Narodowego na Litwie". W drugim projekcie chodziło głównie o dostosowanie pomieszczeń poddasza klasztornego do pracy Instytutu, stworzenie w nim biblioteki i sali konferencyjnej. W 2022 r. dołożono 326 tys. zł, bo trzeba było poszerzyć zakres prac o „remont klatki schodowej, założenie ogrzewania podłogowego, rur kanalizacyjnych". Darowizny na projekty w 2019 r. wynosiły łącznie 6,631 mln zł i były całkowicie finansowane przez PFN.

W 2023 r. franciszkanin znów występuje o darowiznę i otrzymuje 1,6 mln zł na „upamiętnienie Powstania Styczniowego w Wilnie" – na terenie przykościelnym. W związku z tym odrestaurowano i umieszczono w niszy świątyni kopię figury Matki Bożej, przed którą powstańcy składali przysięgę wierności Bogu i Ojczyźnie. Kopię odwiedzali potem żołnierze NATO. Dodatkowo wykonano pięć figur powstańców – razem 190 tys. zł. Z kosztorysu wynika jednak, że chodziło tu bardziej o prace remontowe w ważnym dla Polaków wileńskim kościele. Bo najwięcej kosztowało przystosowanie terenu pod figury (265 tys. zł), a ze względu na konieczność jego obniżenia trzeba było też wymienić drzwi (180 tys. zł). – *Franciszkański kościół i klasztor to jeden z najstarszych zabytków Wilna (z XIV w.), o który należy zadbać, ale faktycznie nie po to powstała Polska Fundacja Narodowa i nie po to spółki zaczęły wykładać na nią miliony* – zauważa nasz informator związany z PiS.

We wszystkich umowach z Wileńskim Centrum powoływano się na to, że cele darowizny są zgodne z celami PFN: „podtrzymywanie i rozpowszechnianie tradycji narodowej (...), upowszechnianie martyrologii i bohaterskich czynów Narodu Polskiego". A cele takie nie pojawiły się tam przypadkowo. – *Początkowo w statucie PFN zapisano, że jest ona powołana po to, by promować i chronić wizerunek Polski oraz polskiej gospodarki, co miało sens, ale w czerwcu 2017 r. zarząd Jurkiewicza dopisał te bohatersko męczeńskie cele, aby móc łożyć pieniądze właśnie na takie cele, o które wnioskował ojciec Marek Adam Dettlaff z Wilna* – mówi nasz informator z PFN.

W umowach zapisywano też, że do bieżących kontaktów z PFN wyznaczony zostanie właśnie o. Dettlaff, a na wszystkich jako członek zarządu podpisany jest Cezary Jurkiewicz. I te kontakty trwają do dziś. Jurkiewicz organizuje „Paczkę na Kresy", a w akcji pomaga franciszkanin i za pieniądze PFN zaprasza do pomocy żołnierzy NATO. Prezes IPN Karol Nawrocki w marcu, czyli podczas kampanii prezydenckiej, objął patronatem projekt Jurkiewicza. Osoba zorientowana w tych układach podsumowuje: – *Myślę, że to dlatego o. Dettlaff nie chce oddać tych pieniędzy Fundacji. Czuje, że ma silne polityczne plecy i ani jemu, ani Jurkiewiczowi włos z głowy nie spadnie. Bo w razie kłopotów Nawrocki ich ułaskawi...*

ANNA DĄBROWSKA

© VALDEMAR DOVEIKO/PAP

eprasa.pl 9042e7cb93

NOWE WYDANIE

JUŻ W SPRZEDAŻY

ZWIERCIADLO.PL

DOSTĘPNE TAKŻE
Z KALENDARZYKIEM **ZWIERCIADŁA NA 2026 ROK**
10 OKŁADEK DO WYBORU

RÓŻNE RODZAJE DODATKÓW ORAZ OKŁADEK DOSTĘPNE W WYBRANYCH PUNKTACH SPRZEDAŻY

eprasa.pl 9042e7cb93

Dorosły dzik ma w kłębie od 63 do 120 cm. Tyle, ile kilkuletnie dziecko. Średnia wzrostu dla dorosłego mężczyzny w Polsce to 180 cm. Nawet gdyby poruszał się na czworakach, trudno go pomylić z dzikiem.

Zabójstwa łowieckie

KATARZYNA KACZOROWSKA

Zarzut zabójstwa umyślnego usłyszał tymczasowo aresztowany syn jednego z najbogatszych przedsiębiorców na Lubelszczyźnie. W nocy z 16 na 17 sierpnia Sławomir A. zastrzelił 60-letniego mężczyznę, który wyszedł przed swój dom. Prokuratura ustaliła, że w zgłoszonym polowaniu z udziałem trzech dorosłych uczestniczyło niezgodnie z prawem 12-letnie dziecko – syn Sławomira A. Że broń wyposażoną w celownik optyczny i tłumik skierowano w stronę posesji oświetlonej lampami ogrodowymi. Że wystrzelono z niej trzy razy. Jeden nabój trafił w ofiarę, a drugi w płot wokół domu. Że Sławomir A., kiedy zorientował się, że strzelił do człowieka, wezwał pogotowie ratunkowe. Tłumaczył, że mężczyznę, który wyszedł przed swój dom, pomylił z dzikiem.

Prokurator uznał, że posiadany przez podejrzanego sprzęt umożliwiał mu rozpoznanie celu. A to, że go nie rozpoznał, dowodzi, że działał w zamiarze ewentualnym pozbawienia życia.

eprasa.pl 9042e7cb93

Czyli nie chciał zabić, ale nie rozpoznając celu, godził się, że ofiarą może być człowiek.

Buchtujący w polu

Październik 2017 r. Sąd Rejonowy w Głogowie skazuje na rok w zawieszeniu na trzy lata 30-letniego Bartosza R., członka Koła Łowieckiego „Cyranka", który w lutym tego samego roku podczas nocnego polowania zastrzelił 63-letniego mężczyznę. Oskarżony w czasie procesu przekonywał, że ofiara zachowywała się jak dzik: poruszała się na czworakach w zbożu, buchtowała, czyli żerowała w poszukiwaniu jedzenia. Biegły stwierdził jednak, że postrzelony mężczyzna był obrócony twarzą do myśliwego, stojącego od niego w odległości 120 m. Myśliwy, strzelający z broni wyposażonej w noktowizor mógł odróżnić człowieka od dzika. W dodatku nawet gdyby ów człowiek znajdował się na czworakach, to i tak nie byłby w stanie poruszać się równie szybko, jak dzik ryjący w ziemi.

„Dlatego w ocenie sądu, oskarżony nie rozpoznał należycie celu, do którego oddał strzał" – mówił sędzia Andrzej Molisak, cytowany przez lokalne media. Sąd od Bartosza R., skazanego w zawieszeniu za nieumyślne zabicie człowieka, zasądził też 10 tys. zł grzywny, 10 tys. zadośćuczynienia żonie tragicznie zmarłego oraz ponad 6 tys. zł kosztów sądowych.

Pomyleniem człowieka z dzikiem tłumaczył się też były policjant i rzecznik prasowy komendy policji w Opolu Lubelskim Dariusz Ch., który w listopadzie 2020 r. zastrzelił 16-letniego Imanaliego Nurakana z Kazachstanu. Chłopak był uczniem szkoły w Kluczkowicach i wyszedł wieczorem z kolegami z internatu do sadu. Było po 20.00. Późną jesienią o tej godzinie jest już ciemno. Przy sadzie pojawiło się auto. Ktoś z niego wysiadł, oświetlił drzewa latarką. Jeden z chłopców zeznał w sądzie podczas procesu w 2022 r.: „Myśleliśmy, że to ochrona sadu. Przez parę minut ktoś świecił, a potem padł strzał. Imanali krzyknął. (...) Samochód odjechał". Chłopca nie udało się uratować.

Dariusz Ch. miał założoną Niebieską Kartę. Był członkiem Koła Łowieckiego nr 47 „Bekas" z Opola Lubelskiego. Razem z nim pod sad podjechał w tamten wieczór 41-letni Marcin B., strażak ochotnik, kościelny, grabarz i kolega byłego policjanta. „Krzyknął: dzik!, więc zatrzymałem samochód i oświetliłem teren. Zobaczyłem czarną plamę bez nóg. Też stwierdziłem, że to dzik. Byłem pewny na tysiąc procent. Ta plama wyglądała na tył odyńca. Nie ruszała się, a one tak czasem robią. Cel był jakieś 70 metrów ode mnie. Oddałem strzał. Wtedy obiekt stanął na dwie nogi" – zeznał na procesie Dariusz Ch., który wraz z kolegą uciekł, kiedy tylko zorientowali się, że strzelali nie do odyńca, ale do człowieka.

Mężczyźni nie zgłosili polowania do książki ewidencji. Podobno ze względu na dynamikę sytuacji. Dariusz Ch. na procesie przekonywał jednak, że nie kłusował. Polski Związek Łowiecki błyskawicznie odciął się od obu myśliwych. W wydanym oświadczeniu napisano, że sprawca zdarzenia w momencie popełnienia czynu nie polował. A więc był kłusownikiem. Dodatkowo złamał wszelkie zasady bezpieczeństwa i normy etyczne.

Polowanie na poligonie

Biegły ds. łowiectwa, powołany w trakcie procesu, wyjaśniał z kolei, że w sadzie w ogóle nie powinno się polować – ze względu na ukształtowanie terenu, przez które trudno jest ocenić cel strzału. W sądzie wyjaśniał, że „pocisk ze sztucera ma zasięg 1,5 km i istniało niebezpieczeństwo nie tylko dla chłopca w sadzie, ale na całej linii strzału. Poszkodowany był w takim miejscu, gdzie nie powinien zostać oddany strzał".

Młyniska, dom, przed którym zostrzał zastrzelony 60-letni mężczyzna.
U góry: **jedna z kul trafiła w płot.**

W pierwszej instancji sąd skazał Mariusza B. na rok pozbawienia wolności w zawieszeniu na trzy lata i grzywnę 2,5 tys. zł, a Dariusza Ch. na sześć lat więzienia i 25 tys. zł nawiązki dla babci Imanaliego. Prokuratura domagała się dla byłego policjanta 15 lat, dowodząc w sądzie, że dokonał zabójstwa z zamiarem ewentualnym. Sąd uznał jednak, że był to nieszczęśliwy wypadek.

Od wyroku odwołały się wszystkie strony: prokuratura, pełnomocniczka babci Imanaliego Karolina Kuszlewicz, obrońca Dariusza Ch. Sąd Apelacyjny w Lublinie zmniejszył byłemu policjantowi karę więzienia – do 4 lat i 9 miesięcy. Odrzucił też wniosek mec. Kuszelewicz o podwyższenie kwoty zadośćuczynienia dla babci za śmierć wnuka do 400 tys. zł. Ostatecznie zasądzono 110 tys. zł. Sędzia Leszek Pietraszko, uzasadniając obniżenie kary dla Dariusza Ch., wyjaśniał, że obowiązkiem myśliwego jest osobiste rozpoznanie celu, a przy jakichkolwiek wątpliwościach nie ma on prawa oddać strzału. Ale jednocześnie uznał, że wtedy w listopadzie 2020 r. przy sadzie w Kluczkowicach nie doszło do zabójstwa, tylko do nieumyślnego spowodowania śmierci.

W listopadzie 2023 r. Stanisław H. oraz Tomasz F. wjechali na teren Pasa Ćwiczeń Taktycznych Krzekowo, by zapolować na dziki – bez wymaganego pozwolenia. Pierwszy z mężczyzn strzelił. Nie do dzika, ale do jednego z żołnierzy biorących udział w ćwiczeniach. Kłusownicy uciekli. Śledztwo ujawniło, że kłusowali ▶

© SHUTTERSTOCK, JAKUB ORZECHOWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL (2)

eprasa.pl 9042e7cb93

▶ na poligonie od dwóch lat, polując na dziki kilkanaście razy. Żaden z nich nie był karany. Prokurator nie wystąpił wobec nich o tymczasowy areszt. Jedyne zabezpieczenie to 80 tys. zł, jakie nałożono na Stanisława H.

Rok po tragicznej śmierci żołnierza do sądu trafił akt oskarżenia. Prokurator wnosił w nim o pięć lat pozbawienia wolności za nieumyślne zabicie 21-latka. Wyroki w tej sprawie jeszcze nie zapadły.

Generał poprawi bezpieczeństwo?

Rzecznik Polskiego Związku Łowieckiego Tobiasz Szczesnowski wyjaśnia, że przepisy jasno mówią – strzał podczas polowania może być oddany wyłącznie do rozpoznanego celu. Dodaje też, że Związek nie jest stroną postępowania karnego dotyczącego zdarzenia pod Lubartowem i dlatego nie może zaznajamiać się z ustaleniami organów ścigania ani ich komentować.

– *Wszyscy myśliwi w procesie nabywania uprawnień do polowania przechodzą szkolenia także z zakresu bezpieczeństwa na polowaniu. Ostatnie wydarzenia spowodowały jednak, że PZŁ podjął odpowiednie działania* – tłumaczy rzecznik i informuje, że 27 sierpnia łowczy krajowy Eugeniusz Grzeszczak powołał specjalny zespół, który ma przeanalizować najczęstsze przyczyny wypadków z użyciem broni myśliwskiej oraz opracowanie rozwiązań, które mogą wpłynąć na poprawę bezpieczeństwa – zarówno myśliwych, jak i osób postronnych. Na czele tego zespołu stanął gen. Mirosław Gawor.

– *Myśliwy, który dopuszcza się przestępstwa, nie tylko nie może liczyć na ochronę prawną PZŁ, ale jeśli przestępstwo zostało popełnione w związku z działalnością łowiecką, organ Związku wszczyna przeciwko takiej osobie postępowanie dyscyplinarne, które może zakończyć się wykluczeniem z PZŁ* – mówi Tobiasz Szczesnowski.

Dr hab. Mikołaj Małecki, karnista z Uniwersytetu Jagiellońskiego i twórca bloga Dogmaty Karnisty, pytany, czy zarzut spowodowania umyślnego zabójstwa postawiony myśliwemu, który zabił człowieka, to znak zmiany sposobu myślenia o wypadkach na polowaniach, odpowiada: – *Zamiar zabójstwa trzeba udowodnić. Nie można skazać kogoś za umyślne zabójstwo, nie mając pewności, że miał świadomość spowodowania śmierci człowieka. Wypadki na polowaniu mogą się zdarzyć i dlatego wszystko zależy od konkretnych okoliczności. Oczywiście samo oświadczenie myśliwego, że pomylił człowieka z dzikiem, nie jest jedynym dowodem, na jakim powinien opierać się prokurator czy sąd. Jeśli inne dowody wskazują na działanie świadome, będą podstawy do ustalenia, że myśliwy miał zamiar.*

Za nieumyślne spowodowanie śmierci grozi do pięciu lat pozbawienia wolności. Sąd ma możliwość wymierzyć karę bez zawieszenia, ale...

– *Należałoby zapytać sędziów, dlaczego ich zdaniem zastrzelenie człowieka przez myśliwego czy kłusownika nie powinno oznaczać, że sprawca trafia za kratki. Dlaczego dają pierwszeństwo okolicznościom łagodzącym, a nie skupiają się na rzeczy najważniejszej – sprawca korzystał ze śmiercionośnej broni i ofiara nie żyje* – mówi wprost dr hab. Małecki, przyznając, że nie słyszał, by ktoś prowadził badania prawnicze na temat myśliwych i kłusowników oraz przestrzegania procedur bezpieczeństwa związanych z obchodzeniem się z bronią.

– *Byłoby to interesujące, żeby sprawdzić, w jaki sposób w praktyce wygląda przestrzeganie procedur na polowaniach i poza nimi. To, że myślistwo jest głęboko zakorzenione kulturowo, to jedna rzecz, ale stare obyczaje muszą ewoluować wraz ze zmieniającym się światem. Nie może być tak, że ktoś ma śmiercionośne narzędzie zbrodni i oddaje strzał do człowieka stojącego przed bramą swojej posesji, gdzie ten ma prawo czuć się bezpiecznie, a potem tłumaczy, że strzelał do dzika* – podkreśla karnista z UJ.

Myśliwi ponad podziałami?

Krzysztof Wychowałek, współzałożyciel Ośrodka Działań Ekologicznych Źródła: – *Kwalifikacja przyjęta przy zabójstwie sprzed kilku tygodni w Młyniskach ostatecznie wcale nie musi się ostać w sądzie. W głośnej sprawie sprzed kilku lat, gdzie zginął nastolatek z Kazachstanu, prokurator też uważał, że doszło do zabójstwa z zamiarem ewentualnym, złożył przecież apelację od pierwszego wyroku, a sąd zdecydował, że był to nieszczęśliwy wypadek. I już.*

Zdaniem Wychowałka rzecz bowiem w tym, że polują ludzie zamożni (broń i całe myśliwskie oprzyrządowanie do tanich nie należą), ale też nie sposób ustalić, czy myśliwym nie jest policjant, który prowadzi dochodzenie, prokurator, który oskarża, wreszcie sędzia, który wydaje wyrok. Bo jeśli ktokolwiek z nich poluje, a jednocześnie ma do czynienia z przestępstwem, do jakiego doszło podczas polowania, to zachodzi tu ewidentny konflikt interesów.

– *Mamy w październiku sprawę w sądzie administracyjnym, rzecz dotyczy polowania na prywatnym terenie. I wystąpiliśmy o zmianę sędziego, który przewodniczy rozprawie, bo nazywa się tak, jak osoba, o której wiemy, że poluje. Nie wiem, czy to przypadkowa zbieżność nazwisk, ale nie mamy możliwości sprawdzenia stanu faktycznego. I to powinno dać do myślenia, bo Polski Związek Łowiecki, który ma w Polsce monopol na tzw. gospodarkę łowiecką, jest nietransparentny* – mówi Krzysztof Wychowałek i przypomina, że owszem, mamy straż łowiecką, ale to zaledwie kilkadziesiąt etatów w całym kraju. Po kilka na każde województwo. Tymczasem w Polsce jest 132 852 myśliwych, a średnio miesięcznie odbywa się 400 tys. polowań.

Dla Wychowałka sprawa jest jasna: gdyby polowanie w Młyniskach skontrolowali strażnicy ze straży łowieckiej, od razu ujawniliby złamanie przepisów.

– *Na tym polowaniu było trzech myśliwych, którzy ze sobą współdziałali, ale nie zgłosili tego jako zbiorowe polowanie, tylko rzekomo rozeszli się na różne stanowiska. Tymczasem jeśli myśliwi gdzieś idą razem i współdziałają ze sobą, to definicja polowania zbiorowego jest spełniona. Zabrali ze sobą dziecko. Nie przemycił tego chłopca nie wiadomo jak jeden z nich, ale wszyscy je widzieli. Czyli kolejny raz świadomie złamali przepisy. Wreszcie z ustaleń prokuratury wiemy, że padły trzy strzały. To jest kolejne złamanie przepisów, bo do broni samopowtarzalnej nie wolno załadować więcej niż dwa naboje* – wylicza Wychowałek, nie kryjąc, że świadomość braku kontroli nad polowaniami i myśliwymi powoduje poczucie bezkarności i prowadzi do łamania przepisów, które te polowania regulują.

Prezes Naczelnej Rady Łowieckiej Marcin Możdżonek złożył rodzinie mężczyzny zastrzelonego w Młyniskach wyrazy współczucia. Rzecznik PZŁ przekonuje, że choć wypadki na polowaniach nie powinny zdarzać się w ogóle, to statystycznie mają one jednak charakter incydentalny, biorąc pod uwagę średnią liczbę polowań w miesiącu. Poseł Litewka na Facebooku zamieścił oświadczenie, w którym napisał, że zwróci się do ministra sprawiedliwości Waldemara Żurka o objęcie śledztwa w sprawie tragedii w Młyniskach specjalnym nadzorem.

– *Chyba nie wie, że minister Żurek jest myśliwym. I członkiem Głównego Sądu Łowieckiego* – zdradza Krzysztof Wychowałek.

KATARZYNA KACZOROWSKA

eprasa.pl 9042e7cb93

Na słodkie oczy

Czy fit słodycze – rzekoma zdrowa alternatywa dla cukru i czekolady – są rzeczywiście takie nieszkodliwe? W razie wątpliwości lepiej zjeść jabłko.

PAWEŁ WALEWSKI

Siedzisz w kawiarni, popijasz latte (na mleku owsianym, inaczej przecież Instagram by tego nie przepuścił), a przed tobą leży opakowanie cukierków „Krzyśki". Utrzymane w czerwono-czarnej estetyce, z papryczką chili na froncie – żeby przypadkiem nikt nie pomylił ich z banalną mleczną czekoladą. Producent, znany dotąd z odżywek i suplementów diety, obiecuje, że są „połączeniem tradycyjnej formy z nietuzinkowym smakiem, który potrafi zaskoczyć". I zaskakuje – zwłaszcza informacją, że data premiery została wybrana nieprzypadkowo, bo dokładnie na urodziny Krzysztofa Stanowskiego, dziennikarza i twórcy popularnego na YouTube Kanału Zero, którego niektórzy nazywają celebrytą internetu. Najwyraźniej nawet słodycze muszą mieć teraz swoją PR-ową historyjkę z rozmachem, więc kompozycja cukierków ma nie tylko wyróżniać się na tle innych, ale też „oddaje osobowość" wybranej przez producenta postaci.

No dobrze, otwieramy. Sprawdzamy też, co kryje się w środku – początek brzmi całkiem niewinnie: mleko odtłuszczone w proszku, orzeszki arachidowe, czekolada bez dodatku cukru. Potem wchodzimy w rejony, które bardziej przypominają wykład z chemii spożywczej: maltitole, tłuszcz kakaowy, lecytyna sojowa, aromat waniliowy, tłuszcze roślinne (z ziaren palmowych), błonnik z cykorii, orzechy laskowe, kakao odtłuszczone, wafle z mąki pszennej, erytrytol, kolejne porcje lecytyny sojowej, chili mielone, aromaty. To i tak tylko część listy – na swojej stronie producent ostrzega, że komu przyszłoby do głowy kopiowanie i rozpowszechnianie w całości, zostanie ukarany na podstawie prawa autorskiego (sic!).

Z punktu widzenia przepisów wszystko się zgadza. Jak podkreśla Izabela Kucharska, zastępczyni Głównego Inspektora Sanitarnego, tak długa lista składników nie musi oznaczać niczego podejrzanego. Ba, dietetycy i producenci twierdzą, że to przejaw transparentności. I ma swoje uzasadnienie technologiczne, bo każdy detal jest po coś: poprawia teksturę, smak, trwałość.

Problem w tym, że przeciętny konsument lekturę takiej etykiety zwykle odpuszcza w połowie, przy pierwszym emulgatorze, uznając, że skoro nie ma tradycyjnego cukru, to na pewno jest zdrowsze. I nie zastanawia się nad tym, że żywność wysokoprzetworzona – a liczba składników świadczy wprost o stopniu przetworzenia – nawet z etykietką „fit" nie powinna uspokajać sumienia. ▶

© GETTY IMAGES

eprasa.pl 9042e7cb93

▶ Ironia polega na tym, że gdyby identyczne słodycze miały na opakowaniu napis „czekoladki orzechowe", wiele osób ominęłoby je szerokim łukiem w imię zdrowego stylu życia. Opłaca się więc wprowadzić do gry substancje, które brzmią jak imiona statków z „Gwiezdnych wojen": erytrytol, maltitol, polidekstroza. To jest właśnie magia marketingu, gdzie hasła „bez cukru", „zdrowe" i „fit" maskują rzeczywistość pełną słodzików, tłuszczów oraz złudzeń.

Mit „sweet fit"

Moda na fit słodycze nie wzięła się znikąd. To dziecko XXI w., epoki, w której Instagram i TikTok dyktują trendy, a influencerzy tacy jak Ewa Chodakowska, Grzegorz Krychowiak czy Anna Lewandowska sprzedają nam wizję idealnego ciała i życia w harmonii z naturą. Chodakowska wydała „Fit and Sweet" – książkę z przepisami na zdrowe desery, które wyglądają jak z paryskiej cukierni. Krychowiak, były piłkarz, założył markę Biogol, oferującą naturalne przekąski śniadaniowe bez sztucznych dodatków, a Stanowski poszedł w kierunku reklamowego partnerstwa, stając się twarzą „Krzyśków". Do tego grona dołączają mniej znani, ale równie aktywni influencerzy.

Pierwsze fit słodycze pojawiły się jako produkty dla osób z cukrzycą – miały niższy indeks glikemiczny i słodziki zamiast cukru. Z czasem stały się modne wśród osób na diecie redukcyjnej, trenujących i dbających o sylwetkę. Kluczowym momentem był boom na Instagramie, gdzie zdrowe jedzenie stało się estetycznym dodatkiem do stylu życia.

Bo nie tylko znane nazwiska podbiły rynek. Lokalne marki, jak Sweet Fit&Eat z Białegostoku, zbudowały biznesy na ciastach bez cukru, glutenu i laktozy, kierując ofertę do osób z nietolerancjami i alergiami pokarmowymi. Franczyza FitCake działa już w kilkudziesięciu miastach, sprzedając ciasta białkowe, ketogeniczne i wegańskie. Media społecznościowe są zalane zdjęciami lśniących batonów proteinowych, czekolad z ksylitolem i żelków wzbogaconych probiotykami. Wszystko pod hasłem: „Możesz to jeść i być fit!". Psycholodzy zwracają uwagę, że to nie tylko kwestia produktu – to cały pakiet emocjonalny. Fit baton ma być symbolem samodyscypliny, świadomości i nowoczesności. Wybierając go, inwestujemy w obietnicę, że dbamy o siebie bardziej niż ci, którzy sięgają po zwykłą tabliczkę czekolady.

Dlaczego to działa? Bo żyjemy w czasach, gdy świadomość zdrowotna rośnie, ale nikt nie chce rezygnować z przyjemności. Globalny rynek zdrowych słodkich przekąsek, wart w 2023 r. 45,3 mld dol., ma się podwoić do 2032 r., rosnąc w tempie ponad 7 proc. rocznie. W Stanach Zjednoczonych dominują batony proteinowe (Quest, RXBar), czekolady „bean to bar" bez cukru (Hu Chocolate) i przekąski z dodatkiem probiotyków.

W Wielkiej Brytanii popularne są *raw bars* – batony z suszonych daktyli, orzechów i kakao, sprzedawane jako alternatywa dla deseru. Nie zawierają dodanego cukru, ale w praktyce mają wysoki ładunek fruktozy, co dietetycy komentują z przymrużeniem oka. Nicola Jackson na stronie healthyfood.com rozwiewa mity: „Bez rafinowanego cukru nie oznacza bez cukru! Miód, syrop klonowy czy cukier kokosowy to wciąż cukry, które organizm metabolizuje tak samo. Co więcej, efekt aureoli zdrowia sprawia, że konsumenci jedzą więcej fit produktów, bo wierzą, że są one niewinne".

Globalne firmy, jak General Mills, Kellogg's czy PepsiCo, pompują miliony w badania i rozwój, wprowadzając batony z probiotykami, ciastka z błonnikiem czy czekolady z tzw. owocami mnicha (zawierają naturalny słodzik, alternatywę dla cukru obecnego w innych owocach). Wafle proteinowe, żelki z witaminami, ciasteczka bez glutenu – to hity, które zaspokajają potrzeby wegan, alergików i osób z nietolerancją laktozy.

Dlatego również w Polsce segment fit przyrasta dynamicznie, szybciej niż cała kategoria słodyczy, napędzany przez konsumentów, którzy chcą jeść zdrowo, nie odmawiając sobie słodkiego. Na to zapotrzebowanie odpowiadają lokalne marki (Fit or Sweet, Natura Raj, Bio Planet), które zdobywają niszę klientów poszukujących eko, bio i produktów bez dodatku cukru. Pandemia tylko podkręciła ten trend – lockdowny, stres i praca zdalna sprawiły, że sięgamy po przekąski, które mają uspokoić sumienie. Według raportu „EKObarometr" 40 proc. Polaków jest skłonnych dopłacić do 10 proc. za ekologiczne słodycze, bo wierzą, że to inwestycja w zdrowie. Ale czy słusznie?

Gorzki smak sacharyny

Dr Jacek Postupolski, kierownik Zakładu Bezpieczeństwa Żywności w Narodowym Instytucie Zdrowia Publicznego PZH, rzuca światło na słodziki będące sercem fit słodyczy. – *Zostały dokładnie przebadane i są nieszkodliwe toksykologicznie, jeśli nie jemy ich w absurdalnych ilościach* – uspokaja. Ale jest haczyk: aspartam, ksylitol lub stevia przyzwyczajają nas do słodkiego smaku, co może prowadzić do sięgania po wysokokaloryczne produkty z cukrem. W dodatku poliole, jak ksylitol czy mannitol, w nadmiarze działają przeczyszczająco, więc nie brzmi to jak przepis na zdrowie. Stevia w większych ilościach ma metaliczny posmak, sacharyna – wbrew pozorom – gorzki. – *Decyzja o umieszczeniu ich w składzie to zawsze gra kalorii i smaku* – komentuje dr Postupolski. Dodaje, że problemem jest częsty brak innych składników odżywczych w takich produktach – redukujemy kalorie, ale nie dostarczamy witamin ani soli mineralnych.

Zdrowiej byłoby więc czasem zjeść więcej kalorycznego cukru, niż pozostawać przy samych słodzikach. Dr dietetyki Michał Wrzosek, który w mediach społecznościowych zamieszcza porady, jak z gąszczu asortymentu w popularnych Żabkach i Biedronkach wybierać wartościowe produkty, też w jednym z nagranych filmów mówi: „Ja nie jestem

eprasa.pl 9042e7cb93

zwolennikiem słodyczy bez cukru, bo one mają tyle samo kalorii co zwykłe standardowe słodycze. Większość z was myśli, że cukier to samo zło, bo producenci żywności mamią nas hasłami »bez dodatku cukru«. To nie ma większego znaczenia, bo dalej ten baton to wysokoprzetworzony, wysokokaloryczny przepyszny produkt, a takie sprzyjają jedzeniu za dużo i tyciu".

Za przykład posłużył Wrzoskowi na TikToku bezcukrowy Kizzers (baton sygnowany twarzą rapera Kizo, czyli Patryka Wozińskiego), którego wartość energetyczna dla 100 g wynosiła 510 kcal i była wyższa niż Snickersa (489 kcal) czy Liona (487 kcal). Inne bezcukrowe hity wśród wafli – F**King Protein Wafer albo Reese's Nutrageous – mają wartość energetyczną jeszcze wyższą: odpowiednio 515 i 539 kcal, bo cały trik polega na zamianie cukru w słodzik, a i tak na pierwszym miejscu w składzie znajduje się tłuszcz, którego nikt w takich „dietetycznych" wyrobach nie skąpi.

Fakt, że jest go tak dużo (bo tłuszcze są nośnikiem smaku) sprawia, że jedzenie może łatwo wciągać. Badania wykazują, że ludzie zjadają o 35 proc. więcej przekąsek, kiedy uważają je za zdrowe. Polacy, jak wynika z raportów ARC Rynek i Opinia, coraz częściej wierzą, że w zdrowym ciele zdrowy duch, i już ponad 30 proc. regularnie ćwiczy, co napędza popyt na fit produkty. Bo jeśli baton lub czekolada są fit, to znaczy, że „można". Media społecznościowe pełne zdjęć celebrytów z batonami proteinowymi tylko podkręcają tę modę. Co ciekawe, część producentów zaczyna dodawać do fit słodyczy modne składniki – matchę, spirulinę, nasiona chia – które mają budować lub uzupełniać tę „aurę zdrowia", ale w praktyce są obecne w ilościach śladowych, bez wpływu na wartość odżywczą.

Ile cukru w krówce?

Izabela Kucharska, zastępczyni Głównego Inspektora Sanitarnego, tłumaczy, jak wygląda nadzór nad fit słodyczami. Producenci, hurtownicy i sprzedawcy muszą się zarejestrować w powiatowych stacjach sanitarno-epidemiologicznych właściwych ze względu na miejsce prowadzenia działalności. Jest też procedura uproszczona, przewidziana dla osób sprzedających nieregularnie lub na mniejszą skalę, np. w ramach gospodarstwa agroturystycznego. Zgłoszenie do inspekcji należy wysłać 14 dni przed rozpoczęciem produkcji lub wprowadzeniem produktów do obrotu (dotyczy to całej żywności).

Skład produktu deklaruje producent, gdyż zgodnie z przyjętym w całej Unii Europejskiej prawem on jedynie ponosi za to odpowiedzialność. Państwowa Inspekcja Sanitarna przygląda się kwestiom bezpieczeństwa zdrowotnego, natomiast ocena zgodności informacji podanej na opakowaniach z obowiązującym prawem leży w gestii Inspekcji Jakości

Rzetelność przegrywa z marketingiem, bo „fit" to mistrzostwo manipulacji. Hasła typu „bez cukru" czy „dla aktywnych" działają jak magnes na konsumentów.

Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych (IJHARS). – *Rozkładamy na czynniki pierwsze etykiety i sprawdzamy, czy producent o swoim produkcie mówi prawdę* – informuje szef tej inspekcji dr Przemysław Rzodkiewicz. Co ciekawe, rynek sam się reguluje – producenci donoszą na konkurentów, gdy zauważą podejrzane składy lub oświadczenia zdrowotne, jak „batonik budujący mięśnie" (rzekomo za sprawą podwójnie dodanego białka). Europejskie prawo określa normy dla słodzików, ale nie ma przepisów zakazujących nazywania produktu „fit". To pole do nadużyć, bo – jak mówi Izabela Kucharska – wytwórca podejmuje suwerenną decyzję, jak nazwie swój produkt, o ile informacje te są rzetelne.

Jeśli chodzi o kontrole higieniczno-sanitarne, to ich częstotliwość uzależniona jest od oceny ryzyka w danym zakładzie. Jednak powiatowi inspektorzy mówią, że wyruszają też na nie po skargach konsumentów. – *Fizycznie nie mamy możliwości zweryfikowania pojedynczego produktu przed wprowadzeniem go do obrotu* – przyznaje moja rozmówczyni. Jeśli w fit krówkach znajdzie się niedozwolony stabilizator lub emulgator albo ilość dodanego słodzika przekracza dozwoloną normę, sanepid może nałożyć karę od 500 zł wzwyż lub wydać decyzję administracyjną o wycofaniu z rynku jakiejś partii lub nawet jej utylizacji.

Instrukcja obsługi batonika

Problem polega na tym, że rzetelność często przegrywa z marketingiem, bo „fit" to mistrzostwo manipulacji. Hasła typu „bez cukru", „bogate w błonnik" czy „dla aktywnych" działają jak magnes na konsumentów, którzy chcą wierzyć, że mogą jeść takie słodycze bez konsekwencji. To samo zresztą dotyczy napojów. Zachęta na kartonie soku „Bez dodatku cukru" nie podoba się inspektorom IJHARS. – *Soki z definicji są produktem naturalnym i nie mogą być dosładzane* – wyjaśnia dr Rzodkiewicz. – *Taka deklaracja to już manipulacja*. Mimo to rynek substytutów cukru rośnie, odkąd ludzie chcą wierzyć w „dobrą alternatywę". Czy jednak erytrytol i stevia (dla przykładu, bo uznanych za bezpieczne i zatwierdzonych przez Europejski Urząd ds. Bezpieczeństwa Żywności jest 19 substancji słodzących) naprawdę zmienią nasze życie?

Prawda jest brutalna – nie trzeba jeść fit, żeby być fit. To wciąż wysokoprzetworzone produkty, które rzadko przewyższają wartością odżywczą jabłko czy garść orzechów. Kalorie to kalorie, niezależnie czy pochodzą z cukru, czy z maltitolu. Czy to oznacza, że należy je bojkotować? Niezupełnie. Mogą być częścią zbilansowanej diety, jeśli traktujemy je jako okazjonalną przyjemność, a nie zamiennik posiłku. Klucz to świadomość i umiar. Więc następnym razem, gdy sięgniesz po taki batonik lub cukierek, przeczytaj skład od początku do końca, sprawdź gramaturę i kaloryczność, nie daj się zwieść hasłom. A jeszcze lepiej – zjedz jabłko. Fit baton nie zastąpi przecież owoców ani warzyw. Najlepiej po prostu ograniczyć spożywanie słodyczy, ale pozostać przy tych, które naprawdę lubimy – niezależnie od tego, czy są fit, czy nie.

PAWEŁ WALEWSKI

© ANNA AMAROWICZ, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 9042e7cb93

Rzym. Będą bilety do fontanny di Trevi?

Wyprawa po święty spokój

O tym, jak zwiedzać, a nie zaliczać, i dlaczego coraz trudniej wrócić z urlopu wypoczętym, opowiada dr Bartosz Kicior z Uniwersytetu SWPS.

ANNA DOBROWOLSKA: **– Gdzie pan był ostatnio na urlopie?**

BARTOSZ KICIOR: – W Perugii. Piękne miasto we Włoszech. Odwiedziłem ją ze swoją partnerką. Polecieliśmy, bo były tam akurat wygodne połączenia lotnicze. Choć wiem, że wiele osób może o tym mieście nawet nigdy nie słyszało i opowieść o nim nie zrobi na nich wrażenia.

Dlaczego?

Gdybym zabrał swoją dziewczynę do Paryża, wszystkie jej koleżanki by szalały.

Nawet jeśli stalibyście trzy godziny w kolejce do wieży Eiffla, drugie tyle do Luwru, a na hotel i restauracje poszłaby cała wypłata?

Dr Bartosz Kicior – adiunkt w Katedrze Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu SWPS, dziennikarz. Zajmuje się m.in. socjologią podróży i turystyki. Prywatnie uwielbia poznawać nowe miejsca, często poza utartymi szlakami.

Tak to niestety bywa. Masowa turystyka jest nastawiona na zaliczanie, a nie doświadczanie. Odhaczanie zamiast starego dobrego zwiedzania. Nie zaimponujemy znajomym tym, że pojechaliśmy do Grazu w Austrii, ale zdjęciami z Rzymu już pewnie tak.

Szacuje się, że w tym roku Rzym odwiedzi nawet 35 mln turystów, w Paryżu w ostatnich latach te liczby dobijały do prawie 50 mln. One raczej maleć nie będą.

Zapewne, ale nie chcę też, by osoby, które odwiedziły lub planują odwiedzić te miejsca, poczuły się urażone. Jestem absolutnie przeciwny ocenianiu, że jeśli

eprasa.pl 9042e7cb93

Morskie Oko – górski szlak zmienił się w deptak

Paryżowi grozi „disneylandyzacja"

ktoś udaje się w miejsce, które jest już popularne, czyli np. w lipcu jedzie do Wenecji czy nad Morskie Oko, to znaczy, że bierze udział w jakimś haniebnym procederze. Przemysł turystyczny daje nam możliwość coraz łatwiejszego i tańszego dotarcia do pewnych miejsc.

Takich szczególnie obleganych miejsc jest dużo?

Coraz więcej. Paryż, Wenecja, Barcelona. Ale też bliżej nas. Wystarczy popatrzeć na Zakopane, Kraków, Tatry, Karkonosze (w szczególności na Śnieżkę). Te miejsca są już wyeksploatowane do granic możliwości.

I ciągle pojawiają się nowe.

Myślę, że niedługo taki problem może mieć Malta. Duży problem z turystami ma Malaga. Brytyjczycy uwielbiają tam latać, bo Andaluzja to jeden z niewielu regionów w Europie, gdzie ludzie mówią płynnie po angielsku. Do miejsc napchanych turystami dojazd jest zazwyczaj łatwy albo tani. Słyszałem o dwóch młodych Brytyjczykach, którzy stwierdzili, że ze swoich miast taniej im będzie opłacić lot w dwie strony do Malagi, niż kupić dla jednej osoby w Wielkiej Brytanii bilet kolejowy.

Poza Europą można wymienić Japonię. Może Wietnam. Choć im uboższe społeczeństwo, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że mieszkańcy będą się buntować przeciwko zalewowi turystyów. W końcu w dużej mierze na tym właśnie zarabiają.

Na nadmiernej turystyce tracą nie tylko przyjezdni, ale i lokalni mieszkańcy. W coraz większej liczbie miast na murach pojawiają się napisy „Get back home" ang. Wracajcie do domów) lub „We hate tourists" (Nie znosimy turystów).

Nadmiar turystów bywa społecznie bardzo uciążliwy. Niektóre miasta stają się wręcz *unlivable* (ang. niemieszkalne). Tak się dzieje w Barcelonie, ale też, by daleko nie szukać, choćby w centrum Krakowa. W okolicach rynku nie ma już praktycznie mieszkań dla miejscowych. Są mieszkania dla przyjezdnych, są hotele i starzy gospodarze, którzy też wchodzą w tego rodzaju biznesy. Nie opłaca się tam mieszkać na stałe. W sezonie jest to nieznośne.

Niektóre miasta zaczynają już reagować, wprowadzając konkretne przepisy. Budapeszt w wyznaczonych strefach wprowadził odgórny zakaz wynajmu krótkoterminowego.

Gdyby nie było problemu, nikt by tego nie zrobił. Jeden z big techów tak zmonopolizował tam rynek, że konieczna była jakaś interwencja prawna.

Cierpią nie tylko miasta, ale też miejsca o niezwykłych walorach przyrodniczych. Rajskie wyspy są dosłownie zadeptywane, a ich ekosystem ulega degradacji.

Do podobnych sytuacji dochodzi znacznie bliżej nas. Ot, choćby głośna sprawa niedźwiedzi w Cisnej, które miały być odstrzelone, ale zostaną przeniesione w inne miejsce. Sedno problemu tkwi w tym, że tam, w górach, jest za dużo ludzi. Miejscowi i turyści wyrzucają śmieci i tym samym przyciągają dzikie zwierzęta, które opuszczają swoje naturalne habitaty. W Tatrach trenduje od jakiegoś czasu motyw lisa. Każdy, kto zobaczy liska na szlaku, wrzuca go do social mediów. I tych lisków w Tatrach jest coraz więcej, choć nie powinno ich tam być w ogóle, bo to nie jest ich naturalny habitat. Przychodzą tam właśnie ze względu na ludzi.

Niektóre miejsca zaczynają eksperymentować z rozwiązaniami mającymi ograniczyć masowy ruch turystyczny. Bhutan wprowadził dzienną opłatę 100 dol. za pobyt na swoim terytorium, opłaty dla jednodniowych turystów ▶

© FRANK BIENEWALD/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES, GERARD/REPORTER, VIENNASLIDE/CONSTRUCTION PHOTOGRAPHY/AVALON/GETTY IMAGES, PLANET ONE IMAGES/UNIVERSAL IMAGES GROUP/GETTY IMAGES, BUNKIERNAUKI/KCEMBROWSKI

eprasa.pl 9042e7cb93

▶ wprowadziła Wenecja (w szczycie sezonu), rozważają je też urzędnicy m.in. na Bali. Na Akropolu, w Koloseum czy w Luwrze wprowadzono dzienne limity odwiedzających.
Czy te działania pana przekonują?

Opłata za wjazd do Wenecji to nie jest żadne rozwiązanie. Jak ktoś jest w stanie wydać kilkaset euro na lot i hotel, to wyda jeszcze pięć czy dziesięć euro za wstęp do miasta. I to jest ewidentnie ruch nie w stronę zahamowania tego przepływu ludzi, tylko żeby jeszcze więcej na tym zarobić.

Z kolei ustanowienie limitów gości sprawi, że nie każdy się na daną atrakcję załapie.

To też nie ma prawa się udać. Spotka się to z oporem i mieszkańców, którzy na tym zarabiają, i turystów. Najpierw musi być obopólne zrozumienie, a dopiero potem zakazy. Skoro potrafią się formować kolejki do miejsc, gdzie jest ograniczona przepustowość, to może zaczną się ustawiać kolejki przed Wenecją?

A pomysł, by wprowadzać rezerwację miejsc na konkretną datę i godzinę? Działa np. w przypadku dużych muzeów czy galerii.

Na pewno nie da się wprowadzić wejścia na godziny do miasta albo na wyspę. W innych wypadkach pewnie jest to możliwe, trzeba tylko wyjaśnić ludziom, że nie chodzi o to, byśmy wchodząc na Śnieżkę, czuli wstyd, tylko jeżeli wejdzie tam 30 tys. osób dziennie, to zdegradują lokalny ekosystem i będą stanowić zagrożenie sami dla siebie.

W Skandynawii działają bardziej metodą marchewki niż kija. Za zbieranie śmieci czy podróże komunikacją miejską można dostać bon na kawę, lunch czy darmowe wypożyczenia kajaka. Co pan o tym myśli?

Łatwo jest sobie poradzić z przeludnieniem turystycznym, kiedy się go nie ma. I bardzo łatwo jest też o tym mówić. Niemcy dużo mówią, tylko że u nich nie ma przesadnie wielkiego ruchu turystycznego. Jest oczywiście wiele świetnych projektów w różnych państwach, ale nie zawsze da się je przenieść na inny rynek, bo sytuacja społeczno-gospodarcza może tam być całkiem odmienna. To, co sprawdza się w Sztokholmie, niekoniecznie da się zastosować w Hanoi.

No dobrze, trzeba edukować, zmieniać wzorce, ale to kto powinien się tym zająć?

Jest wiele takich instytucji. Choćby parki narodowe, choć brakuje im dodatkowego wsparcia. Takie rzeczy mogłyby robić ministerstwa turystyki. Każdy kraj je ma. Na razie większość działań takich instytucji polega jednak na tym, że wydają pieniądze na zewnątrz, żeby wypromować dany kraj, by ludzie chętnie przyjeżdżali. Czyli robią wszystko, aby zmaksymalizować ruch turystyczny.

Czyżbyśmy wpadli w błędne koło – najpierw wydajemy miliony na promocję i ściągnięcie turystów, a potem kolejne miliony na to, by jednak chronić to, co udostępniliśmy?

Na promocję wydają ci, co rządzą teraz. Na niwelowanie jej nieprzemyślanych następstw będą wydawać kolejni, którzy obejmą władzę za cztery, za osiem, może nawet za 12 lat.

Cała ta opowieść o odpowiedzialnej, zrównoważonej turystyce polega na tym, żeby mówić ludziom, by przestali podróżować według znanych dotychczas wzorców, bo w ten sposób coś niszczą: środowisko, przestrzeń miejską itd. Trzeba mówić ludziom, że w innych miejscach też jest fajnie.

Overtourism napędzają też algorytmy?

Oczywiście. Te wszystkie hot spoty, w których trzeba sobie zrobić filmik na Instagrama. Teraz w wakacyjnym trendzie jest np. TikTok z Madery.

Mamy teraz nową gałąź turystyki – turystykę instagramową?

Oczywiście, ma ona nawet swoje odnogi. Ostatnio w Polsce popularna jest choćby turystyka kebabowa. Ludzie jeżdżą po Polsce na kebaba, którego polecił Książulo albo Mr Krycha, youtuberzy otwierają swoje restauracje, do których ściągają prawdziwe tłumy. Opowieści tiktokerów mogą sprawić, że małe niepozorne miejsce staje się nagle sławne na cały region.

Kiedyś taki wpływ na konsumenckie wybory miała Magda Gessler, ale ona reprezentuje medium, które dla pokolenia zetek już się nie liczy.

To ten sam rodzaj turystyki celebrycko-influencerskiej, tylko dla różnych grup odbiorców. Ściśle się wiąże z kolejnym zjawiskiem zwanym performatywnością turystyki. Tworzymy spektakl przed innymi, żeby się popisać. Media społecznościowe to napędzają, bo dają nam scenę. Stoimy w kolejce do Luwru albo innego wyhajpowanego miejsca, żeby pokazać, że tu byliśmy, i wrzucić to zdjęcie na Instagrama. O ile mniejsza jest ta scena, kiedy możemy się tym pochwalić jedynie przy świątecznym obiedzie.

Powoli w social mediach pojawia się jednak trend przeciwny – deromantyzowania, pokazywania, że poza wymuskanym kadrem są prawdziwe tłumy i każdy czeka na te kilka sekund, w których uda mu się uchwycić jak najpiękniejszy krajobraz.

To oddolne ruchy ludzi, którzy mówią: „Słuchaj, to jest przereklamowane". Ale one wciąż ścierają się z wielkim biznesem, który ściąga turystów do dużych turystycznych ośrodków. Edukując, można przekierowywać ruch z najbardziej obleganych miejsc, proponując inne miejsca, w których jest równie fajnie.

Jakiś przykład?

Choćby Praga. Byłem tam cztery razy i za każdym było coraz gorzej. Co roku staram się jeździć do Czech. Uwielbiam ten kraj. Ale są inne piękne miejsca: Brno, Pilzno, Ostrawa, Liberec. Bardziej „czeskie" i przyjemniejsze do zwiedzania.

Widzi pan światełko w tunelu?

Tak, choć na razie dość blade. Są portale, które promują alternatywne noclegi, agroturystykę, kameralne pensjonaty itp. Była akcja Karkonoskiego Parku Narodowego pod hasłem „Nie wchodź na Śnieżkę" (choć nie bardzo podoba mi się samo hasło, bo zaczyna się od „nie" i jest w tonie pedagogiki wstydu), która promowała inne miejsca w tym samym parku narodowym.

Skoro jesteśmy przy górach – kultura zaliczania dotarła nawet tu i dotyczy konkretnych szczytów. Popularne są głównie te, które wchodzą w skład Korony Gór Polskich. Do specjalnej książeczki można zbierać pieczątki, nie tylko dzieciaki się na to łapią.

Akcja zbierania tych pieczątek była świetnym programem marketingowym zachęcającym do odwiedzania tych miejsc. Tylko że teraz dostajemy rykoszetem, bo te miejsca robią się przeludnione. Nieważne, czy ludzie mają potrzebę, kondycję, zdrowie i czas, wchodzą na te szczyty, by je zaliczyć, żeby mieć te pieczątki. To przestaje być przeżywaniem, doświadczaniem. To się już dzieje nawet na Rysach. Tam nie ma wyraźnego oznaczenia szczytu. Więc jak sobie ktoś zrobi zdjęcie, to wygląda jak w każdym innym miejscu w górach. Więc po to, by zdobyć pieczątkę w zeszyciku Korony Gór Polskich, ludzie zaczęli robić kartki z datą i godziną i z nimi się

© PETR JEZEK/SHUTTERSTOCK, RENATA SEDMAKOVA/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 9042e7cb93

Pilzno – urocze czeskie miasto bez tłumów

Perugia, czyli Włochy niezadeptane

fotografowali. A potem zostawiali w takiej specjalnej skrzyneczce złote myśli i pozdrowienia. Ona się momentalnie zapchała tymi kartkami, więc Tatrzański Park Narodowy przytomnie zrobił akcję: wyjdź bez kartki, zabierz ją ze szczytu i wyrzuć na dole.

Ludzie zapominają, że góry są niebezpieczne.

Tak, bezrefleksyjne zaliczanie szczytów sprawia, że narażamy nie tylko siebie, ale też innych. W internecie mnóstwo filmików zachęca do bezmyślności pod hasłem „Weszłam na Rysy w klapkach" albo „Zdobyłem 9 szczytów Korony Gór Polskich w 24 godziny".

Co możemy zrobić, planując wyjazd, gdy nie chcemy tłumów i turystycznej tandety?

Jest mnóstwo miejsc alternatywnych. W dobie internetu to nie jest duży problem, żeby się o nich dowiedzieć.

Trzeba tylko wiedzieć, jak szukać.

Możemy korzystać z kolektywnej wiedzy, możemy zadawać pytania na grupach w social mediach. Warto spojrzeć np. na Google Maps, ale nie tylko na ocenę, lecz także na komentarze ludzi. Niektórzy potrafią uczciwie napisać, że do pewnych atrakcji nie warto kupować biletu wstępu, bo np. podobne widoki są niewiele dalej całkowicie za darmo. Mam też swój osobisty patent na wyszukiwanie cudownych miejsc, ale obawiam się, że jak go publicznie zdradzę, ich cudowność mogą przysłonić tłumy.

Proszę zaryzykować.

Jak jestem w danym miejscu, to wpisuję w wyszukiwarkę hasło „hidden gems" (ang. ukryte perełki) zamiast np. „top ten atrakcje". Oczywiście potem to weryfikuję.

Udało się panu znaleźć w ten sposób coś wyjątkowego?

Tak, np. w Wiedniu. Jak się wyjdzie poza ścisłe centrum, w ośmiopiętrowym budynku jest zlokalizowany słynny sklep meblowy, z którego jest najpiękniejszy widok na całe miasto. Można tam wjechać totalnie za darmo. W centrum wejście na każdą wieżę wymaga biletu wstępu. Pewnie bym tego nie znalazł, gdybym nie poszperał w sieci. Trochę wysiłku to jednak wymagało. Na pewno więcej niż odpalenie TikToka i poddanie się woli algorytmów. Podobnie w Pizie. Będąc tam, zapragnąłem pojechać nad morze. Pojechałem do pobliskiego Viareggio i tam się okazało, że prawie nie dało się wejść na plażę, tyle było ludzi. Następnego dnia wsiadłem do autobusu komunikacji miejskiej, który jechał na przedmieścia. I tam żadnych tłumów, sami lokalsi. Zero zorganizowanych plaż, każdy rzucał ręcznik, gdzie chciał, za nic nie trzeba było płacić.

Wiele osób mówi, że aby znaleźć coś naprawdę uroczego, wystarczy zejść z utartego szlaku albo się zgubić.

Tak, czasem wystarczy też zdobyć się na rozmowę z miejscowymi lub wejść do lokalu, który na pierwszy rzut oka wcale do takiej wizyty nie zachęca.

Wracamy z urlopu bardziej zmęczeni, niż kiedy wyjeżdżaliśmy?

No właśnie. Powinniśmy zatem mówić o tym, że taki sposób podróżowania może być antyprzyjemny. Wejście na Giewont czy Rysy w szczycie sezonu w sobotę to antyprzyjemność. Podobnie wyjazd w sierpniu do Wenecji czy Barcelony. Zaciskamy zęby, żeby „zaliczyć" wieżę Eiffla, Big Bena czy Koloseum, ale nie czerpiemy z tego żadnej przyjemności.

I wciąż tęsknimy za świętym spokojem, choćby na własnej kanapie.

Zatem dochodzimy tu do wspaniałej konkluzji naszej rozmowy – kierujmy się świętym spokojem! Zawsze będziemy wtedy wybierać te miejsca, które są „nieprzeturystowane". Nie po to, by realizować jakieś wzniosłe ideały, tylko żeby spędzić fajnie ten czas, żeby to była przyjemność. Jedźmy w Beskidy zamiast do Zakopanego albo do Ankony czy Padwy zamiast do Wenecji.

Chyba nie powinniśmy publicznie do tego zachęcać, bo za rok w Padwie będą tłumy.

No właśnie, w sumie tam chyba nie ma aż tylu fajnych rzeczy. (*śmiech*) Polećmy zatem Weronę. Też jest atrakcyjna.

ROZMAWIAŁA ANNA DOBROWOLSKA

eprasa.pl 9042e7cb93

Pozory nadzoru

Ucieczki niebezpiecznych pacjentów, ciągły brak miejsc w szpitalach, opieszałe procedury – polska psychiatria sądowa jest jak tykająca bomba.

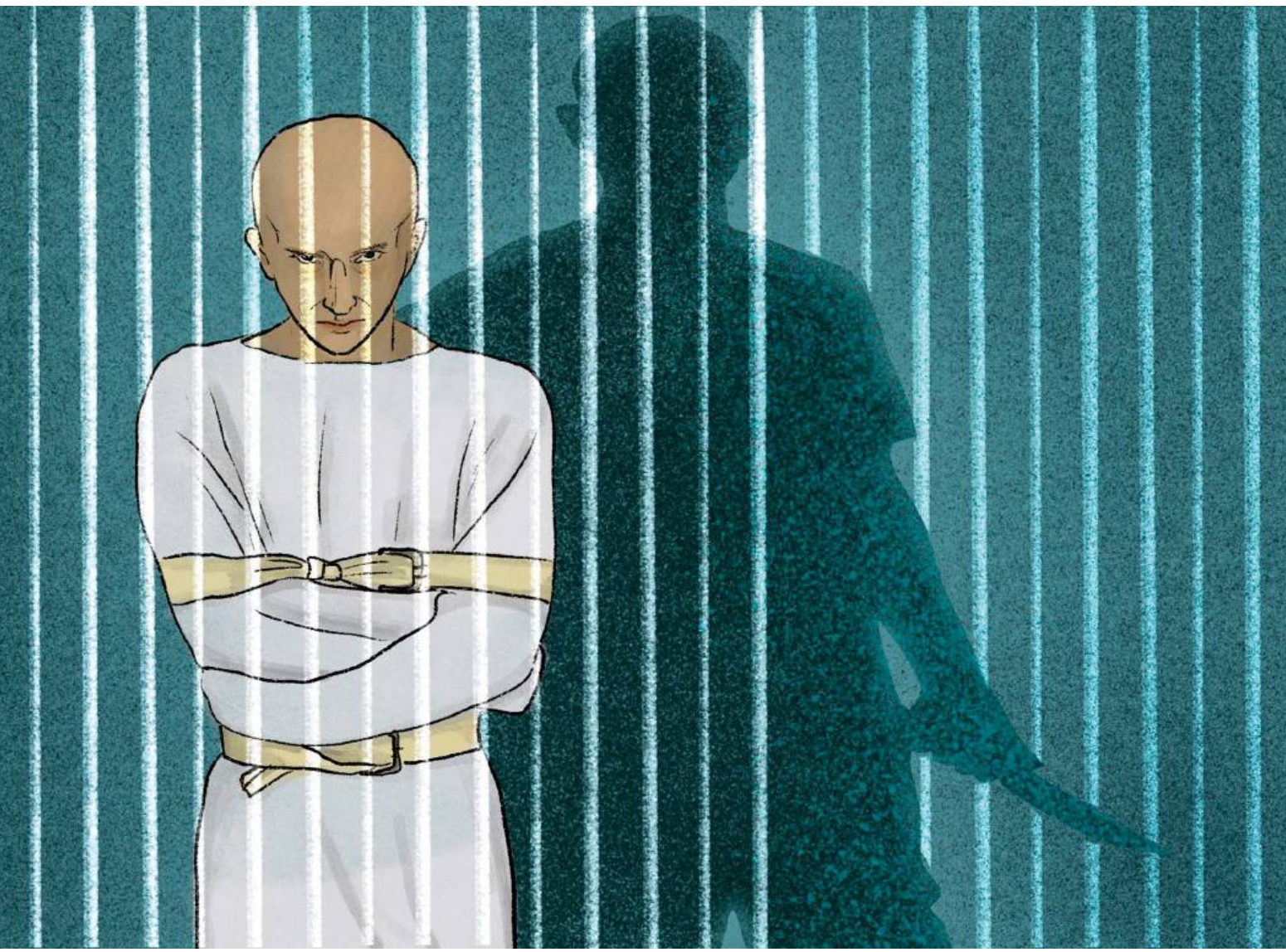

ILUSTRACJA **IZA KUCHARSKA**

PAWEŁ WALEWSKI

Gdy pod koniec lipca 30-letni pacjent oddziału psychiatrycznego wydostał się z Pabianickiego Centrum Medycznego przez zbyt niskie ogrodzenie, a następnie zabił swoją babcię na łódzkich Bałutach, media znów zaczęły pytać, jak to możliwe. Na początku lata w Małopolsce z rąk własnego syna schizofrenika zginęła pani Małgorzata. Pod wpływem silnych emocji związanych z chorobą zepchnął ją ze schodów, a następnie zadał kilkanaście ciosów nożem. Gdy matka, zauważając od pewnego czasu pogorszenie jego stanu zdrowia, szukała nocą pomocy na szpitalnym oddziale ratunkowym, ponoć jej tam nie otrzymała (prokuratorskie śledztwo jest dopiero na początkowym etapie) i wróciła z synem do domu, gdzie rozegrała się tragedia. 34-latek po zatrzymaniu trafił na oddział szpitalny w areszcie i jeśli potwierdzi się, że był niepoczytalny w chwili morderstwa, czeka go pobyt w zamkniętym szpitalu psychiatrycznym. Ale czy do niego trafi, czy przez wiele miesięcy będzie czekał na wolne miejsce? Po jakim czasie

eprasa.pl 9042e7cb93

zostanie zwolniony i przeniesiony do poradni zdrowia psychicznego? Czy może dojść do kolejnej tragedii?

Lekarze nie przewidzieli?

Po każdej takiej zbrodni zastanawiamy się, dlaczego lekarze nie upilnowali pacjenta. Odpowiedź jest prosta i przerażająca: system środków zabezpieczających w psychiatrii sądowej jest dziurawy jak ser – i wcale nie psychiatrzy są tu winni. Prof. Janusz Heitzman, który od lat próbuje naprawić ten system, nie ma wątpliwości: – *To nie medycyna, lecz polityka w najczystszej postaci.* Ministerstwo Zdrowia zrzuca odpowiedzialność na Ministerstwo Sprawiedliwości, tłumacząc, że trzeba zmienić Kodeks karny. A resort sprawiedliwości odbija piłeczkę, twierdząc, że w jego kompetencji są więzienia, a nie szpitale. Tymczasem pacjenci tkwią w niekończących się kolejkach lub, co gorsza, rozpływają się w biurokratycznej mgle.

– *Zgodnie z polskim prawem nie popełnia przestępstwa ten, kto z powodu choroby psychicznej nie mógł w czasie czynu rozpoznać jego znaczenia lub pokierować swoim postępowaniem* – tłumaczy prof. Andrzej Kokoszka, kierownik II Kliniki Psychiatrii w warszawskim Szpitalu Bródnowskim. – *I jeśli istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że popełni on ponownie czyn zabroniony o znacznej społecznej szkodliwości, sąd orzeka pobyt w odpowiednim zakładzie psychiatrycznym bądź podjęcie terapii w warunkach ambulatoryjnych.*

Nazywa się to środkiem zabezpieczającym: izolacyjnym (pobyt w szpitalu) lub wolnościowym (leczenie w poradni zdrowia psychicznego), co teoretycznie brzmi przekonująco. Problemy tkwią jednak w realizacji tych orzeczeń w praktyce. – *Środki zabezpieczające, wbrew medycznej nazwie, to narzędzia karne o represyjnym charakterze. Tak widzi je społeczeństwo, choć my uparcie nazywamy je leczniczymi* – wyjaśnia prof. Heitzman, który jest pełnomocnikiem ministra zdrowia ds. psychiatrii sądowej i przewodniczącym komisji ds. środków zabezpieczających. – *Ich celem jest neutralizacja stanu zagrożenia – nie osoby, co podkreślam, lecz ryzyka, że ktoś, kto z powodu choroby popełnił czyn zabroniony, zrobi to ponownie.*

Chodzi zatem o narzędzia, które powinny nas chronić przed tego typu zdarzeniami. A te trudno przewidzieć, bo nikt nie da gwarancji, że człowiek, który chodzi po ulicy i nigdy nie był leczony, nagle nie stanie się potencjalnym sprawcą zbrodni (jak 22-letni Mieszko R., student prawa z Uniwersytetu Warszawskiego, który w maju zabił siekierą kobietę na terenie uczelni).

W praktyce jest wiele luk, które budzą niepokój zarówno wśród psychiatrów, jak i sędziów, a przede wszystkim w rodzinach osób zmagających się z zaburzeniami psychicznymi (bo to pod ich adresem najczęściej padają groźby i one jako pierwsze doświadczają przemocy). Okazuje się, że w przeciążonym systemie pacjenci, którzy powinni być pod ścisłym nadzorem, nierzadko trafiają na zwykłe oddziały psychiatryczne lub w ogóle nie są hospitalizowani i na wolne miejsce czekają w domu.

Terapia czy represja?

Liczba orzekanych przez sądy środków zabezpieczających wobec osób niepoczytalnych lub o ograniczonej poczytalności rośnie z roku na rok. W 2024 r. na terapię skierowano 2604 skazanych (w 2020 r. było ich 1672), a w szpitalach psychiatrycznych przebywa obecnie ponad 3,5 tys. objętych takimi orzeczeniami. Na wolne miejsca czeka ok. 500 osób. W poradniach leczy się natomiast 7–8 tys. pacjentów, choć zdaniem specjalistów wymagałoby tego 10 tys. W dodatku opieka ambulatoryjna często nie spełnia swojej roli, gdyż – jak przyznaje prof. Kokoszka – lekarze nie mają narzędzi, by sprawdzać, czy ich podopieczni przyjmują regularnie leki, ani nie są od tego, by kontrolować, jak się zachowują (kuleje nadzór obłożonych pracą kuratorów sądowych), a z sądami porozumieć się trudno.

Przykład 50-latka z Małopolski, który od maja czeka na miejsce w szpitalu psychiatrycznym, jest symbolem wielu niedociągnięć. 25 lat temu zadał kobiecie kilkadziesiąt śmiertelnych ciosów nożem, powodując rany cięte i kłute głowy, klatki piersiowej i brzucha. Biegli stwierdzili u niego schizofrenię i orzekli bardzo wysokie prawdopodobieństwo ponownego popełnienia czynu, gdyż nie jest w stanie kontrolować swojego zachowania ani podejmować logicznych działań. Wyrokiem sądu skierowano go do szpitala psychiatrycznego, gdzie poddany został terapii i przyniosła ona na tyle dobre efekty, że izolacyjny środek zabezpieczenia zamieniono na tzw. wolnościowy, czyli mógł opuścić szpital i kontynuować terapię ambulatoryjnie w poradni zdrowia psychicznego. Po pewnym czasie przestał zgłaszać się na wizyty, wskutek czego lekarze zauważyli pogorszenie jego stanu. Dawne demony wróciły, a wraz z nimi konieczność ponownego umieszczenia go na oddziale zamkniętym.

Sąd wydał postanowienie, ale choć minęły trzy miesiące, mężczyzna nadal nie trafił na leczenie. Owszem, wskazano placówkę, gdzie powinien je rozpocząć, ale musi czekać tam na miejsce na oddziale psychiatrii sądowej, bo wszystkie 75 łóżek jest zajętych. W podobnej sytuacji znajduje się 10 innych niedoszłych pacjentów tego szpitala, którzy z wyrokami czekają na miejsce, pozostając w swoich domach lub w aresztach. – *A to nie są właściwe miejsca dla chorujących psychicznie, którzy wymagają leczenia* – zauważa prof. Janusz Heitzman.

Komisja, którą kieruje, co tydzień rozpatruje ok. 50 podobnych spraw. Do jej głównych zadań należy wskazanie poziomu i miejsca realizacji środka zabezpieczającego – czy będzie to oddział psychiatryczny na poziomie podstawowym (czyli tradycyjny, bez wyrafinowanych zabezpieczeń), wzmocnionym, czy z maksymalnymi rygorami. – *Staramy się wskazać oddział dysponujący adekwatnymi możliwościami terapeutycznymi, ale nasza decyzja nie jest równoznaczna z możliwością natychmiastowego przyjęcia do takiej placówki. Bo brakuje obecnie ok. 500 miejsc w szpitalach psychiatrycznych przeznaczonych do realizacji środków zabezpieczających* – mówi prof. Heitzman. – *Wskazując konkretną placówkę, kierujemy się więc najkrótszym czasem oczekiwania na miejsce. Może to być nawet kilka miesięcy.*

W tym czasie pacjenci nie otrzymują odpowiedniego leczenia, co zwiększa ryzyko nawrotu objawów i dokonania czynów zabronionych. Jak wskazuje nasz rozmówca, liczba łóżek na oddziałach psychiatrii sądowej przez ostatnie 10 lat zwiększyła się o tysiąc, ale liczba prawomocnych postanowień sądowych wzrosła dwukrotnie, ponieważ – i jest to trend światowy – przybywa osób z zaburzeniami psychicznymi, które popełniają czyny agresywne. Upowszechnił się dostęp do środków psychoaktywnych (np. amfetaminy, marihuany, kokainy, mefedronu), które w przypadku schizofrenii mogą wywoływać niekontrolowane zachowania agresywne.

– *Sąd orzeka, że skazanego trzeba pilnie przyjąć, a tymczasem nie ma go gdzie umieścić* – przyznaje dyrektor jednego ▶

eprasa.pl 9042e7cb93

▶ ze szpitali na południu Polski, pokazując absurd sytuacji, w której to na niego zrzuca się odpowiedzialność za deficyt łóżek. Do tego dochodzą duże problemy z komunikacją między instytucjami. Prof. Kokoszka przytacza przypadek pacjenta, który uciekł z oddziału o wzmożonym nadzorze, a następnie z obawy przed popełnieniem kolejnego morderstwa dobrowolnie zgłosił się do innego szpitala. Mimo wielomiesięcznego pobytu nie został tam odnaleziony przez żadne służby. Co więcej, gdy w związku z aktami przemocy podczas hospitalizacji prokuratura wszczęła przeciw niemu postępowanie, nawet nie ustaliła, że jest to osoba, która wcześniej uciekła z internacji.

Co poprawić w systemie?

Leczenie ambulatoryjne sprawców wykroczeń stosuje się w łagodniejszych przypadkach, gdy stopień zagrożenia jest niższy, ale i ono zawodzi. Pacjenci, którzy nie chcą się leczyć lub nie mają świadomości swojej choroby, zazwyczaj przestają przestrzegać zaleceń lekarskich. A obecny system udzielania świadczeń nie traktuje ich w sposób szczególny. Lekarze nie mają narzędzi, by zmusić kogokolwiek do przestrzegania rygorów, a sądy często nie reagują na sygnały o pogorszeniu ich stanu zdrowia.

– *W jednym z pism, które do nas dotarło z sądu, udzielono nam rady, że jeśli pacjent wymaga leczenia w szpitalu, to lekarz z przychodni powinien mu wystawić skierowanie* – opowiada prof. Kokoszka, wskazując na naiwność takiego podejścia. Bo przecież ustawa o zdrowiu psychicznym wyraźnie definiuje, na jakiej podstawie odbywają się przyjęcia do szpitali psychiatrycznych i może to nastąpić na zasadach dobrowolności lub pod ściśle określonymi warunkami, które nie są spełnione w przypadku pacjentów pozbawionych krytycyzmu co do własnego stanu zdrowia.

Jeśli więc nie zmieni się prawo, groźne sytuacje będą się powtarzać. Prof. Heitzman wraz z Departamentem Zdrowia Publicznego w Ministerstwie Zdrowia pracują nad wprowadzeniem Karty Świadczenia Opieki Zdrowotnej dla pacjenta, który ma orzeczony przez sąd wolnościowy, ambulatoryjny środek zabezpieczający w formie terapii. – *A to nie jest zwykły pacjent, jak większość w naszych poradniach, bo wcale nie chce się leczyć. Ma nakaz sądowy* – podkreśla. Karta miałaby zapewnić szybszy dostęp do lekarza, osobną kolejkę (by nie trzeba było czekać na wizytę trzy miesiące) i lepsze finansowanie. W poradni powinni się taką osobą zajmować odpowiednio przygotowani specjaliści.

Jeśli chodzi o fundusze, to oddziały psychiatrii sądowej, gdzie wyceny świadczeń są wyższe ze względu na konieczność lepszego nadzoru, traktuje się jak dojne krowy i pieniądze do nich kierowane dyrektorzy szpitali przechwytują na inne potrzeby swoich zadłużonych placówek. – *Dlatego powinny być wyraźnie oznaczane* – słyszę od ordynatorów takich oddziałów. Bez tego nie są w stanie zapewnić odpowiednich warunków, co prowadzi do tragedii, takich jak ucieczka pacjenta z Pabianic.

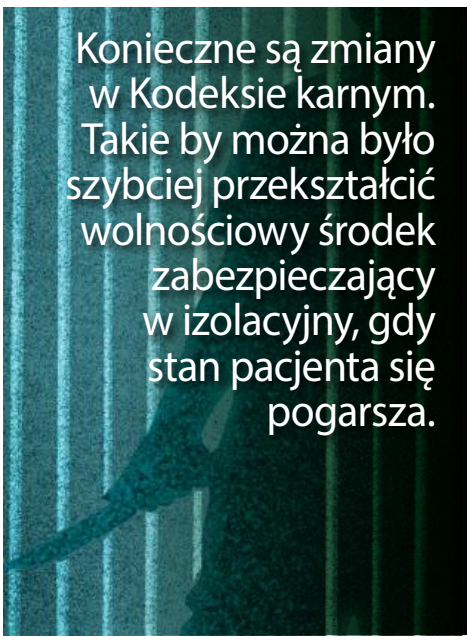

Warto też rozważyć utworzenie ośrodków długoterminowej opieki sądowo-psychiatrycznej dla pacjentów, którzy od dawna pozostają w systemie i z różnych powodów nie mogą wrócić do społeczeństwa. – *Takie placówki byłyby przeznaczone dla osób przebywających w internacji co najmniej dekadę, w wieku powyżej 70 lat, które się starzeją i nie mogą zostać zwolnione, ponieważ rodziny ich nie chcą, a one jeszcze wymagają leczenia* – mówi prof. Heitzman. Ci pacjenci, często zmagający się z poważnymi chorobami somatycznymi, nie potrzebują już aż tak ścisłego nadzoru, bo nie będą skakać przez płot, ale potrzebują opieki dostosowanej do ich wieku i stanu zdrowia. W krajach zachodnich takie placówki umożliwiają bardziej humanitarne podejście do seniorów i odciążają szpitale psychiatryczne. W Polsce zajmują oni miejsca na oddziałach o wysokim poziomie zabezpieczenia, blokując dostęp dla nowych osób.

Zdrowie czy sprawiedliwość?

Eksperci są zgodni co do tego, że obecny system środków zabezpieczających wymaga zmian w Kodeksie karnym, by umożliwić bardziej elastyczne podejście do pacjentów trafiających pod nadzór psychiatrii sądowej. Kluczowym problemem jest niemożność przekształcenia wolnościowego środka zabezpieczającego w izolacyjny, gdy stan pacjenta się pogarsza.

Orzekając terapię w tej formie, sąd mógłby zastrzec, że będzie mogła być zamieniona na pobyt w szpitalu, jeżeli prawdopodobieństwo ponownego popełnienia czynu zabronionego staje się wysokie. To pozwoliłoby na szybszą reakcję w sytuacjach, kiedy ktoś przestaje przestrzegać zaleceń lub jego stan się pogarsza. Obecnie lekarze są bezradni, a sądy nie mają narzędzi, by reagować na sygnały o potencjalnym zagrożeniu.

Należałoby też wprowadzić katalog czynów uzasadniających internację. – *Wielu sprawców w systemie izolacyjnym nie powinno się tam znajdować, ponieważ ich czyn nie stwarzał zagrożenia dla zdrowia i życia innych* – zauważają moi rozmówcy. Przykładem są jedynie groźby karalne lub drobne uszkodzenia mienia, które obecnie prowadzą do zastosowania środka izolacyjnego, choć ci skazani mogliby być leczeni właśnie ambulatoryjnie. Tego typu zmiany pozwoliłyby odciążyć szpitale.

Takie rozwiązania wymagałyby jednak nie tylko zmian legislacyjnych, ale też lepszej współpracy między ministerstwami zdrowia i sprawiedliwości. W niektórych systemach prawnych cała psychiatria sądowa jest bardziej w gestii resortu sprawiedliwości niż ochrony zdrowia – w Polsce odpowiedzialność za bezpieczeństwo publiczne i leczenie uległa rozmyciu, co prowadzi do chaosu. Reforma psychiatrii sądowej to nie tylko kwestia prawa i medycyny – to sprawdzian, czy potrafimy znaleźć równowagę między ochroną społeczeństwa a troską o najsłabszych.

PAWEŁ WALEWSKI

eprasa.pl 9042e7cb93

Dzieci dadzą głos

ILUSTRACJE PATRYK SROCZYŃSKI

Na ulgach podatkowych dla rodzin z co najmniej dwójką dzieci, które chce wprowadzić prezydent Nawrocki, zamożne rodziny zyskałyby średnio 1080 zł miesięcznie, a najmniej zarabiające... 6 zł. Tak hojnego i niesprawiedliwego systemu nie ma nigdzie w Europie. Bo u nas nie chodzi o dzieci, tylko o wyborcze kalkulacje.

JOANNA SOLSKA

Próg wielkości zarobków, do którego dla takich rodzin nie obowiązywałby PIT, w przypadku jednego rodzica pracującego wynosiłby 140 tys. zł rocznie. Jeśli oboje rodzice pracują i zarabiają rocznie 280 tys. zł, podatku od dochodów osobistych nie zapłaciliby wcale.

Karol Nawrocki projekt swojej ustawy o nowych ulgach dla rodzin z dziećmi podpisał w Kolbuszowej, której mieszkańcy ▶

eprasa.pl 9042e7cb93

▶ tłumnie na niego głosowali. Nie powiedział im jednak, że te ulgi raczej nie są adresowane do nich, najwięcej skorzystają na nich rodziny najbogatsze. Stwierdzenie Zbigniewa Boguckiego, szefa kancelarii prezydenta, że ustawy Nawrockiego popiera 10,6 mln Polaków, więc liczy on także na poparcie marszałka Hołowni, wydaje się więc wzięte z sufitu. Projekt już został wysłany do Sejmu. Z uzasadnieniem, że ma na celu „zapewnienie ciągłości pokoleniowej, odbudowę potencjału demograficznego oraz wzmocnienie fundamentów społecznych Rzeczpospolitej". Krótko mówiąc, dzięki nowym ulgom polskie rodziny zdecydują się na więcej dzieci. Demografowie, z którymi zmian nie konsultowano, są nimi przerażeni. Socjolodzy i specjaliści od podatków również. Przyjrzyjmy się.

Drugi próg podatkowy, wynoszący obecnie 120 tys. zł rocznie, zostałby podniesiony do 140 tys. zł. To akurat logiczne, wynika z inflacji. Z powodu rosnących cen w progresję, czyli 32 proc. PIT, wpadamy szybciej. Realnie przy tych samych stawkach podatek więc rośnie. Próg, od którego płacimy więcej, należałoby zwaloryzować, co kosztowałoby budżet 3 mld zł. Natomiast nielogiczne i wręcz absurdalne jest waloryzowanie progu ze 120 do 140 tys. zł tylko dla rodzin objętych PIT 0. Wszyscy pozostali podatnicy wpadaliby nadal w progresję 32 proc., gdy ich dochody przekroczyłyby pułap 120 tys. zł.

O wiele większym przywilejem, wynikającym z ulgi dla rodzin z co najmniej dwójką dzieci, byłoby jednak co innego. Do osiągnięcia rocznego dochodu na poziomie 140 tys. zł, a w przypadku dwojga pracujących i dobrze zarabiających rodziców aż do 280 tys. zł, podatek od dochodów osobistych nie byłby płacony wcale. Czyli: im więcej zarabiają, tym droższy prezent dostają od państwa, chociaż te akurat rodziny pomocy nie potrzebują i nie od niej zależą ich decyzje o wielkości rodziny. Nie bardzo też wiadomo, na czym miałyby polegać zachęty do posiadania większej liczby dzieci, skoro PIT 0, czyli przywilej niepłacenia podatku od dochodów osobistych, otrzymuje się już przy dwójce? Przy trzecim dziecku ulga nie byłaby przecież większa, podatku i tak się nie płaci.

Potwierdzeniem tezy, że propozycja PIT 0 jest adresowana do wyborców bogatszych, sympatyzujących z Konfederacją, jest to, że nowe ulgi miałyby dotyczyć także przedsiębiorców, którzy wybrali PIT liniowy 19 proc. Dane statystyczne pokazują, że takiego wyboru dokonują tylko ci właściciele firm albo samozatrudnieni, którym się to opłaci, a więc zarabiający najlepiej – o wiele więcej niż osoby płacące 32 proc., zatrudnione na umowie o pracę.

Drugą stronę medalu pokazuje prof. Jacek Tomkiewicz z Akademii Leona Koźmińskiego. Według niego ponad połowa podatników, teoretycznie uprawnionych do skorzystania z PIT 0, nie zarobi tyle, żeby z podniesienia progu do 140 tys. zł skorzystać. Propozycja prezydenta nie dotyczy też rolników, ta grupa nie płaci PIT już od momentu jego wprowadzenia.

Prezydent Nawrocki, który zwołuje radę gabinetową zaniepokojony wielką dziurą budżetową państwa, jednocześnie przedstawia projekt ustawy, który tę dziurę powiększyłby o kolejne 20 mld. – *Eksperci Centrum Analiz Ekonomicznych obliczyli, że PIT 0 kosztowałby budżet państwa 15,9 mld zł rocznie, ale aż 12 mld zł z tej sumy trafiłoby do 20 proc. gospodarstw zarabiających najwięcej, a jedynie 150 mln zł do rodzin najbiedniejszych* – ostrzega Michał Myck, szef tego think tanku. Jednak Krzysztof Bosak, jeden

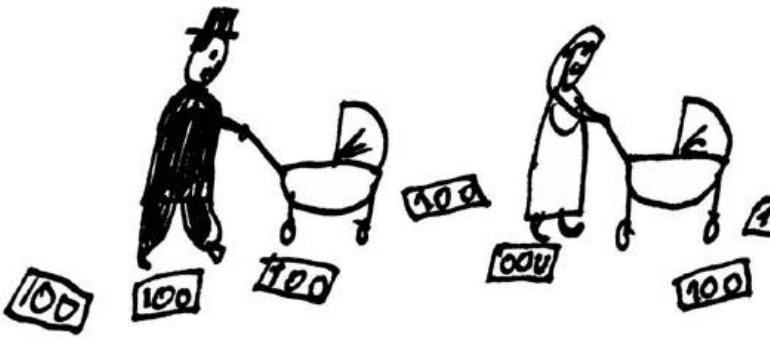

z liderów Konfederacji, uważa projekt Nawrockiego za bardzo dobry i już zadeklarował poparcie dla „kontraktu podatkowego". Nie ustosunkował się do tego, skąd zadłużone państwo weźmie pieniądze na tak hojne wsparcie bogatych. Enigmatyczne stwierdzenie, że źródłem pieniędzy ma być „uszczelnienie i poprawa ściągalności podatków", w praktyce oznacza bowiem jeszcze więcej kontroli VAT, na które narzekają ci sami przedsiębiorcy. Lepiej więc to przemilczeć.

Politycy PiS także są powściągliwi. To przecież oni po raz pierwszy wygrali w 2005 r. wybory parlamentarne, dzieląc Polskę na solidarną, pochylającą się nad niezamożnymi, których chcieli bronić, oraz liberalną Platformy, w której na przyjazd pogotowia ratunkowego będą mogli liczyć tylko posiadacze kart kredytowych. Kontrakt podatkowy Nawrockiego to raczej objaw darwinizmu niż solidaryzmu społecznego. Mówienie, że jest kontynuacją PIT dla młodych do 26. roku życia, zwolnionych przez PiS z podatku dochodowego, jest mydleniem oczu. Jeśli ma coś wspólnego z tą partią, to raczej z niechlubnym Polskim Ładem, wprowadzonym za czasów premiera Mateusza Morawieckiego, którego pozostałością jest zwolnienie rodzin z czwórką dzieci z PIT do wysokości 85 tys. zł dochodu rocznego. Czyli rodzin takich jak ówczesnego szefa rządu. Nawrocki Morawieckiego w hojności dla bogatych przelicytował.

Kiedy prof. Irena Kotowska z Instytutu Statystyki i Demografii SGH, która jest też członkinią Rady ds. Rodziny przy Ministerstwie Rodziny i Pracy, próbowała się dowiedzieć, ile pieniędzy polskie państwo wydaje na wspieranie rodzin z dziećmi, okazało się to niemożliwe. Nie ma raportów sumujących coraz większą liczbę ulg, transferów, zasiłków itp. Nikt tego nie liczy, choć Ministerstwo Finansów powinno. Zwłaszcza że już co trzeci złoty wydawany przez budżet państwa został pożyczony. Dane OECD są nieaktualne, pochodzą z 2021 r., wtedy na świadczenia rodzinne wydawaliśmy ponad 3,2 proc. PKB, a już wtedy niektórych pozycji nie ujmowaliśmy.

Od tej pory z 500 plus zrobiło się 800 plus, którego roczny koszt eksperci szacują na ok. 70 mld zł. Pojawił się kapitał opiekuńczy, przybyło „babciowe". Prof. Iga Magda z SGH, wiceprezeska Instytutu Badań Strukturalnych, też nie jest w stanie wszystkich ulg i zasiłków policzyć, nie ma danych. Największą po 800 plus pozycją są świadczenia rodzinne; kosztują ok. 12 mld zł rocznie. Ile wynoszą pozostałe, nie wiadomo. Można przyjąć, że na wydatki, których deklarowanym celem miała być większa dzietność polskich rodzin, przeznaczamy ok. 100 mld zł rocznie, czyli 4 proc. PKB, najwięcej w Unii. Stany Zjednoczone na wspieranie rodzin z dziećmi wydają 1 proc.

Przegoniliśmy nawet Francję, która prowadzi stosunkowo najbardziej skuteczną politykę wspierania dzietności. Różnimy

eprasa.pl 9042e7cb93

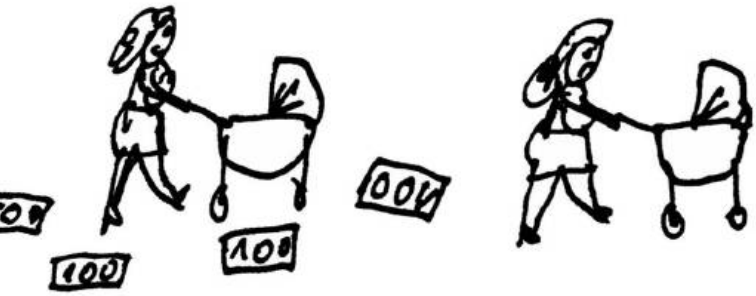

się tym, że we Francji współczynnik dzietności jest najwyższy w Europie i wynosi 1,5 (dwie kobiety w wieku 15–49 lat rodzą w życiu troje dzieci), a u nas najniższy – wynosi 1,1 (kobieta w wieku 15–49 statystycznie rodzi tylko 1,1 dziecka). Z każdym rokiem bijemy kolejny rekord zbliżający nas do wyludnienia. W maju GUS podał, że w 2024 r. urodziło się zaledwie 252 tys. małych Polaków, najmniej od końca wojny. Francja też chciałaby, żeby jej przyrost był większy, ale w ubiegłym roku urodziło się tam prawie 661 tys. maluchów.

Dlaczego Francuzi, których przegoniliśmy w hojności, decydują się na większą liczbę dzieci, a Polacy na coraz większe wsparcie państwa pozostają niewrażliwi? Bo Francuzi mają politykę społeczną i realizują jej cele, a w Polsce prawdziwej polityki zachęcania do dzietności brak. Politycy ignorują ekspertów, ponieważ ich cele są inne, wyborcze. Zamiast polityki mamy transfery gotówki do grup, na których głosach poszczególnym partiom najbardziej zależy.

Psucie bardzo skromnego, ale spójnego systemu wsparcia zaczęło się za pierwszego rządu PiS, Samoobrony i LPR. Żeby skłonić partię Giertycha do poparcia rządu przy głosowaniu nad wotum zaufania, prezes Kaczyński zgodził się na „becikowe", dzięki któremu LPR liczyło na większą popularność. „Giertychowe" jest jednorazowe, wynosi 1 tys. zł, trudno je uznać za element polityki wspierania dzietności. Ale politycy zwietrzyli szansę zaistnienia.

W rządzie PO-PSL skorzystał z niej Władysław Kosiniak-Kamysz, wtedy minister pracy. „Kosiniakowe", czyli zasiłek w wysokości 1 tys. zł przez rok od urodzenia dziecka, obejmował nie tylko kobiety pracujące ubezpieczone w ZUS, ale także te, które nie pracowały, i oczywiście matki na wsi, należące do KRUS. Miał przysporzyć popularności ludowcom.

Ludowców przelicytował PiS, wprowadzając 500 plus, najpierw od drugiego, potem już dla każdego dziecka, bez żadnych warunków. Ten transfer procentuje partii do tej pory, jest na wsi o wiele bardziej popularna niż PSL. A co z dziećmi? Wbrew potocznym wyobrażeniom obecnie na wsi rodzi się mniej dzieci niż w miastach. Matkami częściej decydują się być kobiety wykształcone, nierezygnujące z ambicji zawodowych. Takie, których nie lubi ani PiS, ani Konfederacja.

Politycy, którzy dają wyborcom kolejne porcje gotówki „na dzieci", nie próbują wpisać nowych świadczeń w istniejący system. Odwrotnie, ignorują ten, który istnieje. Liczba tytułów do świadczeń rośnie, ale niektóre tracą na znaczeniu. Najlepszym przykładem są zasiłki rodzinne, najstarsza forma wsparcia rodzin z dziećmi. – *Jest uzależniona od dochodów rodziny oraz wieku dzieci i to na nie powinny być przeznaczane coraz większe środki* – twierdzi prof. Kotowska. Zasiłki trafiają do rodzin, którym pomoc jest potrzebna, od niej zależą szanse rozwojowe dzieci. Tymczasem politycy ten system zniszczyli, progi dochodowe ani wysokość świadczeń nie są waloryzowane od 2018 r. Wyklucza to z pomocy coraz więcej ubogich rodzin, bo próg dochodów na członka rodziny od lat wynosi 674 zł – tym, którzy go przekraczają, „rodzinne" już się nie należy. Na dziecko do piątego roku życia państwo płaci miesięcznie... 95 zł. Potem rodzinne dla dziecka do 18 lat wynosi 124 zł, a dla starszego, jeśli studiuje – 135 zł. To kpina. Grono uprawnionych do świadczenia kurczy się wraz z inflacją.

Jednocześnie wraz z potężnym wzrostem sum przeznaczonych na wsparcie rodzin ogranicza się pomoc dla tych najbardziej jej potrzebujących. W Polsce wydatki zależne od dochodu rodziny wynoszą według Eurostatu zaledwie 5,2 proc. sum przeznaczonych na wsparcie dla rodzin. We Francji jest to 18,4 proc., w Niemczech 46 proc. W obu tych krajach na nieporównanie wyższym poziomie są usługi publiczne – ochrona zdrowia, edukacja. U nas zamiast nich dają gotówkę. Jakby władza chciała powiedzieć: „Kupcie sobie je sami".

Polskie państwo z systemu pomocy wypchnęło biednych, żeby transferować gotówkę do rodzin, które pomocy nie potrzebują. Nawet lewicowi eksperci cieszyli się z tego, bo pomoc adresowana stygmatyzuje. Teraz milczą.

Po pierwszych latach obowiązywania 500 plus wiadomo było, że więcej dzieci się dzięki niemu nie urodzi, ale cieszyliśmy się, że maleje ubóstwo w rodzinach wielodzietnych. Wkrótce ci sami badacze stwierdzili, że za jedną czwartą sumy wydawanej na 500 plus można je było zlikwidować całkowicie, gdyby adresowano pomoc tylko do potrzebujących. O tym, że celem miała być większa dzietność, nikt już nie wspomina. Biedni z systemu wsparcia wypychani są coraz szybciej. PIT 0 byłby ukoronowaniem tego procesu.

Eksperci są zgodni co do tego, że system wsparcia należy ujednolicić, uczynić spójnym. Prof. Kotowska uważa, że można by rozbudować istniejący i lekceważony system zasiłków adresowanych do najbardziej potrzebujących. – *Wypychanie najuboższych ze wsparcia i udzielanie go najbogatszym spowodowało gwałtowną prywatyzację publicznej ochrony zdrowia. Stać na nią lepiej sytuowanych beneficjentów 800 plus, ale pieniędzy brakuje już na usługi publiczne. To samo dzieje się z edukacją. Coraz hojniejsze transfery gotówki do rodzin, które pomocy państwa nie potrzebują, pozbawiają szans rozwojowych dzieci z uboższych domów. Zrobiła to prawica, która prywatyzacją straszy.*

Autorzy projektu ustawy PIT 0 nie zadali sobie trudu choćby pobieżnego przyjrzenia się istniejącemu systemowi. Przecież odliczane od podatku PIT ulgi na dzieci istnieją już od lat, wprowadził je rząd PO-PSL, co z nimi? Są o wiele mniej hojne i bardziej sprawiedliwe, bo najmniej zarabiający mogą z nich korzystać w takim samym wymiarze jak bogatsi. Oba systemy podatkowe nie mogą jednak obowiązywać jednocześnie.

Eksperci krytykujący projekt PIT 0 potraktowali go poważnie. Pokazują fatalne skutki, jakie może przynieść, które nie mają nic wspólnego z deklarowanym celem, czyli poprawą dzietności. Ich opinie autorów projektu nie interesują, prawdziwy cel prezydenta jest bowiem inny. To wprowadzenie chaosu i pokazanie, jakim grupom prezydent Nawrocki by ulżył, gdyby miał więcej władzy.

JOANNA SOLSKA

eprasa.pl 9042e7cb93

Naga prawda o ubraniach

Zniszczonych ubrań jest coraz więcej, a pozbyć się ich coraz trudniej. Ofiarą nowych zasad segregacji odpadów padły kontenery na używaną odzież. Znikają, bo zaczęliśmy je traktować jako pojemniki na tekstylne śmieci. Nie tak miało być.

CEZARY KOWANDA

Jest ich w całej Polsce niemal 30 tys. Kontenery na używaną odzież ze znakiem Polskiego Czerwonego Krzyża stały się jednym z elementów naszego krajobrazu. Przetrwały nawet skandal na Dolnym Śląsku w poprzedniej dekadzie, gdy rządzący wówczas lokalnym oddziałem PCK (w tym politycy PiS) kradli ubrania z takich pojemników i zarabiali na ich sprzedaży. Teraz kontenery z logo znanej organizacji charytatywnej zaczynają znikać, bo okazały się największymi przegranymi nowych zasad segregacji śmieci. Od stycznia tego roku nie wolno już wyrzucać starych ubrań i innych odpadów tekstylnych do zwykłych czarnych pojemników na zmieszane śmieci. Należy je wozić do Punktów Selektywnej Zbiórki Odpadów Komunalnych (potocznie zwanych PSZOK-ami), ale wiele osób wybrało inne, znacznie wygodniejsze dla siebie rozwiązanie.

Kontenery PCK, przeznaczone na odzież używaną, ale wciąż w dobrym stanie, zaczęły być traktowane jak kubły na ubraniowe odpady. Niektórzy próbują do nich wrzucać nawet dywany czy poduszki, a co się nie mieści, zostawiają dookoła. – *Od wejścia w życie nowych przepisów do naszych pojemników zaczęło trafiać dużo więcej odzieży w złym stanie, której nie możemy ponownie wykorzystać. Wzrosły zatem koszty utylizacji takich odpadów, a firma, z którą mieliśmy kontrakt*

© PIOTR KAMIONKA/REPORTER

eprasa.pl 9042e7cb93

na obsługę kontenerów, wypowiedziała nam umowę. Dotąd zasada była taka, że my wykorzystujemy zebrane ubrania w dobrym stanie, a w przypadku reszty tekstyliów dostajemy określoną kwotę za każdy kilogram od operatora, który następnie sam je zagospodarowuje według swoich potrzeb – wyjaśnia Agnieszka Supińska, rzeczniczka Polskiego Czerwonego Krzyża.

Dodaje, że do kontenerów z logo PCK coraz częściej trafiają ubrania zniszczone, dziurawe, a nawet oblane różnymi substancjami. Nie dość, że nie nadają się do ponownego wykorzystania nawet po naprawie, to jeszcze niszczą zawartość pojemników. – *Niestety, zabrakło odpowiedniej edukacji mieszkańców, którzy często nie wiedzą, co robić z odpadami tekstylnymi. Nasze kontenery miały być na takie przedmioty, których nie wstydzilibyśmy się przekazać rodzinie czy znajomym. Dotąd zbieraliśmy rocznie aż ok. 70 tys. ton ubrań. Jeśli nasze pojemniki znikną, gdzieś ta ogromna masa tekstyliów będzie musiała trafić* – podkreśla Agnieszka Supińska. Polski Czerwony Krzyż próbuje rozmawiać z samorządami i ma nadzieję, że chociaż część pojemników będzie mogła funkcjonować dalej, jeśli znajdą się gminy, które zostaną jego nowymi partnerami.

Dotąd operatorem pojemników PCK była firma Wtórpol z siedzibą w Skarżysku-Kamiennej. Jest ona zdecydowanym liderem zbiórki tekstyliów poprzez kontenery w Polsce, bo część z nich prowadzi też na swój rachunek. W sumie chodzi o ok. 60 tys. pojemników. Wtórpol wypowiedział umowę PCK i zastanawia się, co zrobić z własnymi kontenerami. – *Niestety, od początku tego roku mamy dużo więcej odzieży w bardzo złym stanie, która nadaje się wyłącznie na paliwo alternatywne. Jednak odbiorców takiego paliwa jest mało – to głównie cementownie, którym musimy płacić za jego przyjęcie. Jesteśmy w stanie ponownie wykorzystać bawełnę, którą przerabiamy na czyściwo i wełnę, którą eksportujemy do Indii, gdzie produkuje się z niej dywany. Do niedawna zyski ze sprzedaży takich surowców oraz ubrań w dobrym stanie były w stanie pokryć koszty, jakie musimy ponieść przy utylizacji tekstyliów w złym stanie i nienadających się do recyklingu. Ale teraz taka działalność staje się zupełnie nieopłacalna* – mówi Mateusz Bolechowski, rzecznik prasowy firmy Wtórpol. Wskazuje, że to nie tylko polski problem. Na przykład w Niemczech dwie firmy zajmujące się tego typu biznesem zdążyły już zbankrutować.

Kłopoty operatorów kontenerów na starą odzież byłyby mniejsze, gdyby gminy, zakazując wyrzucania zniszczonych ubrań do pojemników na odpady zmieszane, zaczęły stawiać osobne kubły na tekstylia. Tak jak dzisiaj mamy w altanach odrębne pojemniki na szkło, metale i tworzywa sztuczne czy papier. To jednak oznaczałoby kolejny wzrost opłat pobieranych od mieszkańców. Te w wielu miastach przekroczyły już 40 zł za osobę miesięcznie. Samorządowcy wybrali zatem inną drogę – podstawowym miejscem pozbywania się odzieży, która nie nadaje się już do wykorzystania, stały się istniejące punkty PSZOK. Tych jednak nie ma wiele – zazwyczaj jeden lub dwa w całej gminie, tylko największe miasta prowadzą trzy albo cztery. Równocześnie od początku tego roku wiele samorządów ostrzega mieszkańców, że wyrzucanie ubrań do zwykłych pojemników jest nielegalne i może oznaczać kary finansowe.

Niektórzy próbują żyć w zgodzie z nowymi przepisami. – *Wcześniej zbieraliśmy w naszych PSZOK-ach ok. 90 ton odpadów tekstylnych rocznie. Tymczasem tylko w pierwszym półroczu trafiło ich już ok. 170 ton. Staramy się wychodzić naprzeciw mieszkańcom. Promujemy miejsca zbiórek odzieży używanej, gdzie można dać drugie życie swoim ubraniom. Jednocześnie wdrażamy rozwiązania związane ze zbiórką odpadów tekstylnych. Otworzymy czwarty PSZOK oraz trzy mobilne punkty tego typu, które będą dostępne w określonych terminach w różnych częściach miasta. Analizujemy także inne rozwiązania. Tyle że to kolejne koszty, które musieliby ponieść mieszkańcy w comiesięcznych opłatach. Co gorsza, wydatki na zagospodarowanie odpadów tekstylnych są ogromne. Brakuje odpowiednich instalacji, poza tym jest to proces skomplikowany i kosztowny. A równocześnie szybko rośnie ilość wyrzucanych ubrań fatalnej jakości* – mówi Klaudia Subutkiewicz, dyrektorka Wydziału Gospodarki Odpadami w Urzędzie Miasta Bydgoszczy.

Są już pierwsze samorządy, które decydują się na wprowadzenie kolejnego, tym razem pomarańczowego worka na odpady. To właśnie on ma być przeznaczony na tekstylia. Tak właśnie zrobił od sierpnia Ustroń, widząc coraz większe niezadowolenie mieszkańców ▶

REKLAMA

ŚWIAT OPERY I TEATRU

Podróże pod patronatem prasowym tygodnika ANGORA z udziałem Sławomira Pietrasa, dyrektora polskich teatrów operowych

Teatr Aurora na wyspie Gozo
MOC PRZEZNACZENIA
Giuseppe Verdiego
Samolot, hotel 4* na Malcie, pakiet HB
Pokoje z balkonem i bocznym widokiem na morze
Zwiedzanie Valetty, Rabatu i Mdiny
10 – 14 października 2025

Teatr La Scala
CÓRKA PUŁKU
Gaetano Donizettiego
Samolot, 4* hotel w centrum, zwiedzanie Mediolanu
6 – 8 listopada 2025

Najsłynniejszy koncert muzyki klasycznej
SYLWESTROWY KONCERT FILHARMONIKÓW WIEDEŃSKICH
Samolot, hotel 5* w centrum Wiednia, kolacja sylwestrowa i noworoczna
30 grudnia 2025 – 2 stycznia 2026

INFORMACJA I REZERWACJA:
Regionalna Agencja Turystyki „Grand Tour"
90-430 Łódź, ul. Piotrkowska 123
tel. 42 632 06 47, 42 632 63 79
www.grandtour.com.pl

eprasa.pl 9042e7cb93

▶ i nielegalnie powstające tekstylne wysypiska wokół miasta. Pomarańczowe worki mają być odbierane zgodnie z harmonogramem, tak samo jak żółte, niebieskie czy zielone. Jednak takie ułatwienie musi oznaczać oczywiście kolejny wzrost kosztów systemu gospodarowania odpadami. A w Ustroniu już i tak jest drogo – od 2023 r. miesięczna opłata wynosi 41 zł za mieszkańca.

Zmiany przepisów spowodowały przepełnianie się kontenerów zalewanych tekstylnymi odpadami, ale też wpłynęły na sytuację wszystkich zbierających używane ubrania. Dotąd można było np., robiąc porządki w domowych szafach, wysłać bezpłatnie paczkę, korzystając ze współpracy różnych inicjatyw z firmami kurierskimi. – *Od maja musieliśmy zawiesić przyjmowanie takich paczek. Nasze magazyny są pełne używanych ubrań. Najpierw trzeba je przesortować i sprawdzić, które możemy ponownie wykorzystać, np. w naszych butikach cyrkularnych. Nowe zasady spowodowały, że także u nas zwiększyła się ilość tekstyliów w gorszym stanie, co oczywiście znacznie podwyższa nasze koszty* – mówi Monika Maceluch z projektu UbraniaDoOddania.pl.

Nowe przepisy dotyczące segregacji w pełni ujawniły problemy z tekstyliami. – *Recykling w tym przypadku praktycznie nie istnieje, i to nie tylko w Polsce, ale w całej Europie. Według danych unijnych zaledwie 1–2 proc. odpadów tekstylnych udaje się poddać recyklingowi. W przypadku reszty pozostaje tylko przerób na czyściwo lub kosztowne spalanie – głównie w cementowniach, bo zwykłe spalarnie odpadów komunalnych nie mogą przyjmować tekstyliów. Kiedyś kłopotliwe odpady wysyłane były np. do Chin lub innych krajów Azji i Afryki. Tymczasem teraz to właśnie z Chin napływają ogromne ilości tanich ubrań marnej jakości, które bardzo szybko stają się odpadami. Pilnie potrzebujemy Rozszerzonej Odpowiedzialności Producenta dla tekstyliów. Tak, aby ci, którzy sprzedają nam ubrania, ponosili też koszty ich utylizacji* – podkreśla Piotr Szewczyk, prezes Rady Regionalnych Instalacji Przetwarzania Odpadów Komunalnych.

Takie są długofalowe unijne plany. Niestety na razie nie wiadomo, kiedy uda się zmusić przemysł odzieżowy, by lepiej projektował ubrania, używał materiałów łatwiejszych do ponownego wykorzystania i przede wszystkim finansowo dokładał się do utylizacji starych ubrań. Do niedawna mówiło się o popularności szybkiej mody (fast fashion), czyli sprzedaży ogromnych ilości ubrań, które szybko się niszczą. A nawet jeśli są jeszcze w dobrym stanie, to zdążyły wyjść z mody, bo koncerny odzieżowe promują już inne wzory. Teraz do szybkiej mody doszło coś jeszcze gorszego – ultraszybka moda (ultra fast fashion). Chińskie platformy Shein czy Temu zalewają Europę ubraniami jeszcze gorszej jakości i jeszcze szybciej wyrzucanymi. A my kupujemy ich coraz więcej, nie myśląc ani o środowisku, ani nawet o tym, że musimy przez to płacić coraz więcej za wyrzucanie i utylizację śmieci.

Segregacja wielu rodzajów śmieci ma sens, ale w tym przypadku mija się z celem, bo większość starych tekstyliów i tak trafia do spalenia.

Istnieje tylko jedno dobre rozwiązanie, aby poradzić sobie z zalewem ubrań: odpowiedzialna konsumpcja. – *Przede wszystkim powinniśmy kupować mniej ubrań. Zastanówmy się za każdym razem, czy naprawdę potrzebujemy danej rzeczy. Nie poddawajmy się krótkotrwałym modom. Wybierajmy odzież produkowaną przez firmy odpowiedzialne społecznie. Lepiej zainwestować w ubrania lepszej jakości, które będziemy nosić dłużej. Dotyczy to zarówno tkanin naturalnych, jak i syntetycznych. Na przykład bawełna ma bardzo wysoki początkowy koszt środowiskowy. Przy produkcji syntetycznych materiałów zużywa się mniej zasobów naturalnych, ale za to później rozkładają się one znacznie wolniej* – mówi Monika Maceluch z inicjatywy UbraniaDoOddania.pl.

Dopóki jednak ilość zużytych ubrań będzie szybko rosnąć, a ich recykling pozostanie marginesem, potrzebujemy jak najszybciej tymczasowych środków zaradczych. Do niedawna gminy niechętnie patrzyły na prywatne kontenery przyjmujące używaną odzież i często zabraniały ich stawiania na swoich terenie. Teraz właśnie takie kontenery stały się bardzo potrzebne, ale muszą funkcjonować na innych zasadach. To samorządy powinny pokrywać przynajmniej część kosztów ich obsługi i współpracować z organizacjami charytatywnymi. Tylko w ten sposób możemy uniknąć bałaganu, który staje się coraz większy. W przeciwnym razie mieszkańcy zaczną znowu masowo wrzucać niepotrzebne tekstylia do kubłów na odpady zmieszane i przestaną się bać ewentualnych sankcji. Albo, co gorsza, będą je na coraz większą skalę zostawiać w lasach, co zresztą już można zaobserwować.

Segregacja wielu rodzajów śmieci z pewnością ma sens, ale akurat w tym przypadku mija się z celem, bo większość starych tekstyliów i tak trafia do spalenia. O ile potrafimy coraz lepiej wykorzystywać ponownie szkło, papier czy plastik, o tyle w starciu ze zniszczonymi ubraniami okazaliśmy się bezradni.

CEZARY KOWANDA

© ANNA ANATOL/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 9042e7cb93

Pojedynek AlphaGo z Chińczykiem Ke Jie. Program ograł mistrza 3:0.

Wejście cyfrowego smoka

W 2017 r. Chiny przyjęły ambitny plan dogonienia, a w 2025 r. prześcignięcia Zachodu w dziedzinie sztucznej inteligencji. Wygląda na to, że są bardzo blisko tego celu.

MARCIN ROTKIEWICZ

Gdyby chcieć wskazać jedno spektakularne wydarzenie zapowiadające obecną rewolucję sztucznej inteligencji, byłby nim pojedynek, do którego doszło w Seulu w marcu 2016 r. Naprzeciwko siebie zasiedli: Lee Sedol, południowokoreański arcymistrz starochińskiej gry planszowej go (wymyślonej 3–4 tys. lat temu), oraz program AlphaGo, stworzony przez brytyjskie laboratorium AI DeepMind należące do Google.

Mimo pozornej prostoty zasad – dwaj gracze umieszczają na planszy swoje kamienie (czarne albo białe), dążąc do otoczenia terytorium i kamieni przeciwnika – gra go jest jedną z najbardziej złożonych klasycznych planszówek, jakie kiedykolwiek wymyślono. Wynika to z możliwych konfiguracji kamieni, która przewyższa liczbę atomów we Wszechświecie. I właśnie dlatego wydawała się niemożliwym wyzwaniem dla programów komputerowych, szczególnie w porównaniu z szachami. Sukces w go – jak sądzono – wymagał czegoś trudno uchwytnego i niepodrabialnego: ludzkiej intuicji.

Szacuje się, że w samych Chinach pojedynek Lee Sedola z AlphaGo – sensacyjnie wygrany 4:1 przez sztuczną inteligencję – oglądało na żywo 60 mln ludzi. Kluczem do sukcesu komputerowego algorytmu okazało się innowacyjne połączenie przez DeepMind kilku zaawansowanych technik sztucznej inteligencji. Przede wszystkim tzw. głębokich sztucznych sieci neuronowych, które umożliwiły analizę wielu tysięcy partii rozegranych w internecie przez ludzkich graczy, a dzięki temu rozwinięcie swoistej „intuicji" do oceny pozycji na planszy i przewidywania najlepszych ruchów.

Seulski pojedynek stał się sensacją medialną (zwłaszcza w Korei i Chinach) oraz naukową (informacja o nim pojawiła się na okładce tygodnika „Nature"). Ale rok później doszło do kolejnego spotkania maszyny z człowiekiem, które wstrząsnęło samym matecznikiem gry go. W Państwie Środka AlphaGo tym razem konkurował z najlepszym ówczesnym ludzkim graczem, Chińczykiem Ke Jie. Bojąc się powtórki z Seulu, władze w Pekinie profilaktycznie zakazały transmitowania zakontraktowanego na trzy rundy pojedynku. Obawy te były uzasadnione. AlphaGo, który po zwycięstwie w Seulu nadal doskonalił swoje umiejętności, wygrał z Ke Jie 3:0. Chiński mistrz, znany ze swojej pewności siebie, w trakcie ostatniej partii nie potrafił ukryć łez. A po meczu nazwał AlphaGo „doskonałym", ale także „zimnym, spokojnym i przerażającym". „W zeszłym roku AI grało bardziej jak człowiek, ale teraz bardziej jak bóg go" – komentował.

Moment Sputnika w Pekinie

Kontekst tego wydarzenia pełen był symboliki. Oto w kolebce gry go zwyciężył program stworzony przez laboratorium należące do amerykańskiego giganta technologicznego, którego liczne usługi (m.in. Gmail, wyszukiwarka Google czy YouTube) są – o ironio – od 2010 r. zablokowane w kontynentalnych Chinach. Dlatego ▶

© GETTY IMAGES

eprasa.pl 9042e7cb93

▶ zderzenie chińskiej dumy narodowej oraz zachodniej potęgi technologicznej musiało wywołać silną reakcję. Bardzo przypominającą „moment Sputnika", czyli panikę, która wybuchła w USA po wystrzeleniu przez Związek Radziecki pierwszego sztucznego satelity w 1957 r. Spowodowało to znaczne zwiększenie nakładów na amerykańskie technologie kosmiczne, co przyniosło po latach spektakularny sukces w postaci lądowania ludzi na Księżycu.

Podobne procesy nastąpiły w Pekinie. Zaledwie dwa miesiące po przegranej Ke Jie komunistyczne władze opublikowały dokument mający być podstawą narodowej strategii w dziedzinie AI: „Plan Rozwoju Sztucznej Inteligencji Nowej Generacji". Była to kompleksowa, długoterminowa koncepcja działania, mająca przekształcić Chiny w globalne supermocarstwo AI. Jej główne etapy (w dużym skrócie) rozpisano następująco:

- **2020 r.** osiągnięcie znaczącego postępu w kluczowych technologiach AI, zrównanie się z globalną czołówką pod względem konkurencyjności oraz ustanowienie regulacji w wybranych obszarach sztucznej inteligencji.
- **2025 r.** dokonanie przełomów w podstawowych teoriach i technologiach AI oraz uczynienie sztucznej inteligencji główną siłą napędową modernizacji przemysłu i transformacji gospodarczej Chin.
- **2030 r.** zdobycie pozycji „światowego centrum innowacji w dziedzinie AI".

Pierwszy wyraźny sygnał, że nie są to tylko pobożne życzenia pekińskich władz, pojawił się w drugiej połowie stycznia tego roku, kiedy udostępniono najnowszą wersję chińskiego konkurenta ChatGPT, czyli dużego modelu językowego DeepSeek R1. W testach, przede wszystkim programowania i rozwiązywania zadań matematycznych, okazał się on równie dobry jak najbardziej zaawansowany wówczas model ChatGPT o1. W dodatku był darmowy, podczas gdy za limitowany dostęp do amerykańskiego programu trzeba było płacić 20 dol. miesięcznie, a za pełny aż 200. Ale największy wstrząs wywołała informacja, że trenowanie DeepSeek R1 kosztowało zaledwie ok. 6 mln dol., czyli ułamek kwot wydawanych przez amerykańskie firmy. Przede wszystkim dzięki zmniejszeniu liczby używanych do tego specjalnych procesorów firmy Nvidia. Na wieść o tym w ciągu kilku godzin wycena amerykańskiego producenta chipów skurczyła się o ok. 600 mld dol. (POLITYKA 6).

> Wielka Brytania i Unia Europejska są silniej powiązane badawczo w dziedzinie AI z Chinami niż z USA.

Publikacje i patenty

Sukces DeepSeek to jednak tylko wierzchołek góry lodowej, na co wskazuje opublikowany w lipcu raport Digital Science, renomowanej firmy dostarczającej narzędzia informatyczne i analizy na rzecz sektora badań naukowych. Dokument zatytułowany „DeepSeek i nowa geopolityka AI: droga Chin do badawczej dominacji w dziedzinie sztucznej inteligencji" przedstawia obraz fundamentalnej zmiany w światowym układzie sił na polu technologicznym: wpływy USA w badaniach nad AI maleją, a Państwo Środka staje się wyraźnym numerem jeden.

Jeszcze w 2000 r. globalna liczba publikacji naukowych dotyczących AI nie przekraczała 8,5 tys. rocznie, z czego chińscy uczeni odpowiadali za zaledwie 671 artykułów. Wystarczyły jednak niewiele ponad dwie dekady, by sytuacja uległa radykalnej zmianie. W 2024 r. liczba takich publikacji na świecie przekroczyła 57 tys., a Chiny wysunęły się na pozycję bezapelacyjnego lidera. Badacze z tego kraju przygotowali ponad 23,5 tys. artykułów, czyli więcej niż łączny dorobek Stanów Zjednoczonych (6378), Wielkiej Brytanii (2747) i całej Unii Europejskiej (10 055).

Ta eksplozja aktywności naukowej bezpośrednio przekłada się na innowacje i własność intelektualną. W samym tylko ubiegłym roku chińscy badacze złożyli prawie 35,5 tys. wniosków patentowych związanych z AI. By zrozumieć skalę tej dominacji, wystarczy zerknąć na łączną liczbę patentów zgłoszonych przez USA, Wielką Brytanię, Kanadę, Japonię i Koreę Południową: 2678. Oznacza to, że Chiny mają ich ponad 13 razy więcej niż tych pięć potęg technologicznych razem wziętych.

Raport zwraca również uwagę na coraz większą niezależność chińskiego ekosystemu badawczego. Autorzy publikacji naukowych z Państwa Środka wykazywali najniższy wskaźnik współpracy międzynarodowej. Prowadzi to do paradoksalnej sytuacji: chiński potencjał badawczy w dziedzinie AI staje się coraz mniej zależny od innych krajów, podczas gdy te zaczynają na nim polegać. Raport wskazuje, że zarówno Wielka Brytania, jak i Unia Europejska są obecnie silniej powiązane badawczo w dziedzinie AI z Chinami niż z USA.

Fundamentem tej rosnącej potęgi jest według Digital Science ludzki kapitał. Chiny dysponują armią ok. 30 tys. badaczy działających w obszarze AI, wliczając w to studentów uniwersyteckich (dla porównania, Stany Zjednoczone mają ich ok. 10 tys.). Co więcej, ci pierwsi są zauważalnie młodsi, a demografia ma kluczowe znaczenie dla przyszłości. „Biorąc pod uwagę młodą, dynamiczną i świetnie wykształconą siłę roboczą, biegłą w dziedzinie AI, powinniśmy się spodziewać fali innowacji z Chin na miarę sukcesu DeepSeek" – mówił niedawno w rozmowie z tygodnikiem „Science" Daniel Hook, dyrektor generalny Digital Science. W jego ocenie rywalizacja w dziedzinie sztucznej inteligencji już teraz ma „fundamentalnie geopolityczny charakter", a państwo, które będzie kontrolować najlepsze technologie AI, zyska przewagę konkurencyjną w wielu dziedzinach.

Dyktatura pomaga AI

Analitycy zgadzają się co do tego, że realizacja odgórnie narzuconego ambitnego planu osiągnięcia pozycji lidera w dziedzinie AI jest praktycznie możliwa do realizacji tylko w specyficznym „systemie hybrydowym", jaki działa w Chinach. Model ten nie opiera się bowiem na prostym wyborze między kontrolą państwową a wolnym rynkiem, jak często postrzega się to na Zachodzie. Łączy on to, co wydaje się najefektywniejsze – siłę autorytarnego państwa do mobilizacji zasobów (do końca 2024 r. w chiński sektor AI zainwestowano ponad pół biliona dolarów) i wyznaczania strategicznych kierunków – z dynamizmem i innowacyjnością drapieżnego, rynkowego kapitalizmu. Posługując się militarną metaforą: państwo działa jak strateg i inwestor, wyznaczając pole bitwy i dostarczając amunicji, podczas gdy firmy prywatne prowadzą natarcie, napędzane chęcią zysku i dominacji rynkowej.

Przykładem tego jest oficjalne powołanie przez Ministerstwo Nauki

eprasa.pl 9042e7cb93

i Technologii w listopadzie 2017 r. tzw. narodowej drużyny AI, czyli wyznaczenie – początkowo czterem firmom – roli liderów w kluczowych obszarach. Nie był to jednak luźny sojusz, ale precyzyjnie rozpisany podział zadań. Koncernowi Baidu powierzono prace nad pojazdami autonomicznymi. Alibaba, gigant e-commerce, miał się skupić na systemach dla inteligentnych miast. Tencent, potentat rynku gier i komunikatorów, otrzymał działkę medyczną, ze szczególnym uwzględnieniem diagnostyki obrazowej. Stawkę zamykała firma iFlyTek z zadaniem rozwijania technologii rozpoznawania i syntezy mowy. Rok później do tego elitarnego grona dołączył piąty gracz, firma SenseTime. Jej specjalizacja nie pozostawiała złudzeń co do jednego ze strategicznych priorytetów państwa – chodziło o „inteligentne widzenie", co w praktyce oznacza zaawansowaną analizę obrazu i technologie rozpoznawania twarzy.

Jednak nawet najbardziej zaawansowane algorytmy, rozwijane przez „narodową drużynę", byłyby bezużyteczne bez kluczowego zasobu, który napędza współczesną sztuczną inteligencję: ogromnych zbiorów danych. I właśnie na tym polu chińskie państwo realizuje strategię o niespotykanej dotąd skali, podporządkowując jej niemal wszystkie aspekty cyfrowego życia – pisał niedawno tygodnik „The Economist". W oficjalnej doktrynie Pekinu dane przestały być jedynie produktem ubocznym aktywności w internecie. Zostały zdefiniowane jako nowy „czynnik produkcji", postawiony na równi z pracą, kapitałem i ziemią. Sam chiński przywódca Xi Jinping określił je mianem fundamentalnego zasobu o „rewolucyjnym wpływie" na międzynarodową konkurencję.

Ukoronowaniem tej strategii jest wdrożony w połowie lipca nowy system cyfrowej tożsamości. To narzędzie ma podwójne znaczenie. Z jednej strony ograniczy władzę prywatnych gigantów technologicznych do tej pory zarządzających systemem identyfikacji – zamiast pełnych danych o użytkowniku zobaczą tylko zanonimizowane. Z drugiej zaś, co znacznie ważniejsze, system ten może dać władzom wgląd w rejestr stron i aplikacji używanych przez każdego obywatela. W ten sposób pod pretekstem usprawnienia i ujednolicenia państwo będzie w stanie stworzyć doskonałe narzędzie nadzoru. A także pomoże chińskim firmom i instytucjom uzyskać decydującą przewagę w globalnym wyścigu w dziedzinie AI.

„Dyktatura sprzyja rozwojowi sztucznej inteligencji właśnie ze względu na ogromny dostęp do danych" – mówił na kanale „Didaskalia" (YouTube) prof. Piotr Sankowski, informatyk z Uniwersytetu Warszawskiego, który kieruje instytutem naukowo-badawczym IDEAS, mającym rozwijać polskie AI. Dlatego jego zdaniem niektóre technologie chińskie – np. rozpoznawania twarzy – są już lepsze niż amerykańskie.

Trump kontratakuje

Aczkolwiek ambitny chiński plan osiągnięcia dominacji w obszarze sztucznej inteligencji ma piętę achillesową: uzależnienie od zagranicznych, głównie amerykańskich, technologii półprzewodnikowych. Chodzi o produkcję procesorów potrzebnych do trenowania (czyli uczenia na ogromnych zbiorach danych) modeli AI. Absolutnym hegemonem jest tu amerykańska firma Nvidia. W 2025 r. kontrolowała aż 87 proc. globalnego rynku półprzewodników dla sztucznej inteligencji. Ale to tylko pierwszy poziom zależności Chin. Drugim jest sama produkcja, zdominowana przez tajwańską firmę TSMC. Jej potęga opiera się z kolei na technologii dostarczanej przez holenderski ASML – jedynego na świecie wytwórcę maszyn, które są niezbędne do masowej produkcji najbardziej zaawansowanych chipów. Istnieje też ukryta zależność w postaci oprogramowania do projektowania układów elektronicznych (EDA), gdzie rynek należy do trzech zachodnich firm (m.in. Siemensa). Zatem chińskie firmy AI zależą od amerykańskich projektów, które zależą od tajwańskiej produkcji, która z kolei zależy od holenderskiego sprzętu. Ten łańcuch stał się najskuteczniejszą bronią geopolityczną w rękach USA i jego sojuszników.

W odpowiedzi Pekin powołał Narodowy Fundusz Inwestycyjny na rzecz Przemysłu Układów Scalonych, znany jako Big Fund, który obecnie dysponuje rekordowym budżetem ok. 47,5 mld dol. Państwowe pieniądze płyną szerokim strumieniem, by omijać technologiczne bariery. Między innymi do firmy SMIC, której udało się uruchomić produkcję zaawansowanych chipów przy użyciu starszej, ale wciąż dostępnej technologii. Mimo to Pekin nie może tu liczyć na szybki postęp. Droga do samowystarczalności będzie przypominała maraton, a nie sprint. I to bez gwarancji ostatecznego sukcesu, gdyż Chiny pozostają o 5–10 lat w tyle za światowymi liderami w dziedzinie produkcji półprzewodników.

> Dane z aktywności w sieci zdefiniowano w Chinach jako nowy „czynnik produkcji".

W odpowiedzi na rosnącą potęgę Chin administracja Trumpa opublikowała pod koniec lipca dokument „AI Action Plan". Odrzuca on dotychczasową ostrożną politykę ograniczania globalnego dostępu do kluczowych amerykańskich technologii, w szczególności zaawansowanych chipów, na rzecz agresywnej ekspansji. Trump chce masowo eksportować „pełne pakiety AI" (sprzęt, modele, oprogramowanie) do sojuszników, tworząc w ten sposób globalny ekosystem technologiczny, zdominowany przez amerykańskie firmy. To ogromna szansa dla gigantów, takich jak Nvidia czy AMD. Plan zakłada też radykalne cięcie wewnątrzamerykańskich regulacji, m.in. dotyczących ochrony środowiska. Chodzi o przyspieszenie budowy centrów danych i fabryk półprzewodników, a także dążenie do zablokowania stanowych przepisów, które mogłyby hamować rozwój technologii. Trump chce również szybszego wdrażania narzędzi AI w amerykańskiej administracji i wojsku.

Kontrowersyjnym elementem nowej strategii jest wymóg, by twórcy dużych modeli językowych zapewniali, że ich systemy są „obiektywne i wolne od ideologicznej stronniczości". Plan zaleca również usunięcie z federalnych wytycznych odniesień do dezinformacji, różnorodności czy zmian klimatu. Jednocześnie jednak rekomenduje tworzenie ram prawnych do zwalczania deepfake'ów, czyli zmanipulowanych materiałów wideo lub audio, stworzonych przy użyciu AI.

Wygląda więc na to, że mamy obecnie do czynienia nie ze zwykłą rywalizacją między państwami, lecz z narodzinami nowego, geopolitycznego rozdania. Stawką może być zdefiniowanie na nowo zasad, według których funkcjonować będzie świat w XXI w.

MARCIN ROTKIEWICZ

eprasa.pl 9042e7cb93

Karol Nawrocki, jeszcze jako kandydat na prezydenta, i Donald Trump w Gabinecie Owalnym w Białym Domu, 2 maja 2025 r.

Protokół zbieżności

Wizyta Karola Nawrockiego w Białym Domu i nowy ambasador USA w Warszawie to prawie restart relacji dwustronnych. Oby nie trójstronnych, bo polskiej polityce zagranicznej grozi rozłam.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

„Polska jest czymś więcej niż jeszcze jednym naszym sojusznikiem – to nasza rodzina, dumny i kwitnący demokratyczny partner" – powiedział przed komisją spraw zagranicznych Senatu USA Tom Rose, mianowany ambasadorem w Warszawie. A komentując swoją nominację na platformie X, przypomniał, że zawdzięcza ją Donaldowi Trumpowi, nazywając go prezydentem „wspaniałym" i „historycznym".

Superlatywy ambasadora *in spe* nie powinny dziwić, w ekipie Trumpa to już norma. Ten spektakl hołdów składanych przywódcy ukazuje, że druga kadencja Trumpa to już inna epoka w dziejach Ameryki i jej stosunków ze światem. Nowy prezydent RP Karol Nawrocki, który 3 września gości w Waszyngtonie, zapewne zdaje sobie z tego sprawę. PiS cieszy się z jego wizyty, czemu trudno się dziwić, skoro żaden jego poprzednik po 1989 r. nie został zaproszony do Białego Domu tak szybko po objęciu urzędu.

Komplementy Rose'a pod adresem Polski przed senacką komisją były szczere. Ambasador myśli o Polsce z życzliwością. W 2019 r. sprostował oszczerstwo dziennikarki NBC, która w korespondencji z Polski powiedziała, że powstanie w getcie warszawskim było skierowane „przeciw polskiemu i nazistowskiemu reżimowi". „Polski rząd nie tylko nie był zaangażowany w stłumienie tego powstania. Dołączył do aliantów, by walczyć o wyzwolenie Polski i całej okupowanej Europy z nazistowskiego piekła" – napisał na Twitterze.

Rose jest ortodoksyjnym Żydem amerykańskim, a społeczność ta okazuje więcej sympatii dla Polski niż większość żydowskiej diaspory w USA. Dobrze, że do Warszawy przyjedzie ambasador nam przyjazny i znający zawiłości naszej historii. Rose musi być jeszcze zatwierdzony przez plenum Senatu i zaprzysiężony, co powinno być formalnością.

Polski rząd nie będzie miał z nim jednak łatwego życia. W marcu Rose skrytykował plan wprowadzenia podatku od działających w Polsce amerykańskich high-techów. Krytykę – choć publiczną – można było zrozumieć, bo chodziło o ekonomiczne interesy USA, ale Rose ingeruje również w wewnętrzne polityczne konflikty w Polsce, zawsze po stronie prawicowej opozycji.

Krytykował rząd Donalda Tuska za uwolnienie spod kontroli PiS mediów publicznych. W styczniu potępił grożenie przez

eprasa.pl 9042e7cb93

polskiego premiera aresztowaniem Beniamina Netanjahu, kiedy izraelski premier, oskarżony przez Międzynarodowy Trybunał Karny o zbrodnie wojenne w Gazie, planował przyjazd do Polski w rocznicę wyzwolenia Auschwitz. Przed wyborami, grając w orkiestrze Trumpa, poparł oczywiście Karola Nawrockiego.

Przyjaciel z kontaktami

Tom Rose zaczynał od dziennikarstwa, którego uczył się na Uniwersytetach Brandeis i Columbia. Jako korespondent radia CBS relacjonował rewolucję na Filipinach i upadek dyktatury Ferdinanda Marcosa. W książce „Freeing the Whales" atakował subsydiowanie przez rządy projektów ochrony środowiska i ginących gatunków zwierzęcych. W latach 90. został korespondentem, a potem szefem „Jerusalem Post", trybuny izraelskiej prawicy.

Po pierwszym zwycięstwie wyborczym Trumpa w 2016 r. wszedł do grona głównych doradców wiceprezydenta Mike'a Pence'a, promując proizraelską politykę republikańskiej administracji, z poparciem przeniesienia ambasady USA do Jerozolimy i twardej polityki wobec Palestyńczyków na Zachodnim Brzegu włącznie. Ostatnio był współgospodarzem prawicowego podkastu „Bauer & Rose Show", nadawanego przez satelitarne radio Sirius XM. W swych audycjach wspierał politykę „drugiego" Trumpa, atakując Demokratów i uzasadniając m.in. likwidację USAID, rządowej agencji pomocy zagranicznej.

Rose nie ma doświadczenia w dyplomacji, wysłanie go przez Trumpa na placówkę w Warszawie to nominacja polityczna. Nie musi go to dyskwalifikować jako dyplomaty – dobrymi urzędnikami w tej roli nieraz okazywali się biznesmeni lub przedstawiciele innych profesji, nagradzani przez prezydentów za donacje na kampanie, jak choćby świetnie oceniany ambasador Baracka Obamy w Irlandii, działacz futbolowy Dan M. Rooney. Również Trump wysyła na placówki niezawodowych dyplomatów, choć różnie z tym bywa. Ojciec jego zięcia Jareda Kuschnera, który pojechał do Paryża, wywołał tam wściekłość francuskiego rządu, kiedy skrytykował go za niedostateczną walkę z antysemityzmem.

Rose nie będzie ambasadorem takim, jakim w pierwszej kadencji Trumpa była Georgette Mosbacher, przedstawicielka republikańskiego mainstreamu, która krytykowała ówczesny rząd Zjednoczonej Prawicy za próbę przejęcia telewizji TVN, czym naraziła się partii Jarosława Kaczyńskiego. W Warszawie podejrzewa się, że Rose może raczej pomagać PiS w neutralizacji znienawidzonej przez tę partię stacji.

Polityczni nominaci na placówki USA za granicą wysyłani są zwykle do krajów dla Ameryki ważnych. Mają często bezpośredni dostęp do prezydenta, inaczej niż nieznani szerzej urzędnicy Departamentu Stanu. Rose ma podobno taki dostęp i kontakty w kręgach waszyngtońskiego establishmentu, co także stronie polskiej może ułatwić dotarcie do Białego Domu. Eksperci dyplomacji, jak Dan Fried, wypowiadają się o jego kwalifikacjach jak najlepiej.

Nasza waga

Waga Polski w polityce zagranicznej Stanów rośnie zwykle z nasileniem się ich konfliktu z Rosją, więc po inwazji na Ukrainę zyskaliśmy na znaczeniu. Kluczowa rola jako kraju tranzytowego w pomocy dla Kijowa, przyjęcie ukraińskich uchodźców, miliardowe zakupy amerykańskiej broni oraz największe w NATO wydatki na zbrojenia w proporcji do PKB to niebłahe argumenty w grze z Waszyngtonem.

– *Polska jest dziś dla USA niemal tak samo ważna jak europejskie kraje z klubu G7. Będziemy musieli obserwować, jak silna jest jej demokracja, ale zaliczam ją do grona sześciu–ośmiu najważniejszych partnerów-sojuszników Ameryki w Europie* – mówi politolog z Brookings Institution Michael O'Hanlon.

Problem w tym, że nie wiadomo, jak właściwie ekipa Trumpa postrzega miejsce i rolę Polski w kontekście wojny w Ukrainie i nowej zimnej wojny Zachodu z Rosją. – *Administracja nie ma spójnej strategii w sprawie Ukrainy, więc trudno dokładnie określić, czego oczekuje tu od Polski* – mówi Dalibor Rohac z konserwatywnego American Enterprise Institute.

Wiadomo natomiast, czego oczekuje Polska. Wzmocnienie wschodniej flanki NATO, utrzymanie obecności wojsk amerykańskich w naszym kraju, kontynuacja pomocy wojskowej dla Ukrainy i powstrzymywanie rosyjskiej agresji – to kanon polskiej polityki, zgodny z zasadami transatlantyckiej solidarności i sojuszu. Poczynania Trumpa wskazują jednak, że chciałby to wszystko wyrzucić do kosza.

Rozmowy z Władimirem Putinem, mające doprowadzić do pokoju, okazują się farsą, kiedy amerykański prezydent nie popiera dyplomacji siłą, nie spełniając gróźb użycia choćby ekonomicznych narzędzi nacisku – jakby czekał, aż wojna zakończy się sama, gdy wycieńczeni nią Ukraińcy oddadzą swój kraj najeźdźcy.

Nadzieje, że Trump zmieni kurs, bo zaczął krytykować „Władimira", łączone ostatnio ze szczytem na Alasce i spotkaniem z przywódcami Europy w Białym Domu, szybko się rozwiewają. Prezydent nie zwraca się do Kongresu o nowe fundusze na pomoc dla Ukrainy, ponawia haniebne oskarżenia wobec Zełenskiego, że to on rozpoczął wojnę, i zakazuje Ukraińcom używania amerykańskich rakiet do atakowania celów w Rosji.

Deklaracje, że USA popierają gwarancje bezpieczeństwa dla Ukrainy, są puste, bo jedyną realną gwarancją byłaby obecność tam wojsk „koalicji chętnych". Ale kraje obiecujące je dostarczyć nie wyślą ich na Ukrainę bez zawieszenia broni – które według Trumpa jest „niepotrzebne" – i zapewnienia amerykańskiego wsparcia w razie złamania rozejmu przez Rosję.

Powinien dziękować

O optymizm trudno też w sprawie militarnej obecności USA w Europie i Polsce. Ile wojsk amerykańskich pozostanie na kontynencie, możemy się dowiedzieć z zapowiadanej Narodowej Strategii Bezpieczeństwa (NDS), programu rozmieszczenia ich na świecie. Trump od dawna sugeruje, że może zmniejszyć ich liczbę w Europie, a jego doradcy z antychińskiego lobby, jak Elbridge Colby, namawiają do przemieszczania ich do Azji.

Niektórzy sądzą, że część wojsk zostanie wycofana z Niemiec, ale stacjonują tam one w stałych bazach, których likwidacja jest kosztowna. – *W Polsce większość sił stacjonuje rotacyjnie, więc łatwiej i taniej będzie przenieść je gdzie indziej* – zwraca uwagę Ian Brzezinski, ekspert militarny ze stołecznej Atlantic Council. ▶

© X.COM/@WHITEHOUSE, MICHAEL BROCHSTEIN/ZUMA PRESS/FORUM

eprasa.pl 9042e7cb93

▶ Za sprawą Trumpa Polska ma powody, by czuć się zagrożona. W efekcie 60 proc. Polaków ocenia jego prezydenturę źle, tylko 31 proc. określa stosunki polsko-amerykańskie jako „dobre", a 20 proc. uważa, że USA mają pozytywny wpływ na świat (sondaż CBOS). To najniższe w Polsce notowania popularności Ameryki od 1989 r.

Między rządem RP a administracją Trumpa iskrzy od jego inauguracji. Polemika Radosława Sikorskiego z Elonem Muskiem wokół finansowania Starlinka dla Ukraińców skłoniła sekretarza stanu Marco Rubio do zbesztania ministra, że zamiast stawiać się miliarderowi, „powinien mu dziękować" za dostarczenie Ukrainie szybkiej internetowej łączności. Na próbę upokorzenia szefa MSZ Tusk zareagował tweetem przypominającym szefowi amerykańskiej dyplomacji, że „prawdziwe przywództwo oznacza szacunek dla partnerów i sojuszników, nawet tych mniejszych i słabszych".

Według PiS Tusk i Sikorski mają z Trumpem przechlapane, bo krytykowali go, zanim wrócił do Białego Domu. Szanse wpłynięcia na prezydenta USA – argumentuje prawica – może mieć tylko prezydent Nawrocki, który jak wcześniej Andrzej Duda ma z nim doskonałe stosunki wynikające z ideologicznego pokrewieństwa.

Argument, że Tusk jest w Waszyngtonie *persona non grata*, bo Trump pamięta zniewagi, opiera się jednak na nieporozumieniu. Trump mści się na wrogach w Ameryce, ale do krytyki za granicą nie przywiązuje wagi. Nie zmienia to faktu, że choćby za sprawą jego prawicowych doradców zamiast Tuska woli może rozmawiać z Nawrockim, więc prezydentowi będzie łatwiej przekonywać go do polskich racji.

Będziemy negocjować

W przeszłości podczas wizyt polskich przywódców w Waszyngtonie Amerykanie oczekiwali od nich diagnoz i analiz na temat Rosji, słusznie traktując Polaków jako specjalistów tematu. Po doświadczeniach ostatnich lat trudno uwierzyć, by sternicy amerykańskiej polityki międzynarodowej mieli jeszcze złudzenia co do intencji i planów Putina, a jednak Trump wciąż podobno ufa, że w osobistym kontakcie wyperswaduje „Władimirowi", żeby zostawił Ukrainę w spokoju.

– *Trump nie rozumie Rosji. Jego zdaniem Putin powinien pojąć, że ta wojna mu się nie opłaca* – mówi doradca prezydentów Clintona i Obamy Charles Kupchan. Polski prezydent ma więc pole do popisu. Eksperci są jednak sceptyczni. – *Nie sądzę, że Trump pójdzie na rękę nawet tym, którzy traktują go z najwyższym szacunkiem* – mówi Rohac z A.E.I. – *Nawrocki może przekonywać Trumpa do wywierania nacisku na Rosję, by zgodziła się na rozejm, ale nie sądzę, by mu się udało. Przecenia się znaczenie, jakie Trump przywiązuje do sojuszu z prawicowymi populistami. On nie jest ideologiczny, tylko transakcyjny* – przypomina Kupchan.

A co z obecnością wojsk amerykańskich w Europie? – *O liczbie wojsk w Polsce i na wschodniej flance NATO zadecydują takie czynniki, jak konflikt w Ukrainie i ocena potrzeb dodatkowych sił w rejonie Pacyfiku. Przewiduję, że Trump zredukuje militarną obecność USA w Europie* – mówi Kupchan. Przed polskim prezydentem stoi więc zadanie arcytrudne. „Będziemy negocjować" – zapowiadał szef jego kancelarii Zbigniew Bogucki. Wizyta 3 września jest pierwszym testem.

W ocenie szans polskiej dyplomacji w grze o bezpieczeństwo i pokojowy ład w Europie można by być większym optymistą, gdyby nie koabitacja rządu i prezydenta. Nie szkodziła ona polsko-amerykańskim relacjom za prezydentury Dudy, który w sprawach wojny w Ukrainie zgadzał się z koalicją 15 października i potrafił przyjechać do Waszyngtonu z Tuskiem. Obecna walka Nawrockiego z rządem, także w sferze bezpieczeństwa narodowego, grozi sytuacją swoistej dwuwładzy, destrukcyjnej dla polityki zagranicznej.

W USA zdziwienie budzi zwłaszcza polityka Nawrockiego w sprawie Ukrainy. Prezydent nie popiera członkostwa Ukrainy w NATO, a nawet w Unii Europejskiej. – *Jego postawa wobec ukraińskich uchodźców bulwersuje amerykańskich polityków i analityków* – mówi Anna Grzymała-Busse z Uniwersytetu Stanforda. – *Opozycja polskiego prezydenta w kwestii wejścia Ukrainy do NATO jest na rękę Trumpowi, bo w rozmowach pokojowych byłaby to główna koncesja na rzecz Putina* – zauważa Todd Belt z George Washington University.

Koalicja bez nas

Polską koabitację komentuje się w Stanach różnie. Dominuje podkreślanie, że wewnętrzne spory w Rzeczpospolitej nie interesują Ameryki. Dan Fried wyraża nadzieję, że obie strony pogodzą się w kwestii narodowego bezpieczeństwa, czego obiecującą zapowiedzią była jego zdaniem wizyta w USA polskiej delegacji parlamentarnej złożonej z posłów największych partii, z PiS włącznie. „W kluczowych sprawach wszyscy mówili jednym głosem" – powiedział były ambasador w Warszawie w rozmowie z think tankiem CEPA. Chwali on szczególnie doradcę Nawrockiego ds. polityki zagranicznej Marcina Przydacza.

Fried, weteran dyplomacji i przyjaciel Polski, wydaje się czasem urzędowo optymistyczny. W Waszyngtonie jednak prognozy dalszej polityki Trumpa w Europie dalekie są jeszcze od katastrofizmu. Kupchan przewiduje nawet, że prezydent, gdy już zorientuje się, że Putin go zwodzi i ośmiesza, zdecyduje się w końcu wywrzeć na niego presję, co doprowadzi do zakończenia wojny. Przemawia za tym widoczne w sondażach poparcie Amerykanów dla pomocy Ukrainie, po wielu miesiącach ostatnio znowu rosnące, oraz nasilające się poparcie Kongresu dla nowych sankcji wobec Rosji.

Realny scenariusz to tymczasowy rozejm, z ewentualnymi gwarancjami bezpieczeństwa dla Ukrainy w postaci sił pokojowych z „koalicji chętnych". Tusk zapowiedział, że rząd nie dostarczy polskich wojsk do tego kontyngentu – Fried uważa to za „zrozumiałe", ale podkreśla, że Polska musi przyczynić się do sukcesu tego przedsięwzięcia. – *Polska powinna zapewnić wsparcie dla koalicji, pozwalając np. na stacjonowanie u siebie dodatkowych sił powietrznych z USA i innych krajów, pomagając ukraińskiemu przemysłowi zbrojeniowemu i zezwalając na obronę powietrzną zachodniej Ukrainy ze swego terytorium* – mówi były ambasador.

To jednak rozważania na przyszłość. Na razie pozostaje życzyć prezydentowi Nawrockiemu powodzenia w jego misji w Waszyngtonie i mieć nadzieję na pomoc Toma Rose'a w przekonywaniu Trumpa, że w interesie Ameryki leży kontynuacja transatlantyckiej solidarności. Na nowego ambasadora w Warszawie można liczyć. Jest trumpistą umiarkowanym, niezaliczanym do grona prorosyjskich i antyukraińskich izolacjonistów z MAGA. Wypowiadał się jednoznacznie za powstrzymywaniem rosyjskiego niedźwiedzia i za pomocą dla Kijowa. Pytanie tylko, jak silne są jego wpływy w Białym Domu.

TOMASZ ZALEWSKI

eprasa.pl 9042e7cb93

Cena brudnego bitcoina

Gigantyczna afera z kryptowalutami w tle praktycznie przesądziła o porażce koalicji rządzącej w wyborach, do których Czesi pójdą za miesiąc.

ALEKSANDER KACZOROWSKI

Czechy są jednym z najbardziej zlaicyzowanych krajów na świecie. Są też liderem nowych technologii. Nie powinno więc dziwić, że w tym kraju rolę „zakonnicy na pasach" przed zbliżającymi się wyborami parlamentarnymi 3–4 października odegrał 38-letni ślusarz z Brzeclawia, Tomáš Jiřikovský. Ten informatyk samouk, skazany w 2017 r. na dziewięć lat więzienia za handel narkotykami i bronią palną na własnej giełdzie kryptowalutowej Sheep Marketplace, wywołał największy kryzys wizerunkowy rządzącej Czechami koalicji.

Dar dla budżetu

Od czasu, gdy wyszło na jaw, że minister sprawiedliwości w obecnym rządzie Petra Fiali przyjął od aferzysty Jiřikovskiego w imieniu państwa 468,5 BTC (bitcoinów), wartych obecnie ponad 200 mln zł, nikt już nie wierzy, że centroprawicowy gabinet utrzyma się przy władzy. Choć jeszcze wiosną tego roku notowania rządu systematycznie pięły się w górę.

Gdyby komuś przyszło do głowy nakręcić film o młodocianym aferzyście z morawskiej prowincji, który stworzył jedną z najbardziej znanych nielegalnych giełd kryptowalutowych na świecie, mógłby zacząć tę historię w marcu 2025 r. Wtedy to w praskiej kancelarii prawniczej w obecności przedstawicieli resortu sprawiedliwości otwarto komputerową skarbonkę Jiřikovskiego, zawierającą 1562 bitcoiny o wartości ponad 688 mln zł. Zgodnie z umową zawartą z prawnikiem zwolnionego warunkowo z więzienia przestępcy państwo przejęło 30 proc. należących do niego bitconów; reszta trafiła na konta byłego kryminalisty, który następnie przepadł bez śladu gdzieś w Azji.

Minister sprawiedliwości Pavel Blažek nie chwalił się publicznie tym „darem dla budżetu". Sprawa wyszła na jaw, gdy państwo sprzedało część bitcoinów działającym w dobrej wierze inwestorom. Ci następnie próbowali spieniężyć je w kantorach. Bezskutecznie, gdyż okazało się, że kryptowaluty pochodzą z nielegalnych źródeł.

Jiřikovský zapewniał, że kupił bitcoiny przed odsiadką za swoje oszczędności, gdy jeden BTC kosztował jeszcze kilkadziesiąt dolarów. Minister uwierzył mu na słowo, podobnie jak Sąd Najwyższy, który w 2023 r. nakazał zwrócić aferzyście sprzęt zarekwirowany w śledztwie przez policję. Obecnie 1 BTC jest wart ponad 400 tys. zł, tak więc w pierwszej scenie naszego filmu Jiřikovský w jednej chwili, w majestacie prawa i z błogosławieństwem resortu sprawiedliwości, odzyskuje 1093,5 bitconów wartych 472,5 mln zł.

Stopklatka: w tym miejscu akcję przenosimy 12 lat wstecz, do grudnia 2013 r. Wtedy to pyzaty 26-letni blondyn z Moraw, oficjalnie zarabiający na życie jako projektant stron internetowych, ▶

© CRYPTOGRAPHER/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 9042e7cb93

▶ w rzeczywistości założyciel działającej w tzw. darknecie giełdy kryptowalutowej Sheep Marketplace, przywłaszcza sobie półtora tysiąca bitcoinów należących do jej użytkowników. Złośliwi twierdzą, że teraz ukrywa się nie tyle przed czeską policją – w końcu odsiedział już swoje – ile raczej przed dawnymi klientami z półświatka.

Minister Blažek i jego zastępca w maju 2025 r. podali się do dymisji. Jego następczyni Eva Decroix obiecała wyjaśnienie sprawy, ale na razie nic nie wskazuje na to, by miała dotrzymać słowa przed wyborami. Nie wiadomo też, czy i kiedy odzyskają pieniądze nabywcy trefnych kryptowalut, sprzedanych przez państwo, które wystąpiło w roli pasera. Nie mogą oni legalnie wymienić „brudnych bitcoinów", a państwo nie może ich od nich odkupić. Natomiast sam Jiřikovský ostatnio był widziany w rodzinnym mieście. Podjechał pod swój dom limuzyną na niemieckich numerach. Ma się rozumieć, była to limuzyna z szoferem.

Tomáš Jiřikovský wywołał największy kryzys wizerunkowy w obecnym rządzie. Afera, w którą zamieszany jest minister sprawiedliwości Pavel Blažek, najprawdopodobniej utoruje powrót do władzy Andrejowi Babišowi (na sąsiedniej stronie).

Kryptopolityka

Afera z kryptowalutami, ujawniona przez niezależny praski „Deník N", spadła politykom opozycji jak manna z nieba. – *Z pewnością zaszkodziła rządowi, gdyż powstrzymała wzrost jego notowań, które na początku tego roku, wraz z poprawą sytuacji gospodarczej, zaczęły piąć się w górę* – uważa Jiří Pehe, znany politolog i były doradca prezydenta Václava Havla. – *Dziś ugrupowania koalicji mogą liczyć już tylko na swój najtwardszy elektorat.*

Opozycja grzmi i mówi o państwowym bezprawiu. Rząd zasłania się brakiem powszechnie akceptowanych zasad funkcjonowania rynku kryptowalutowego. Minister ponoć działał w dobrej wierze, choć warto podkreślić, że specjaliści z resortu finansów ostrzegali go, że sprawa śmierdzi na kilometr. Ale nikt ich nie słuchał.

Giełdy kryptowalutowe to dziś najprężniej rozwijająca się, a zarazem najmniej zrozumiała dla laików gałąź nowych technologii. Legalnie działające firmy tej branży szczodrze wspierają polityków opowiadających się za jej nieskrępowanym rozwojem. Dość powiedzieć, że amerykański rynek kryptowalut był najhojniejszym zbiorowym sponsorem kampanii wyborczej prezydenta USA Donalda Trumpa i łącznie przeznaczył na ten cel 200 mln dol. (czyli niewiele mniej niż Elon Musk).

W Polsce rodzima giełda kryptowalutowa zondacrypto była głównym sponsorem tegorocznej konferencji CPAC (Conservative Political Action Conference), największej globalnej imprezy polityczno-biznesowej spod znaku alt-prawicy i trumpistów. 27 maja po raz pierwszy odbyła się w naszym kraju – w Jasionce pod Rzeszowem, z udziałem prezydenta Andrzeja Dudy, ówczesnego kandydata na prezydenta RP Karola Nawrockiego, a także sekretarz ds. bezpieczeństwa krajowego USA Kristi Noem, wysłanniczki prezydenta Trumpa.

Prezydent USA jest zagorzałym zwolennikiem rozwoju i deregulacji rynku kryptowalut. Jego rodzinny holding The Trump Organization Inc. inwestuje setki milionów dolarów w tę branżę, a on sam ułaskawił Rossa Ulbrichta, założyciela pionierskiej giełdy kryptowalutowej Silk Road, skazanego w 2015 r. na dożywocie za współudział w odbywającym się na niej handlu narkotykami i praniu brudnych pieniędzy. Według czeskich dziennikarzy śledczych, Sheep Marketplace Jiřikovskiego rozwinął skrzydła właśnie po tym, jak FBI zlikwidowała nielegalną giełdę Ulbrichta.

Powrót Babiša

Afera bitcoinowa podważyła zaufanie czeskich wyborców do rządu, którego prominentni politycy wykazali się w najlepszym razie nieznajomością świata nowych technologii i finansów. W to ostatnie trudno jednak uwierzyć tym wszystkim, którzy wiedzą, że największe ugrupowanie rządzącej koalicji: Obywatelską Partię Demokratyczną (ODS) w przeszłości łączono ze słynnymi aferami prywatyzacyjnymi i korupcyjnymi. To właśnie z tej partii wywodzi się zarówno zdymisjonowany minister Blažek, jak i sam premier, 60-letni Petr Fiala. – *Premier jest porządnym, wykształconym człowiekiem, ale nie ma cech rasowego polityka* – uważa Pehe.

Większość komentatorów zgadza się z tą oceną. Wielu chętnie porównuje rząd Fiali z koalicyjnym gabinetem Donalda Tuska. – *Największym problemem czeskiego rządu jest słaba polityka informacyjna i brak spójności koalicjantów* – uważa Pehe. – *To zrozumiałe w przypadku koalicji złożonej początkowo z pięciu, a obecnie z czterech podmiotów politycznych. Opinia publiczna postrzega ten brak spójności jako słabość.*

Premier Fiala przed rokiem pozbył się ze swojego gabinetu polityków Partii Piratów, ugrupowania założonego przez informatyków i entuzjastów nowych technologii. Zarzucił im nieudolne wdrażanie zasad cyfryzacji państwa (co w kontekście afery bitcoinowej brzmi jak kiepski żart). Dziś zaplecze jego gabinetu stanowią trzy tradycyjne centroprawicowe ugrupowania skupione w koalicji Spolu (Razem), złożonej z ODS, ludowej KDU i liberalnej TOP09, a także samorządowcy z ruchu STAN. Wspólnie mogą liczyć na niespełna 30-procentowe poparcie. Z kolei Piraci w koalicji z Zielonymi i pod przywództwem byłego burmistrza Pragi, 44-letniego Zdeňka Hřiba, nieoczekiwanie odzyskali zaufanie młodych wyborców i mogą liczyć na 8 proc. głosów.

eprasa.pl 9042e7cb93

To jednak wciąż za mało, by zatarasować drogę powrotu do władzy byłemu premierowi, 71-letniemu Andrejowi Babišowi. Jego partia ANO regularnie notuje w sondażach nawet 33–35 proc. poparcia i od wybuchu afery z bitcoinami utrzymuje 10-punktową przewagę nad drugą w kolejności Spolu. Do parlamentu z pewnością dostanie się także antyeuropejska partia SPD Tomia Okamury (Wolność i Demokracja Bezpośrednia, czeski odpowiednik Konfederacji), na którą chce głosować 13 proc. wyborców.

– *W praktyce nie chodzi już o to, czy Babiš wygra wybory, tylko czy znajdzie przyszłych koalicjantów wśród mniejszych ugrupowań antysystemowych* – twierdzi Pehe. Politolog ma na myśli skrajnie lewicową koalicję Stačilo! (Dość), którą współtworzą komuniści i socjaldemokraci, a także eurosceptyczny i antyekologiczny ruch Motoristé (Kierowcy), popierany przez byłego prezydenta Czech Václava Klausa.

Jeśli Stačilo! i Motoristé nie wejdą do parlamentu, Babišowi pozostanie utworzenie mniejszościowego rządu z poparciem skrajnie nacjonalistycznej SPD Tomia Okamury. To jednak wydaje się mało prawdopodobne. W ostateczności, zdaniem Pehe, możliwa jest koalicja rozsądku z udziałem ANO Babiša i ODS Fiali. Te dwa ugrupowania zwalczają się na poziomie ogólnokrajowym, ale od dawna współrządzą w wielu regionach kraju. Zgodnie z czeską tradycją pragmatyzmu i umiejętności współpracy ponad podziałami ideologicznymi.

– *Nie obawiam się „orbanizacji Czech" w przypadku zwycięstwa Babiša* – twierdzi Jiří Pehe. – *Babiš może wziąć pod but media publiczne albo prowadzić bardziej ugodową politykę wobec Rosji, ale nie jest przeciwnikiem członkostwa Czech w UE czy NATO. I z pewnością nie poprze postulatu przeprowadzenia referendum w tej sprawie, czego domaga się zarówno SPD Okamury, jak i postkomunistyczne Stačilo!*

To zresztą nie przeszłoby w senacie, gdzie rządząca koalicja posiada miażdżącą większość. – *No i jest jeszcze prezydent Petr Pavel, który zapowiedział, że nie zaakceptuje udziału w przyszłym rządzie polityków z ugrupowań kwestionujących naszą przynależność do Zachodu. Zgodnie z konstytucją nikt nie może go do tego zmusić* – dodaje Pehe.

Polskie kartofle

Czesi zasłużenie cieszą się opinią najzamożniejszego, a zarazem najbardziej stabilnego politycznie kraju regionu. Lubią narzekać na opieszałość rodzimej biurokracji, mają powody do niezadowolenia z nierównomiernego rozwoju centrum i peryferii czy rosnących dysproporcji majątkowych. Ale z pewnością nie marzą o liderze, który – parafrazując znany bon mot „poety z Milanówka" o Jarosławie Kaczyńskim i żubrze – ugryzie czeskiego lwa w dupę. Mają też umiejętność dogadywania się w ramach nierzadko egzotycznych koalicji. Rewolucje to nie jest czeska specjalność.

Pouczająca pod tym względem może być historia obecnego rządu. Zaraz po wyborach jesienią 2021 r. mało kto w Czechach przewidywał jego powstanie, a tym bardziej, że nowym premierem zostanie niezbyt znany politolog z Brna Petr Fiala. Kraj wciąż zmagał się ze skutkami pandemii, a dotychczasowy szef rządu Babiš, którego partia wygrała wybory, zapowiadał, że z pomocą swojego przyjaciela Viktora Orbána urządzi w Pradze „drugi Budapeszt". Nie miał jednak po temu okazji, bo mniejsze partie, na których poparcie liczył, nie przekroczyły 5-proc. progu wyborczego i zabrakło mu głosów do większości.

Zbudowana wtedy wielobarwna koalicja Fiali nie tylko utrzymała przewagę głosów w obu izbach parlamentu, ale także stworzyła najstabilniejszy rząd od wielu lat. Mieszanka eurosceptycznych konserwatystów, proeuropejskich liberałów, katolickich ludowców, pragmatycznych samorządowców i – na dokładkę – progresywnych Piratów prowadziła zaskakująco spójną politykę zagraniczną, zbiła pocovidową inflację, uporała się z wysokimi cenami energii i uzależnieniem kraju od rosyjskiej ropy i gazu, a co najważniejsze: ani razu nie złamała przy tym prawa czy konstytucji.

Czesi jednoznacznie poparli Ukrainę po rosyjskiej napaści na ten kraj w lutym 2022 r. Rok później wybrali na prezydenta 63-letniego byłego komandosa i szefa Komitetu Wojskowego NATO gen. Pavla. Babiš próbował przypiąć mu łatkę „podżegacza wojennego", ale Czesi nie dali się wziąć na plewy. Wybór Pavla zdecydowanie wzmocnił prozachodnią orientację kraju i jego wizerunek enklawy praworządności, zwłaszcza na tle sąsiadów z niegdysiejszej Grupy Wyszehradzkiej.

Grupę V4 zastąpiła zaś wzorowa współpraca czesko-polska. Rząd w Pradze błyskawicznie rozwiązał konflikt wokół kopalni węgla brunatnego w Turowie, akceptując rekompensatę finansową za szkody ekologiczne. A następnie ramię w ramię z Warszawą, czy to pod wodzą Morawieckiego, czy Tuska, wspierał w każdy możliwy sposób walczących Ukraińców.

W istocie stosunki czesko-polskie są dziś najlepsze w dziejach, nie tylko wśród dyplomatów czy w świecie biznesu, ale także między ludźmi (zob. „Cisi Czesi", POLITYKA 34). Tysiące Czechów odwiedzają polskie kurorty i dyskonty, z niedowierzaniem patrząc, jak bardzo zmieniło się przez ostatnie lata *bramborové Polsko*, kartoflana Polska.

ALEKSANDER KACZOROWSKI

© PAP/CTK/LUDEK PERINA, PAP/CTK/MICHAL KAMARYT, PAP/CTK/VIT SIMANEK

eprasa.pl 9042e7cb93

Samarkanda – jedno z najstarszych istniejących miast świata

Bez owijania w bawełnę

Uzbekistan czaruje dziedzictwem Jedwabnego Szlaku, ale zapatrzeni w przeszłość turyści mogą przegapić trwającą tu wielką grę geopolityczną. I zniewolenie samych Uzbeków.

AGNIESZKA LICHNEROWICZ

Brzmi jak nazwa zaczarowanej krainy z dziecięcych baśni. Albo jak tytuł miłosnej epopei czy legendy o przygodach pustynnej karawany. Samarkanda pobudza wyobraźnię ciekawych świata, nawet jeśli nie potrafią precyzyjnie umiejscowić jej na mapie. Nieco lepiej zorientowanym nazwa kojarzy się pewnie z Jedwabnym Szlakiem albo z XIX-wieczną Wielką Grą mocarstw o wpływy w Azji Środkowej. Samarkanda skrywa jednak dużo więcej opowieści, bo to jedno z dłużej zamieszkanych miast świata.

Nazwy najstarszych uzbeckich miast i tym samym najpopularniejszych atrakcji turystycznych muszą zachwycać osoby o bujniejszej wyobraźni: Buchara, czyli kiedyś stolica wilajetu bucharskiego w dolinie rzeki Zarafszan. Albo Chiwa, miasto nad rzeką Amu-darią, kiedyś stolica Chanatu Chiwańskiego. Współczesnych turystów przyciąga ich niezwykle bogata historia, wielokulturowa spuścizna i zapierająca dech w piersiach architektura. Do tego góry Tien-szan i pustynia Kyzył-kum, a to tylko najbardziej znane skarby. I wszystkie one stały się ostatnio dużo dostępniejsze dla turystów. Może nawet za bardzo.

To środkowoazjatyckie państwo jest dziś jednym z najgorętszych wschodzących rynków turystycznych na świecie. Kolejne rekordy napędzają zarówno przyjezdni z krajów sąsiednich, jak i z całego świata, m.in. z Chin, Korei Południowej, Rosji i państw europejskich. Prezydent Szawkat Mirzijojew twierdzi, że w 2024 r. jego kraj przyciągnął ponad 10 mln turystów, czyli ponad 3 mln więcej niż rok wcześniej. Pierwotnie władze zakładały wzrost do 15 mln w 2030 r., teraz przywódca liczy, że osiągnie cel już w tym roku.

Władze uznały rozwój turystyki za priorytet gospodarczy. W 2019 r. zniosły obowiązki wizowe dla przybyszów z ponad 80 krajów, w tym z Unii Europejskiej. Ulgami podatkowymi i korzystnymi kredytami wspierają inwestycje, powstają więc tysiące miejsc hotelowych, a setki zabytków i obiektów dziedzictwa kulturowego przechodzą renowacje. Lot jako pierwsza europejska linia lotnicza uruchomił w 2024 r. bezpośrednie połączenia do Taszkentu.

Samarkanda, Buchara i Chiwa to obowiązkowe punkty każdego podróżnika. Nawet ci, którzy źle znoszą tłumy, nie odważą się ominąć ikonicznego Registanu,

eprasa.pl 9042e7cb93

Po trzęsieniu ziemi w 1966 r. Taszkent zdominowała nowoczesna architektura

czyli kompleksu medres (muzułmańskich szkół) w Samarkandzie, twierdzy Ark w Bucharze czy bajkowego minaretu Kalta Minor w Chiwie. A lista klejnotów – i to tylko w tych trzech miastach – jest dużo dłuższa.

Miasta obecnego Uzbekistanu zawdzięczają swoje bogactwo m.in. położeniu w sercu Jedwabnego Szlaku, który ciągnął się od chińskiego Xi'an do Morza Śródziemnego i przez kilkanaście wieków służył wymianie między Wschodem i Zachodem. W położonych na styku cywilizacji miastach przenikały się przeróżne kultury: miejscowa sogdyjska, perska, grecka, chińska i mogolska, arabska i islamska, indyjska, turkijska i rosyjska oraz sowiecka. Ślady tych wszystkich wpływów można dziś odkrywać w architekturze, literaturze, religii i języku. Ale też w kuchni.

Królem stołu jest oczywiście pilaw. Ogólnie to ryż z kawałkami jagnięciny lub wołowiny, marchwią, cebulą, czosnkiem i przyprawami. Ale w każdym mieście trzeba spróbować lokalnej wersji. Popularne są też pierogi: manti są duże i gotowane na parze, samosy – smażone w głębokim oleju – kruche, a czuczwarę można porównać do popularnych na wschód od Polski pielmieni.

Inną kulinarną opcją jest lagman, czyli makaron z gęstym gulaszem. Albo naryn, czyli makaron z końskim mięsem. Jak w wielu miejscach świata, tak i w Uzbekistanie popularne są mięsne szaszłyki. Poza tym lepioszki (tradycyjny okrągły chleb pieczony w piecu tandoor), szeroka gama produktów mlecznych oraz chałwa, suszone owoce i orzechy. I oczywiście zielona herbata.

Niestety komercjalizacja, gentryfikacja i ekspansja hoteli powodują, że popularne miejsca zaczynają zamieniać się w najlepszym razie w miasta-muzea, a w najgorszym, jak twierdzą złośliwi, w disneyowskie parki rozrywki na wszystkie możliwe sposoby nawiązujące do Jedwabnego Szlaku.

Badaczka Swietłana Gorszenina ze stowarzyszenia Alerte Héritage potwierdza w BBC, że miasta te tracą autentyczność na rzecz autoegzotyzacji, czyli „rodzaju orientalizacji, który jest kacem po kolonializmie". Krytyka boomu turystycznego to jednak tutaj zjawisko marginalne i nie wygląda na to, żeby władze szybko uczyły się na błędach innych hiperturystycznych miejsc i planowały korektę nastawionych na ilość strategii.

Wystarczy jednak zjechać z tego podstawowego szlaku i można się już włóczyć bez tłumów – przez miasteczka, ruiny, twierdze, centra duchowe, step, pustynie i góry. Mniej turystów jest w otoczonej pasmami górskimi Kotlinie Fergańskiej, gdzie klimat jest łagodniejszy, a oprócz starych meczetów i pałaców ciekawskich kuszą warsztaty ceramiki i produkcji jedwabiu. Warto też spędzić kilka dni w Taszkencie, co może nie być oczywiste na pierwszy rzut oka, bo w 1966 r. miasto zostało zniszczone przez trzęsienie ziemi i dziś jego architektura jest zdominowana przez XX- i XXI-wieczną zabudowę. Ale i ta ma swoje skarby – perłami radzieckiego dziedzictwa z pewnością są bogato zdobione stacje metra należące do najpiękniejszych w regionie. Tak jak zbudowany w latach 70. symbol sowieckiego modernizmu i brutalizmu – hotel Uzbekistan.

Oczarowani uzbeckimi atrakcjami turyści mogą się nie zorientować, że podróżują po kraju, w którym obywatele nie mogą swobodnie wypowiadać swoich opinii, nie ma partii opozycyjnych, a media są pod kontrolą reżimu. W rankingu demokracji tygodnika „The Economist" Uzbekistan zajmuje 148. miejsce na liście 167 klasyfikowanych krajów. A i tak jest lepiej, niż było. Po upadku Związku Radzieckiego, za czasów ▶

© MEHMETO/SHUTTERSTOCK, MARINA RICH/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 9042e7cb93

▶ pierwszego prezydenta niepodległego Uzbekistanu Isloma Karimowa, kraj należał do najbardziej zamkniętych na Ziemi.

Po śmierci Karimowa nadeszła odwilż, ale wciąż bardzo ograniczona. „Chociaż reformy wprowadzone od czasu objęcia urzędu prezydenta przez Szawkata Mirzijojewa w 2016 r. doprowadziły do poprawy w niektórych kwestiach, Uzbekistan pozostaje państwem autorytarnym, z niewielkimi oznakami demokratyzacji. (...) Nadal pojawiają się doniesienia o torturach i innych formach złego traktowania" – podsumowuje Freedom House.

Turysta natknie się jeszcze na pozostałości poprzedniego systemu, jak choćby na wciąż formalnie obowiązujący nakaz meldunku dla przyjezdnych. Wędrując jednak od bazaru do muzeum, przemocy i represji pewnie nie zauważy. Do myślenia może dać jednak wizyta w taszkenckim Kompleksie Akademicko-Edukacyjnym Isloma Karimowa.

Ośrodek ten, zbudowany już po śmierci przywódcy, przybyszów z europejskiego kontekstu kulturowego powali nasileniem propagandy. Pomieszczenia są pełne zdjęć i obrazów, których nie powstydziłby się przywódca Korei Północnej: Karimow jako wizjoner, z dziećmi, z tygrysami, spoglądający w przyszłość, walczący z terroryzmem, „w rajskim ogrodzie", zatroskany o pokój, z Władimirem Putinem, Janem Pawłem II itd.

Fenomen Karimowa był do pewnego stopnia odtrutką na dekady rosyjskiej, a potem sowieckiej kolonizacji. To zaczęło się jeszcze w XIX w. – Taszkent padł w 1865 r., wkrótce potem chanaty Buchary i Chiwy stały się rosyjskimi protektoratami. Moskwa rozbudowała podporządkowane imperialnym interesom linie kolejowe i rozkręciła na przemysłową skalę uprawę bawełny. Rusyfikacja nabrała rozpędu, gdy po rewolucji bolszewickiej ziemie te zostały włączone do ZSRR.

Po 1991 r. odsetek Rosjan w Uzbekistanie zaczął spadać, z kolei wypychani z ojczyzny przez trudności gospodarcze Uzbecy masowo szukali pracy w Rosji, gdzie szybko stali się największą grupą migrantów zarobkowych. Ten trend jednak ostatnio mocno osłabł w związku z rosyjską napaścią na Ukrainę. Zachód nałożył na agresora sankcje ekonomiczne, które osłabiły rosyjską gospodarkę i walutę. Do tego doszły rasizm i dyskryminacja, której Uzbecy padają ofiarą w Rosji, oraz brutalność tamtejszych służb.

Temperatury rosną tu szybciej niż globalna średnia: ubywa wody, przybywa pustyń i stepów

Stosunek do Rosji w Uzbekistanie jest jednak bardziej ambiwalentny niż polska „genetyczna rusofobia". Pamiętając o kolonializmie i obawiając się obecnego rosyjskiego neoimperializmu, Uzbecy pozostają zdystansowani, również ze względu na powszechniejsze prywatne relacje i zależności. W kraju nie ma wiarygodnych sondaży, trudno więc rozstrzygać, jaka część społeczeństwa stoi po stronie Ukrainy, a jaka Rosji, ale rozmowy z przypadkowymi mieszkańcami pozwalają sądzić, że opinie są podzielone.

Gdy w XIX w. Rosja rywalizowała o wpływy w regionie z Imperium Brytyjskim, Uzbekistan był jedną z głównych aren tej trwającej niemal stulecie konkurencji. Literatura przygodowa, choćby „Kim" Rudyarda Kiplinga, trochę na wyrost rozsławiła tę geopolityczną rozgrywkę jako awanturnicze starcie szpiegów i wywiadów.

Po rozpadzie ZSRR Azja Środkowa stała się ponownie areną konkurencji światowych mocarstw. A sam Uzbekistan pozostaje przedmiotem i podmiotem tej rywalizacji. Do współczesnej wielkiej gry mocarstw włączyły się obok Rosji Chiny, Turcja, Stany Zjednoczone i Unia Europejska. Stawką są surowce energetyczne, gazociągi, rurociągi i miejsce w układzie sił. I choć Rosja pozostaje ważnym partnerem handlowym i politycznym Uzbekistanu, pod tym względem na pierwsze miejsce wysunęły się już Chiny – Uzbekistan odgrywa kluczową rolę w chińskiej inicjatywie Nowego Jedwabnego Szlaku, czyli imperialnej strategii infrastrukturalno-handlowej.

Bawełniana monokultura – źródło zysków, ale i wielkich kłopotów Uzbekistanu

I choć dziś to złoto jest najważniejszym towarem eksportowym Uzbekistanu, kraj ten pozostaje jednym z największych eksporterów bawełny. Stara się to jednak zmienić, bo Uzbecy w ostatnich dekadach zapłacili wysoką cenę za rozkwit produkcji tego „białego złota". Roślina wyparła inne uprawy, podporządkowała region polityce Moskwy i ograniczyła wolność mieszkańców.

eprasa.pl 9042e7cb93

Cmentarzysko wraków na wyschniętym Jeziorze Aralskim

To sowieccy planiści w ramach „specjalizacji" wymyślili, że właśnie ten pustynny kraj stanie się bawełnianą potęgą i monokulturą. W latach 50. przy uprawie „białego złota" wprowadzono pracę przymusową, w tym dzieci. Dopiero w 2022 r. Międzynarodowa Organizacja Pracy potwierdziła, że praktyki te zostały wyeliminowane. Choć aktywiści wciąż odnotowują nadużycia, to jest to jeden z niewielu przykładów, gdzie do zmiany przyczynił się bojkot konsumencki.

Ekstensywna produkcja doprowadziła do jednej z najbardziej spektakularnych katastrof ekologicznych spowodowanych przez człowieka. Do nawadniania bawełnianych pól wykorzystano wody dopływów Jeziora Aralskiego, kiedyś czwartego co do wielkości na świecie. Skurczyło się ono jednak o 90 proc., a w jego miejscu powstała zasolona pustynia Aral-kum. Od dawnego brzegu do tafli wody obecnie można jechać wiele godzin, monotonny księżycowy krajobraz czasem urozmaicają tylko instalacje wydobywcze ropy i gazu.

Pomnikami tej ekologicznej apokalipsy są wraki na „cmentarzysku okrętów" w dawnym rybackim porcie Mujnak. Wysychanie zbiornika było wyrokiem dla tego miasta, pracę straciło 30 tys. ludzi zatrudnionych w przetwórstwie ryb. Nowa pustynia skażona jest pestycydami, które kiedyś spływały do jeziora z plantacji bawełny, a dziś wiatr roznosi pył z toksycznymi chemikaliami nawet na setki kilometrów. Na znajdującej się kiedyś na środku zbiornika Wyspie Odrodzenia (obecnie półwyspie) znajdował się największy w ZSRR poligon broni biologicznej – testowano tam m.in. wąglika i dżumę.

Uzbekistan to również ważne miejsce w atlasie pamięci o burzliwych losach Polaków. Samarkanda była jednym z miejsc zesłań po XIX-wiecznych powstaniach. W Samarkandzie pracował m.in. polski podróżnik, badacz i fotograf Leon Barszczewski. A w czasie drugiej wojny światowej po zawarciu układu Sikorski–Majski w 1941 r. Polacy opuszczający łagry trafiali m.in. do tego miasta. W sumie przez Uzbekistan przeszło ponad 100 tys. Polaków, cywilów i żołnierzy Armii Andersa, których Ksawery Pruszyński upamiętnił w opowiadaniu „Trębacz z Samarkandy". O historii przypominają do dziś zadbane polskie cmentarze.

Po wojnie niedaleko Buchary, na pustyni Kyzył Kum, powstawała jedna z największych superprodukcji polskiej kinematografii, ekranizacja „Faraona" Bolesława Prusa w reżyserii Jerzego Kawalerowicza (1966 r.). Zakwaterowana w Bucharze ekipa spędziła na zdjęciach w okolicy ponad pięć miesięcy, temperatura powietrza na planie dochodziła do 60 st. C, a piasku przekraczała 70. Dlatego taśmę filmową przechowywano w chłodniach, a wywoływana musiała być w Łodzi, przesyłano ją więc regularnie samolotami przez Moskwę.

Napędzane przez kryzys klimatyczny temperatury wciąż rosną w Uzbekistanie. I to szybciej niż globalna średnia. Już ponad 70 proc. powierzchni stanowią pustynie i stepy. To również jeden z najbardziej narażonych na deficyt wody krajów świata – jedno z tych miejsc, gdzie obawy o wodę powodują napięcia polityczne, a nawet mogą doprowadzić do wojny. Uzbekistan wielokrotnie i zbrojnie przestrzegał Tadżykistan i Kirgistan przed budową kolejnych tam zmniejszających przepływ do dolnego biegu rzek.

W sumie więc warto zastanowić się nad podróżą do Uzbekistanu latem. Bo że to kraj absolutnie wart odwiedzenia, nie ma wątpliwości. Trzeba się spieszyć.

AGNIESZKA LICHNEROWICZ

© NICOLE SMOOT/SHUTTERSTOCK, VASCA/ALAMY STOCK PHOTO/BE&W, MEHMETO/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 9042e7cb93

Biologia muzyki

Muzyka może uspokoić tętno, obniżyć ciśnienie, pobudzić wspomnienia. Jak głęboko sięga jej wpływ na umysł i ciało?

MARTA ALICJA TRZECIAK

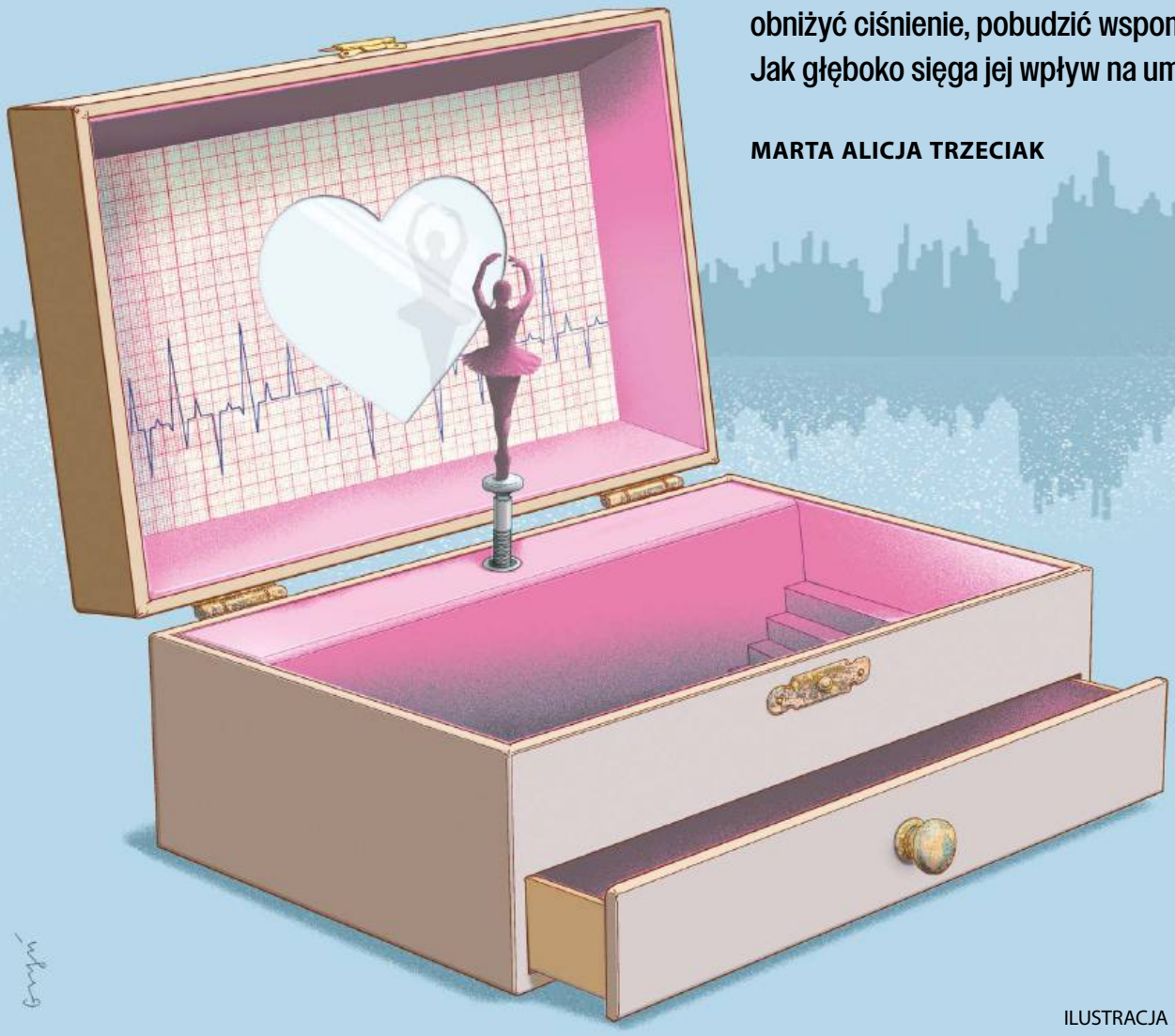

ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

„Oda do radości", „Bohemian Rhapsody", „Billie Jean" – to nic innego, jak zestawy fal akustycznych, które zostały w odpowiedni sposób porozkładane w czasie. Kiedy docierają do słuchacza, wywołują u niego nie tylko doznania artystyczne, lecz także efekty fizjologiczne. Muzyka może spowalniać tętno, zmniejszać częstość oddechów, obniżać ciśnienie – dowiedli w 2024 r. naukowcy z University College London i z Sorbonne Université. Może też zwężać źrenice i kurczyć mięśnie przywłosowe, prowadząc do piloerekcji, czyli tzw. gęsiej skórki – wykazały analizy „Scientific Reports" i „Biological Psychology". Z niektórych doniesień wynika nawet, że to, czego się słucha, wpływa na układ odpornościowy czy hormonalny (np. na stężenie kortyzolu).

Takie zależności oznaczałyby, że dźwięki oddziałują na ciało w sposób mierzalny i jednoznaczny – jak promieniowanie UV, które opala skórę niezależnie od tego, czy ktoś lubi słońce, czy

eprasa.pl 9042e7cb93

nie. A jednak na każde badanie świadczące o tym, że muzyka obiektywnie zmienia ludzką fizjologię, można znaleźć dwa inne, z których wynika, że jej percepcja jest bardzo subiektywna.

Dźwięki i pomiary

Pomiary, które oceniają wpływ muzyki na ustrój człowieka, są może odarte z romantyzmu, ale za to bardzo przydatne naukowo. Weźmy taki przykład: w 2021 i 2022 r. ukazały się dwie metaanalizy, których autorzy chcieli ocenić, czy odpowiednio dobrane kompozycje mogą poprawiać sprawność osób z chorobą Parkinsona. Pacjentom puszczano utwory o rytmie dopasowanym do tempa powolnego chodu i oceniano ich postępy w samodzielnym stawianiu kroków. Okazało się, że taka interwencja usprawnia fizjoterapię niezależnie od muzycznych gustów badanych. Z tego wynika, że dźwięki mogą oddziaływać na ciało na bardzo podstawowym poziomie.

Wykazano też, że słuchanie odpowiednich kompozycji dźwiękowych może znacząco łagodzić ból. Albo łagodzić objawy depresji i zmniejszać lęk u osób z demencją. Autorzy wszystkich tych analiz podkreślają, że dźwięki muszą być dobrane do odbiorcy. Tylko jak to zrobić dla tysiąca uczestników badań klinicznych?

Z pracy, która ukazała się w 2024 r. na łamach „Nature Mental Health", wynika, że ludzkie ciało najlepiej reaguje na te kompozycje, które są mu dobrze znane. Na przykład osoby z demencją dobrze odpowiadają na ulubione utwory z młodości. Badania przeprowadzone na początku tego roku przez naukowców z University of California, University of Southern California i University of Arizona wykazują, że ten efekt jest tym silniejszy, im bardziej autobiograficzny charakter ma dany utwór (np. wiąże się z pierwszym pocałunkiem).

To dlatego, że – jak wykazały badania z użyciem funkcjonalnego rezonansu magnetycznego – dźwięki przypisane do wspomnień intensywnie aktywują tzw. sieć domyślną mózgu (DMN), odpowiedzialną m.in. za autorefleksję i analizę wątków autobiograficznych. Zdaniem autorów badania nostalgiczne utwory nie tylko przywołują dawne wspomnienia, ale też pomagają budować na nowo swoją tożsamość. To z kolei ma walor terapeutyczny.

Jednak naukowcy z McGill University uważają, że aby prawidłowo personalizować utwory muzyczne wykorzystywane w badaniach, nie trzeba wcale wiedzieć, przy której piosence badani przeżyli swój pierwszy raz. W lutym tego roku eksperci wykazali na łamach „Pain", że jeśli muzyka ma prawidłowo działać na ciało, to powinna być optymalnie dopasowana do „wewnętrznego tempa" danej osoby. Poprosili 60 ochotników, by wystukali palcami rytm znanej melodii „Twinkle, Twinkle, Little Star" w tempie, które jest dla nich najbardziej naturalne. Na tej podstawie ustalili, jaki jest „wewnętrzny rytm" badanych. Nazwali go *spontaneous production rate* (SPR).

Potem każdemu z uczestników zadawano umiarkowany ból (kontrolowane impulsy cieplne kierowane na przedramię). Równocześnie puszczano im muzykę: dopasowaną do ich SPR, a także w tempie szybszym i wolniejszym. Grupa kontrolna znosiła natomiast ból w ciszy. Nieprzyjemne dolegliwości były najsilniejsze u tych, którzy nie słuchali niczego, a najsłabsze – u osób, którym puszczano muzykę w odpowiednim rytmie (efekt był niezależny od stylu utworu).

Muzykę można dopasowywać do fizjologii na jeszcze bardziej zaawansowanym poziomie – dowodzą badania opublikowane w lipcu. Ich autorzy, naukowcy z Universitat Autònoma de Barcelona, puszczali badanym utwory skomponowane przez sztuczną inteligencję, a następnie mierzyli u nich rozszerzenie źrenic, częstość mrugnięć i reakcję skórno-galwaniczną (świadczy pośrednio o stopniu pobudzenia, ponieważ rejestruje subtelne różnice w potliwości skóry). Na tej podstawie, a także na bazie szczegółowych ankiet wypełnianych przez uczestników, ustalali, która muzyka jest dla danej osoby najbardziej ekscytująca. Te dane uwzględniano w kolejnych promptach – aż AI zaczęła tworzyć dla każdego badanego zindywidualizowaną, silnie oddziałującą na fizjologię ścieżkę dźwiękową.

Autorzy projektu uważają, że w przyszłości taki proces kalibrowania będzie można przeprowadzać w ciągu kilku minut, a nawet sekund. Chcieliby w ten sposób tworzyć kampanie reklamowe ze spersonalizowanym tłem dźwiękowym, muzykę filmową dopasowywaną do każdego widza z osobna albo ścieżki dźwiękowe poprawiające wydajność w pracy.

Kompozycje i rozpraszacze

Kto kiedykolwiek szukał muzyki do pracy lub nauki na Spotify czy YouTube, ten wie, że serwisy te toną w utworach, które obiecują użytkownikom poprawę skupienia i wydajności. Większość tych deklaracji nie ma solidnego ugruntowania w danych naukowych. Co nie oznacza, że słuchanie takiej muzyki nie ma wpływu na mózg. W lutym na łamach „PLOS One" ukazała się publikacja, której autorzy postanowili zweryfikować deklaracje dołączane do utworów typu „work flow" (czyli poprawiających wydajność, np. w pracy) oraz „deep focus" (rzekomo zwiększających koncentrację).

Badacze doszli do wniosku, że kompozycje mające poprawiać skupienie nie wywierały żadnego korzystnego efektu na pracowników. Ale kawałki typu „work flow" rzeczywiście poprawiały szybkość i dokładność wykonywania trudnych zadań umysłowych. Z jednym zastrzeżeniem – skuteczność tych utworów porównywano z dwoma innymi tłami dźwiękowymi. Pierwsze to muzyka popularna z radia. Drugie – typowy hałas biurowy, w którym pojawiają się rozmowy współpracowników, odgłosy suwanych krzeseł, pracujących drukarek itp. W takiej sytuacji pozbawiona słów muzyka w słuchawkach mogła działać na korzyść pracowników po prostu dlatego, że „odcinała" ich od chaotycznego otoczenia. Naukowcy nie oceniali, jak zadziałałaby sama cisza albo jednostajny szum.

Inne badania, przeprowadzone w kwietniu na Ohio State University, pokazały, że muzyka tła, która jest nieodpowiednio dopasowana do potrzeb pracowników, pogarsza ich samopoczucie, koncentrację i wydajność, a z czasem może doprowadzać do wyczerpania poznawczego. Taki skutek obserwowano zawsze wtedy, gdy utwory puszczane w tle miały nieodpowiednie dla danej osoby głośność, tempo, złożoność lub intensywność.

Melodie i okablowania

Wpływ muzyki na fizjologię jest tak trudny do zobiektywizowania, ponieważ te same dźwięki mogą być przetwarzane przez różnych ludzi w zupełnie inny sposób. Na przykład osoby z anhedonią muzyczną mogą czerpać zadowolenie z jedzenia, seksu czy kontaktów społecznych, ale nie z muzyki – ich układ nagrody jest na nią nieczuły.

Przez lata sądzono, że jeśli ktoś odczuwa przyjemność, to powinna być dla niego dostępna we wszystkich kategoriach, których jest w stanie doświadczyć. Jednak nowe badania pokazują, ▶

eprasa.pl 9042e7cb93

▶ że to zbyt uproszczony obraz. W pracy opublikowanej w sierpniu na łamach „Trends in Cognitive Sciences" wykazano, że w mózgach anhedonistów występuje słabsza łączność między zakrętem skroniowym górnym (odpowiedzialnym za analizę dźwięków) a jądrami nagrody. To oznacza, że osoby niewrażliwe na muzykę nie mają problemów ze słuchem, ale informacje na temat dźwięków nie mogą się przebić do systemu nagradzania, dlatego nie otrzymują emocjonalnych etykiet.

Nietypowe „okablowanie" może również dotyczyć innych obszarów mózgu, np. tych związanych z funkcjami wykonawczymi i z przełączaniem uwagi. Badania, które ukazały się w 2020 r. w „NeuroImage", wykazały, że słuchanie muzyki przeszkadza osobom z ADHD podczas wykonywania zadań językowych, ponieważ prowadzi do desynchronizacji aktywności ich neuronów, np. w korze ciemieniowej. Co oznacza, że dźwięki utworu (zwłaszcza jeśli zawiera wokal) konkurują z zadaniami werbalnymi, prowadząc do tzw. konfliktu językowego. Tego samego efektu nie stwierdzono, gdy badani słuchali bardzo jednostajnych dźwięków, np. białego szumu. To dlatego, że układ nerwowy, który tonie w chaosie, potrzebuje wyciszenia, a nie kolejnych bodźców.

W innych mózgach dochodzi do odwrotnej sytuacji – są nieustannie zanurzone w głębokiej ciszy. Tzw. ciche umysły są przedmiotem badań w Anauralia Lab przy University of Auckland. Analizuje się tam procesy związane z „uchem umysłu i wewnętrznym głosem" (*mind's ear and inner voice*). Kiedy są one niesprawne, użytkownik nie potrafi wyobrazić sobie nawet szczekania psa czy syreny policyjnej, mimo że wie, jak te dźwięki brzmią. Ta ostatnia przypadłość nosi nazwę anauralii.

W kwietniu badacze z Auckland poświęcili jej całą konferencję. Zwrócono uwagę, że osoby z „cichymi umysłami" nie znają nawet własnego wewnętrznego głosu. Nie mówią do siebie w myślach. Nie wykazano jednak, żeby z tego powodu doświadczały jakichś szczególnych trudności. Przeciwnie, wygląda na to, że osobom tym łatwiej przychodzi skupienie. To odwrotnie niż u ludzi z hiperauralią, u których wyobraźnia dźwiękowa jest tak silnie rozwinięta, że może nawet przechodzić w halucynacje słuchowe.

Brzmienia i mechanizmy

Oddziaływanie muzyki na fizjologiczne procesy danej osoby zależy więc w dużej mierze od wrodzonych skłonności. W marcu w Instytucie Maxa Plancka przeprowadzono analizę genomów i preferencji ponad 9 tys. bliźniąt i ustalono, że aż 54 proc. zmienności związanej z percepcją muzyki wynika z DNA. Reszta to kwestia środowiska, w jakim ktoś dorastał, ludzi, których spotykał, i kompozycji, przy jakich się wychowywał.

A jednak – uważają autorzy pracy w majowym „Nature Review Neuroscience" – na pewnym poziomie muzyka działa tak samo na wszystkich. Powołują się tu na zjawisko rezonansu neuronalnego (NR). Ma ono polegać na tym, że układ nerwowy nie przetwarza muzyki pasywnie, lecz aktywnie dostraja się do niej, synchronizuje z nią i „współrezonuje". To dlatego potrzeba ruchu w rytm muzyki ma charakter uniwersalny i pozakulturowy – argumentują autorzy. I dodają, że ciało dostraja się do dźwięków nie tylko wtórnie – za pośrednictwem mózgu, lecz także bezpośrednio – za pomocą obwodowego układu nerwowego, mięśni szkieletowych itp.

Trzeba jednak podkreślić, że omawiana praca ma charakter teoretyczny. Próbuje wyjaśnić, jak takie mechanizmy mogłyby działać, ale nie dowodzi ich prawdziwości na drodze eksperymentalnej. Tym bardziej że wrodzoną i pozakulturową chęć do poruszania się w rytm muzyki da się wyjaśnić inaczej. Autorzy badań opublikowanych w lutym na łamach „PLOS One" uważają np., że dźwięki pobudzają te obszary mózgu odpowiedzialne za kontrolę ruchu i jego koordynację, a także za powtarzające się zachowania. Mają tu na myśli prążkowie grzbietowe – część mózgowia szwankującą np. u osób z chorobą Parkinsona.

Badacze doszli do tych wniosków, analizując reakcje osób neurotypowych oraz niewrażliwych na muzykę (czyli tych z anhedonią), którym puszczali utwory o zróżnicowanej złożoności rytmicznej. Wykazali, że zarówno u ludzi lubiących muzykę, jak i u tych nieczerpiących z niej przyjemności występuje podobna chęć do ruchu (np. tupania nogą, stukania palcami, ruszania głową do rytmu). Zdaniem autorów świadczy to o tym, że informacje o bodźcach dźwiękowych przemierzają w mózgu bardzo różne ścieżki: jedne skutkują subiektywną oceną i reakcjami emocjonalnymi, a inne, zupełnie niezależne, wywołują pobudzenie, np. ruchowe.

Bębnienie i walenie

Skoro muzyka może wpływać na podstawowe reakcje biologiczne, to należy się spodziewać, że nie jesteśmy jedynym gatunkiem, który jest na nią wrażliwy. I rzeczywiście dla wielu zwierząt – od ptaków, przez małpy, aż po owady – muzyka jest ważnym elementem codziennego życia. Niektóre gatunki tworzą ją za pomocą własnych narządów (struny głosowe, odnóża), inne – za pośrednictwem zewnętrznych obiektów. W maju „Current Biology" opisywała, że odrębne stada szympansów wygrywają na pniach drzew inne rytmy. Autorzy uważają, że naczelne te używają bębnienia nie tylko do porozumiewania się z przedstawicielami swojego gatunku, ale też do wyrażania emocji.

Komunikacja i uczucia często są spojone w kompozycjach dźwiękowych tworzonych przez zwierzęta. W lutym na łamach „Science" i „Science Advances" ukazały się dwie odrębne, ale wzajemnie uzupełniające się publikacje, których autorzy przeanalizowali ponad 65 tys. sekwencji wokalnych waleni. Chcieli sprawdzić, czy śpiewy tych zwierząt są (pod względem struktury, charakterystyki, sposobu transmisji) bliższe ludzkiemu językowi, czy raczej ludzkiej muzyce. Okazało się, że pieśni, zwłaszcza humbaków, są efektywne komunikacyjnie, ale nie przekazują takich znaczeń, jak „jedzenie" czy „zagrożenie".

Zdaniem badaczy może to oznaczać, że śpiewy waleni to nie język, lecz raczej rodzaj muzyki. Podobnie jak ona są złożone, mają powtarzalne wzorce, spełniają funkcje społeczne i emocjonalne, a niekoniecznie typowo informacyjne. Są też kulturowo przekazywane – poprzez słuchanie i odtwarzanie sekwencji. Dowiedziono nawet, że walenie stosują podobne do ludzi ułatwienia w przekazie międzypokoleniowym. „Utwory" dla młodych osobników są prostsze i bardziej powtarzalne, podobne do dziecięcych piosenek i rymowanek. I może to jest właśnie klucz do zrozumienia biologicznego podłoża muzyki. Jej funkcja jest równie wielowątkowa, co drzewo taksonomiczne. Na bardzo podstawowym poziomie służy do wyrażenia komunikatów i pobudzania prostych funkcji ciała. Jednak przy pewnym stopniu złożoności (życia) zaczyna wyrażać coś więcej.

MARTA ALICJA TRZECIAK
WSPÓŁPRACA MARIA ZGUDA

eprasa.pl 9042e7cb93

System da Vinci: chirurg siedzi przy konsoli, sterując ramionami robota

Z nieludzką precyzją

Dziś pytanie nie brzmi „czy", ale raczej „kiedy" i na jakich zasadach należy wpuścić na salę operacyjną w pełni autonomiczne maszyny.

MARCIN ROTKIEWICZ

Dwa lśniące metalowe ramiona zbliżają się do pęcherzyka żółciowego. Lewy delikatnie chwyta jego szyjkę. Tkanka rozciąga się, tworząc przestrzeń między dwiema cienkimi strukturami – przewodem pęcherzykowym, czyli transportującym żółć, a tętnicą dostarczającą krew do narządu. Każdy ruch jest płynny, wykalkulowany. Teraz do akcji wkracza prawe ramię, zakończone klipsownicą. Jego zadaniem jest precyzyjne zamknięcie przewodów, aby po ich przecięciu nie doszło do wycieku. Dlatego wsuwa się ostrożnie w wąską szczelinę, a następnie metalowy klips zatrzaskuje się na przewodzie pęcherzykowym. Procedura powtarza się – drugi klips ląduje tuż obok pierwszego, a trzeci zostaje umieszczony wyżej, bliżej pęcherzyka.

Po chwili klipsownice zastępują nożyczki. Wsuwają się w przygotowaną wcześniej przestrzeń i jednym płynnym ruchem przecinają przewód pęcherzykowy. Pierwszy etap operacji zakończony. Teraz cała procedura powtarza się dla tętnicy pęcherzykowej. Trzy klipsy, jedno cięcie – i pęcherzyk żółciowy zostaje całkowicie odizolowany od układu krwionośnego i żółciowego. W trakcie trwającej nieco ponad 5 minut procedury kilkakrotnie dochodzi do drobnych potknięć, ale za każdym razem chirurg koryguje swoje błędy i z powodzeniem kontynuuje zadanie.

Doktor robot operuje świnię

W opisie tym nie byłoby niczego zaskakującego, bo tak z grubsza wygląda jeden z głównych etapów cholecystektomii (usunięcie pęcherzyka żółciowego), czyli standardowej procedury chirurgicznej, często wykonywanej w leczeniu kamicy żółciowej i jej powikłań. Jednak akurat ten zabieg jest niezwykły z co najmniej dwóch powodów. Nie wykonał go człowiek, ale SRT-H (Hierarchical Surgical Robot Transformer), czyli autonomiczny system robotyczny stworzony przez zespół amerykańskich naukowców pod kierunkiem badaczy z Johns Hopkins University. W roli pacjenta wystąpił pęcherzyk żółciowy pobrany od świni, a cała operacja odbyła się w laboratorium.

Celem eksperymentu – którego opis opublikował niedawno „Science Robotics" – nie było leczenie, lecz testowanie nowego poziomu autonomii maszyn chirurgicznych: zdolności do samodzielnego przeprowadzania całych kroków operacyjnych, a nie tylko pojedynczych zadań. Zakończone sukcesem, bo system sztucznej inteligencji, bazując wyłącznie na obrazie z kamer i ucząc się na podstawie wcześniejszych demonstracji, nie tylko wykonał wszystkie 17 zadań składających się na ten etap cholecystektomii. Potrafił on również korygować w czasie rzeczywistym własne błędy, osiągając 100 proc. skuteczności w ośmiu próbach.

Naukowcy Johns Hopkins University wzięli także udział w innym nie mniej interesującym eksperymencie pod kierunkiem badaczy z The Chinese University of Hong Kong. Także przeprowadzonym na świniach – ich narządach, ale również żywych zwierzętach. Celem był test systemu AI, który pozwala robotom ▶

© JAKUB ORZECHOWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 9042e7cb93

▶ chirurgicznym samodzielnie wykonywać zadania.

Działa on jak czteroosobowy zespół specjalistów. Załóżmy, że robot musi nauczyć się chwytać igłę chirurgiczną. Pierwszy specjalista to wzrokowiec – analizuje obraz z kamery i daje znać: „Widzę igłę 2 cm przed nami, położoną pod kątem 45 stopni". Drugi to tłumacz, który przekłada te obserwacje na język zrozumiały dla maszyny: „Igła znajduje się w pozycji X, Y, Z, można ją chwycić od góry". Trzeci członek zespołu to strateg. Wykorzystuje technikę uczenia metodą prób i błędów, by zaplanować najlepszą drogę narzędzia do celu. Po tysiącach prób w symulatorze wie już, że w powyższej sytuacji najpierw należy zbliżyć się powoli, a następnie delikatnie obrócić chwytaki. Czwarty specjalista to precyzyjny wykonawca – gdy narzędzie jest już blisko igły, przejmuje kontrolę i wykonuje finalne milimetrowe ruchy potrzebne do jej uchwycenia. Pomysłowość tego rozwiązania polega na tym, że robot trenuje swoje chirurgiczne umiejętności wyłącznie w wirtualnym świecie (specjalnie przygotowanym symulatorze), a potem przenosi je do sali operacyjnej.

Podczas testów systemu na świńskich żołądkach robot z powodzeniem wykonywał pięć zadań pomocniczych: manipulację kamerą endoskopową (umieszczoną w ciele) – 95 proc. skuteczności, chwytanie igły – 83 proc., podnoszenie gazy – 91 proc., retrakcję tkanek (odsuwanie lub odciąganie ich na bok, aby mieć lepszy dostęp do operowanego miejsca) – 91 proc. i zakładanie klipsów na naczynia krwionośne – 87 proc. Każde testowano przy różnych warunkach oświetlenia, pozycjach obiektów i typach instrumentów.

Najważniejszy sprawdzian odbył się podczas operacji żywej świni, kiedy pod nadzorem chirurga robot autonomicznie wykonywał trzy wybrane zadania. Najlepiej radził sobie z chwytaniem gazy – 83 proc. sukcesu. To dość zaskakujące, gdyż była pokryta krwią, więc zlewała się z otaczającymi tkankami, co utrudniało maszynie jej rozpoznanie. System jednak poradził sobie z tym wyzwaniem, prawdopodobnie dlatego, że gazę można skutecznie chwycić w wielu miejscach – niekoniecznie idealnie w środku. Retrakcja tkanek powiodła się w 77 proc. prób, bo tu kłopotliwe było utrzymanie śliskich jelit czy fragmentów żołądka, które czasem wysuwały się z chwytaków. Najtrudniejsze okazało się zakładanie klipsów na jedną z tętnic – tylko 67 proc. skuteczności. Co szczególnie nie dziwi, gdyż tętnica ma średnicę 5 mm, a metalowy klips 10 mm, całość zaś porusza się w rytm oddechu zwierzęcia. Robot musiał więc ustawić klips dokładnie prostopadle do naczynia, objąć je z obu stron i precyzyjnie zacisnąć. Wystarczył jeden milimetr w złą stronę, by nie udało się prawidłowo go zamknąć, co mogło skutkować krwawieniem.

Sukces operacji nadal zależy od dostępności, umiejętności i codziennej dyspozycji chirurga

Taki system może stać się podstawą dla inteligentnego chirurgicznego kopilota. Działając pod stałym nadzorem lekarza, przejmowałby najbardziej powtarzalne i męczące zadania asystenckie, np. automatyczne utrzymywanie kamery endoskopowej w idealnym położeniu czy odciąganie tkanek, aby odsłonić pole operacyjne. Dzięki temu chirurg w pełni skupiałby się na kluczowych, najbardziej wymagających etapach operacji. Nie chodzi więc o zastąpienie lekarza, ale o stworzenie mu najlepszego możliwego asystenta – niestrudzonego, precyzyjnego i zawsze gotowego do pomocy.

Tam, gdzie brak specjalistów

Jednak już w tytule obszernej analizy, która również ukazała się w „Science Robotics", naukowcy z Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa i ze Stanfordu pytają, czy postęp nie pójdzie jeszcze dalej, bo „twój następny chirurg będzie robotem". Przekonują, że obecny model, w którym maszyna jest jedynie przedłużeniem rąk lekarza, napotyka fundamentalne ograniczenia. Sukces operacji nadal zależy od dostępności, umiejętności i codziennej dyspozycji chirurga, co prowadzi do znacznych różnic w wynikach leczenia. Przykładowo, w przypadku laparoskopowego usunięcia jelita grubego z powodu raka – zabiegu, który w samych Stanach Zjednoczonych jest jedyną szansą na wyleczenie dla ponad 150 tys. pacjentów rocznie – wskaźnik powikłań pooperacyjnych, w zależności od umiejętności i techniki operatora, może sięgać nawet 23 proc. Co więcej, dotychczasowe postępy w chirurgii z asystą robota nie zmniejszyły w znaczący sposób ryzyka tak poważnych komplikacji, jak nieszczelność zespoleń jelitowych.

Rozwiązaniem mają być właśnie roboty autonomiczne, zdolne do samodzielnego przeprowadzania procedur. Ich potencjalna przewaga polega na większej precyzji i powtarzalności, przewyższającej nawet najbardziej wprawnych chirurgów. To mogłoby nie tylko obniżyć odsetek powikłań, lecz także skrócić czas oczekiwania na zabiegi i – co niezwykle istotne – „zdemokratyzować" dostęp do wysokiej jakości opieki medycznej. Roboty świadczyłyby usługi na eksperckim poziomie tam, gdzie brakuje wykwalifikowanych specjalistów – od odległych zakątków Ziemi po misje kosmiczne.

Droga do tej wizji była długa i wyboista. Choć historia chirurgii sięga 3000 r. p.n.e., to dopiero XIX-wieczne odkrycia – znieczulenie i antyseptyka – zrewolucjonizowały tę dziedzinę. Poza tym przez długi czas dominowała chirurgia otwarta, wymagająca dużych nacięć w celu

eprasa.pl 9042e7cb93

Drabina autonomii

L-0 (brak autonomii): Klasyczna manualna operacja bez aktywnego wsparcia robota.
L-1 (asysta robota): Obecny standard w chirurgii robotycznej. Człowiek w pełni kontroluje maszynę, która jedynie wspomaga jego działania, np. ułatwiając ruchy.
L-2 (autonomia zadaniowa): Robot samodzielnie wykonuje konkretne, mało ryzykowne zadania (np. pozycjonowanie kamery, nawiercenie kości), ale plan i moment działania wybierane są przez chirurga. Przykładem jest robot MAKO stosowany w artroplastyce (zastępowaniu zniszczonego lub zużytego stawu sztucznym implantem).
L-3 (autonomia nadzorowana): Robot sam może wykonać złożony etap operacji bez bieżącej interwencji człowieka. Chirurg nadzoruje proces i zatwierdza plan, ale wykonanie należy do maszyny. Przykładem jest eksperymentalny robot STAR, który zszywa dwie końcówki jelita.
L-4 (wysoka autonomia): Robot nie tylko wykonuje plan, lecz także samodzielnie podejmuje decyzje w trakcie procedury, np. w odpowiedzi na nieoczekiwane zdarzenia. Rola człowieka ogranicza się do monitorowania i interwencji w sytuacjach awaryjnych. Do tej kategorii zalicza się m.in. system CyberKnife przeznaczony do radiochirurgii, czyli nieinwazyjnego niszczenia głęboko położonych guzów nowotworowych za pomocą precyzyjnie skierowanych wiązek promieniowania jonizującego.
L-5 (pełna autonomia): Święty Graal chirurgii robotycznej. Maszyna, która samodzielnie przeprowadza całą operację bez jakiejkolwiek ludzkiej interwencji. Poziom w sferze wizji.

odsłonięcia całych organów. Przełom nastąpił wraz z wynalezieniem laparoskopii, która dzięki długim cienkim narzędziom i kamerom wprowadzanym przez niewielkie otwory (porty) znacząco ograniczyła inwazyjność zabiegów. Dalszą minimalizację przyniosło ograniczenie się do jednego portu, a nawet całkowita eliminacja nacięć skórnych dzięki wykorzystaniu naturalnych otworów ciała.

Czym maszyna nasiąknie?

Każdy z tych kroków wiązał się jednak z rosnącymi wymaganiami wobec chirurga. Narzędzia laparoskopowe, często posiadające tylko jeden stopień swobody (końcówka jest sztywna i nie może się zginać ani obracać niezależnie od reszty instrumentu), uczyniły precyzyjne cięcie czy szycie niezwykle trudnym. Operatorzy musieli się zmagać z ograniczonym, dwuwymiarowym obrazem pola operacyjnego i nienaturalną, męczącą pozycją. Odpowiedzią były roboty chirurgiczne, takie jak używany również w Polsce słynny system da Vinci. Działają w modelu „lider naśladowca": chirurg siedzi przy konsoli (lider), sterując ramionami robota (naśladowca) znajdującymi się przy pacjencie. Dzięki zminiaturyzowanym ruchomym „nadgarstkom" na końcówkach narzędzi robot zapewnia operatorowi wyjątkową zręczność działania, a stereoskopowy trójwymiarowy obraz z kamery pozwala uzyskać percepcję głębi. Dziś chirurgia z asystą robota zdobywa coraz większą popularność – tylko w 2023 r. z pomocą da Vinci przeprowadzono na świecie ponad 2,2 mln operacji.

Mimo tych sukcesów współczesne roboty to wciąż tylko wyrafinowane narzędzia zależne od czynnika ludzkiego. Aby usystematyzować postęp w tej dziedzinie, naukowcy zaproponowali sześciostopniową skalę autonomii (LoA) – obejmującą operacje od klasycznych, całkowicie manualnych, po zabiegi prowadzone przez samodzielne maszyny (patrz ramka).

Jak sprawić, by roboty wspięły się po tej drabinie autonomii? Odpowiedzią wydaje się AI, a konkretnie dwie główne strategie uczenia maszynowego: poprzez naśladowanie (Imitation Learning) oraz ze wzmocnieniem (Reinforcement Learning). To pierwsze przypomina edukację młodego chirurga, który uczy się, obserwując mistrza. Robot analizuje ogromne zbiory danych z prawdziwych operacji, naśladując ruchy i decyzje ekspertów. Zaletą tej metody jest możliwość ominięcia problemów związanych z symulacją i uczenie się na sprawdzonych ludzkich wzorcach. Wyzwania? Po pierwsze, dostęp do danych. Stworzenie dużych, zanonimizowanych i wysokiej jakości zbiorów informacji chirurgicznych jest niezwykle trudne. Po drugie, istnieje ryzyko, że robot nauczy się nie tylko dobrych, ale i złych nawyków.

Uczenie ze wzmocnieniem działa na zasadzie prób i błędów. Robot otrzymuje „nagrody" za pożądane zachowania (np. precyzyjne dotarcie do celu) oraz „kary" za niepożądane. Z oczywistych względów bezpieczeństwa takie eksperymenty nie mogą się odbywać na żywym pacjencie. Dlatego kluczową rolę odgrywają zaawansowane symulatory chirurgiczne. I tu pojawia się największa bariera: tzw. luka „sim-to-real" (ang. *simulation-to-real*). Nawet najbardziej fotorealistyczne symulacje nie są w stanie idealnie odwzorować złożoności prawdziwego świata, np. elastyczności tkanek, nieprzewidywalności krwawienia czy zmienności oświetlenia. Dlatego model, który doskonale radzi sobie w wirtualnej rzeczywistości, często zawodzi w kontakcie z prawdziwym pacjentem. Choć i tu dokonuje się postęp.

Przyszłość, jak twierdzą autorzy analizy w „Science Robotics", może należeć do uniwersalnych modeli AI, tzw. wizualno-językowo-działaniowych (VLA). „Robotyczny chirurg AI" mógłby się uczyć w sposób zbliżony do ludzkiego – najpierw przyswajając całą wiedzę medyczną z podręczników, od biologii po anatomię, a następnie trenując na symulatorach i w końcu na danych z prawdziwych operacji, podobnie jak chirurg rezydent.

Regulacje i bezpieczeństwo

Wdrożenie tak zaawansowanych systemów do praktyki klinicznej to jednak wyzwanie nie tylko technologiczne, lecz również regulacyjne i etyczne. Obecne przepisy, np. amerykańskiej Agencji Żywności i Leków (FDA), wydają się kiepsko nadążać za postępem, gdyż większość zatwierdzonych robotów chirurgicznych wciąż znajduje się na wstępnym poziomie (L-1). Dlatego potrzebne są nowe ramy prawne, regulujące działanie systemów AI, które uczą się i ewoluują w czasie. Pierwsze kroki zostały już zrobione. Na przykład system Maestro firmy Moon Surgical otrzymał jako pierwszy zgodę FDA na śródoperacyjne zastosowanie AI, ale jego zadanie ogranicza się do trzymania laparoskopu – nie ingeruje on bezpośrednio w pracę chirurga.

Kluczową kwestią jest bowiem bezpieczeństwo. Autonomiczny robot w sytuacji, której nie zna z treningu, powinien oddać kontrolę człowiekowi. Należy również zabezpieczyć systemy przed atakami hakerskimi. Pozostaje też otwarte pytanie o odpowiedzialność: kto będzie winny w przypadku błędu autonomicznej maszyny? Szpitale, producenci, a może programiści? No i czy pacjenci będą gotowi powierzyć swoje życie i zdrowie w mechaniczne ręce robota.

MARCIN ROTKIEWICZ

© WŁADYSŁAW CZULAK/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 9042e7cb93

Odkrywanie przez zakrywanie

Od pół roku wokół Ziemi krąży Proba 3, niezwykła misja kosmiczna złożona z dwóch satelitów. Sama wywołuje zaćmienia Słońca i sama je analizuje.

PRZEMEK BERG

To pierwsza misja kosmiczna w historii – realizowana przez Europejską Agencję Kosmiczną (ESA) – w której we wspólnym zintegrowanym locie, tzw. formacyjnym, uczestniczą dwa statki kosmiczne, dwa satelity. Mkną przez kosmos wspólnie i gdy na swojej orbicie są bardzo oddalone od Ziemi, ustawiają się 144 m od siebie, niemal co do milimetra. Wówczas statek bliższy Słońcu, tzw. Okulter, który posiada specjalną przesłonę, zakrywa jego tarczę i wywołuje dla drugiego statku – Koronografu – całkowite zaćmienie naszej gwiazdy, podczas którego może on niezwykle dokładnie obserwować koronę słoneczną, czyli gorącą, najbardziej zewnętrzną część atmosfery, rozciągającą się na miliony kilometrów. Pierwsze dane obserwacyjne zebrane przez misję Proba 3 już dotarły do nas w końcu czerwca tego roku. Są niezwykłe. Ale zacznijmy od początku.

Badania korony słonecznej są niezwykle ważne, ponieważ to właśnie w niej tworzą się tzw. koronalne wyrzuty masy oraz wolny, czyli bardzo gęsty, wiatr słoneczny. Oba zjawiska mają duży wpływ na Ziemię. Te pierwsze kształtują pogodę kosmiczną i wywołują nie tylko piękne zorze polarne, ale mogą też zakłócać pracę systemów komunikacyjnych i generalnie satelitów. Z kolei wiatr słoneczny może wpływać na bezpieczeństwo astronautów, którzy

eprasa.pl 9042e7cb93

znajdują się poza oddziaływaniem ziemskiej magnetosfery.

Problem polega na tym, że prowadzenie obserwacji korony słonecznej nie jest łatwe z powodu ogromnej jasności Słońca. Aby ją wyeliminować, teleskopy ziemskie – ale też niektóre kosmiczne – wyposaża się w tzw. koronografy. Są to przesłony zasłaniające jasną fotosferę Słońca, czyli właśnie tarczę słoneczną. Jednak nawet w takim przypadku obserwacje są mocno utrudnione.

Wyjaśnia dr Marek Stęślicki z Zakładu Fizyki Słońca w Centrum Badań Kosmicznych PAN we Wrocławiu, członek Scientific Operation Center dla misji Proba 3 działającego w Belgii: – *Misje z serii Proba realizowane przez ESA są demonstratorami technologii. W przypadku tej najnowszej chodziło o pokazanie możliwości przeprowadzenia wspólnego lotu formacyjnego dwóch statków kosmicznych. Przy okazji powstał pomysł, by wykorzystać go do badań korony słonecznej przez sztuczne wywoływanie całkowitego zaćmienia Słońca. I to zostało z powodzeniem przeprowadzone. Przewaga systemu formacyjnego nad typowymi koronografami polega na tym, że w tych ostatnich mamy duży problem ze światłem rozproszonym poprzez dyfrakcję, do której dochodzi właśnie na dysku przesłaniającym tarczę Słońca. Im większa jednak odległość między soczewką teleskopu a tarczą przesłaniającą, tym problem światła rozproszonego mniejszy.*

Na Ziemi można budować spore koronografy, nawet kilkumetrowe, i wówczas zakłócającego obserwacje światła rozproszonego nie ma dużo, ale badania utrudnia atmosfera, która jest jasna – zwłaszcza w pobliżu tarczy słonecznej. Jeśli przesłonę umieścimy na kosmicznym satelicie, odległym ponad 100 m od teleskopu i precyzyjnie rzucającym nań swój cień, to jesteśmy w stanie przesłonić wyłącznie fotosferę Słońca. Możemy więc oglądać koronę słoneczną już praktycznie bez przeszkadzającego światła rozproszonego. Misja Proba 3 ma udowodnić, że można całkiem zasłonić fotosferę Słońca, czyli jego tarczę, by obserwować jego koronę.

Wyniesione w kosmos na początku grudnia 2024 r. oba satelity, Okulter i Koronograf, nie są duże. Pierwszy waży ponad 300 kg, a drugi 200 kg. To kostki o rozmiarach 1,5 na 1,5 m. Wyzwaniem dla organizatorów misji było osiągnięcie niezwykłej precyzji w zgraniu ruchu obu tych statków. W trakcie każdej sesji obserwacyjnej odległość między nimi nie może się zmienić o więcej niż 3 mm, a wychylenia w górę, w dół i na boki nie mogą przekraczać 1,5 mm.

Okulter i Koronograf krążą po okołoziemskiej orbicie wspólnie, ale autonomicznie. Są wyposażone we własne plany obserwacyjne i same te plany realizują. Same też decydują, które z silników korekcyjnych kiedy uruchomić i na jak długo. Krótkich korekt podczas fazy lotu formacyjnego jest dużo; mniej więcej jedna na kilka sekund. To determinuje długość trwania misji. Szacuje się, że paliwa obu sondom wystarczy mniej więcej na dwa lata.

Oba statki misji Proba 3 krążą po okołoziemskiej orbicie typu HEO, czyli bardzo ekscentrycznej.

Dr Stęślicki tłumaczy: – *Satelity przelatują 600 km nad powierzchnią Ziemi w najbliższym punkcie, czyli perygeum, a w punkcie najdalszym, czyli apogeum, w odległości 60 tys. km. Taka orbita została wybrana głównie po to, by faza lotu formacyjnego odbywała się daleko od naszej planety, gdzie ziemskie gradienty grawitacyjne są już stosunkowo małe. Inaczej satelity musiałyby zużywać o wiele więcej paliwa do utrzymania lotu formacyjnego. Poza tym ESA dba o to, by nie pozostawiać po sobie kosmicznych śmieci. Satelity przelatujące blisko nas będą łatwe do deorbitowania, co w przypadku misji Proba 3 nastąpi za jakieś 10 lat. Z jednej strony musimy więc być bardzo daleko Ziemi, z drugiej zaś bardzo blisko niej.*

Cały okres orbitalny – czas potrzebny na wykonanie pełnego okrążenia – satelitów misji Proba 3 trwa 19,5 godziny, z tego przez sześć godzin dochodzi do całkowitego zaćmienia Słońca, podczas którego można bez przeszkód obserwować nawet najniższe obszary jego korony. To obszar mierzący od 1,2 do 2–3 promieni tarczy. W naturalnych warunkach ziemskich całkowite zaćmienia Słońca – przez Księżyc – zdarzają się rzadko, raz, góra dwa razy w roku, trwają krótko, kilka minut, i jeszcze trzeba mieć szczęście do odpowiedniej pogody. W kosmosie mamy całkowite zaćmienie co kilkanaście godzin – trwające godzinami. Po zakończeniu fazy lotu formacyjnego satelity dalej poruszają się po orbicie, bacząc, by nie zderzyć się ze sobą. To faza tzw. bezpiecznej orbity. Mają wtedy czas na kontakt z ziemskim centrum dowodzenia, podczas którego dochodzi do transmisji uzyskanych danych.

Obecnie Proba 3 jest jedyną realizowaną misją lotu formacyjnego na świecie. Jest też pierwszą w historii tak zaawansowaną. Podobne próby podejmowano już wcześniej, ale sporadycznie, nie tak dokładnie i nie na tak długo. NASA miała podobne plany, choć niezbyt jeszcze zaawansowane, ale po cięciach funduszy na badania kosmosu dokonanych przez obecną administrację już raczej do nich nie powróci. Europejska Agencja Kosmiczna jest więc w tej dziedzinie absolutnym liderem.

Poza walorami naukowymi misja Proba 3 ma również istotny wymiar technologiczny. Testuje systemy nawigacji i kontroli, które w przyszłości mogą zostać wykorzystane w bardziej złożonych misjach kosmicznych, takich jak formowanie wielosatelitarne, misje serwisowe czy obserwacje astronomiczne wymagające formacji złożonych z wielu teleskopów, tzw. dużych baz interferometrycznych.

W przygotowaniu misji Proba 3 sporą rolę odegrali Polacy. Centrum Badań Kosmicznych we Wrocławiu razem z Uniwersytetem Wrocławskim bierze udział w definiowaniu celów misji. Polska partycypowała w około jednej trzeciej kosztów. U nas powstały m.in. komputer pokładowy, koło filtrów, systemy zasilania. Za to odpowiadały przede wszystkim polskie prywatne firmy branży kosmicznej, jak N7 Space, Creotech, Sener, GMV, Solaris Optics czy PCO i częściowo warszawskie CBK.

Można śmiało powiedzieć, że otrzymaliśmy nowe, niezwykle ważne narzędzie w badaniu naszej gwiazdy. Jak na warunki kosmiczne znajduje się ona bardzo blisko nas – średnia odległość Słońca od Ziemi to ok. 150 mln km. Możemy zbliżyć się do niego niemal na dotknięcie ręki. Amerykańska sonda Parker Solar Probe potrafi podlecieć na zaledwie kilka milionów kilometrów od jego powierzchni. A teraz jeszcze możemy regularnie na wiele godzin Słońce zaćmiewać, by zdobywać ogromną wiedzę nie tylko o nim, jego wpływie na Ziemię oraz inne ciała kosmiczne Układu Słonecznego, ale także o aktywności gwiazd w ogóle, a zwłaszcza tych mniej masywnych, których w kosmosie jest najwięcej. Nie mamy i zapewne nie będziemy mieli szansy z równą precyzją analizować jakiejkolwiek innej gwiazdy. ■

© ESA

eprasa.pl 9042e7cb93

Ostatnia wojna imperiów

O tym, jak druga wojna światowa zrodziła się z geopolitycznych fantazji i utorowała drogę nowej erze państw narodowych, opowiada Richard Overy, brytyjski historyk.

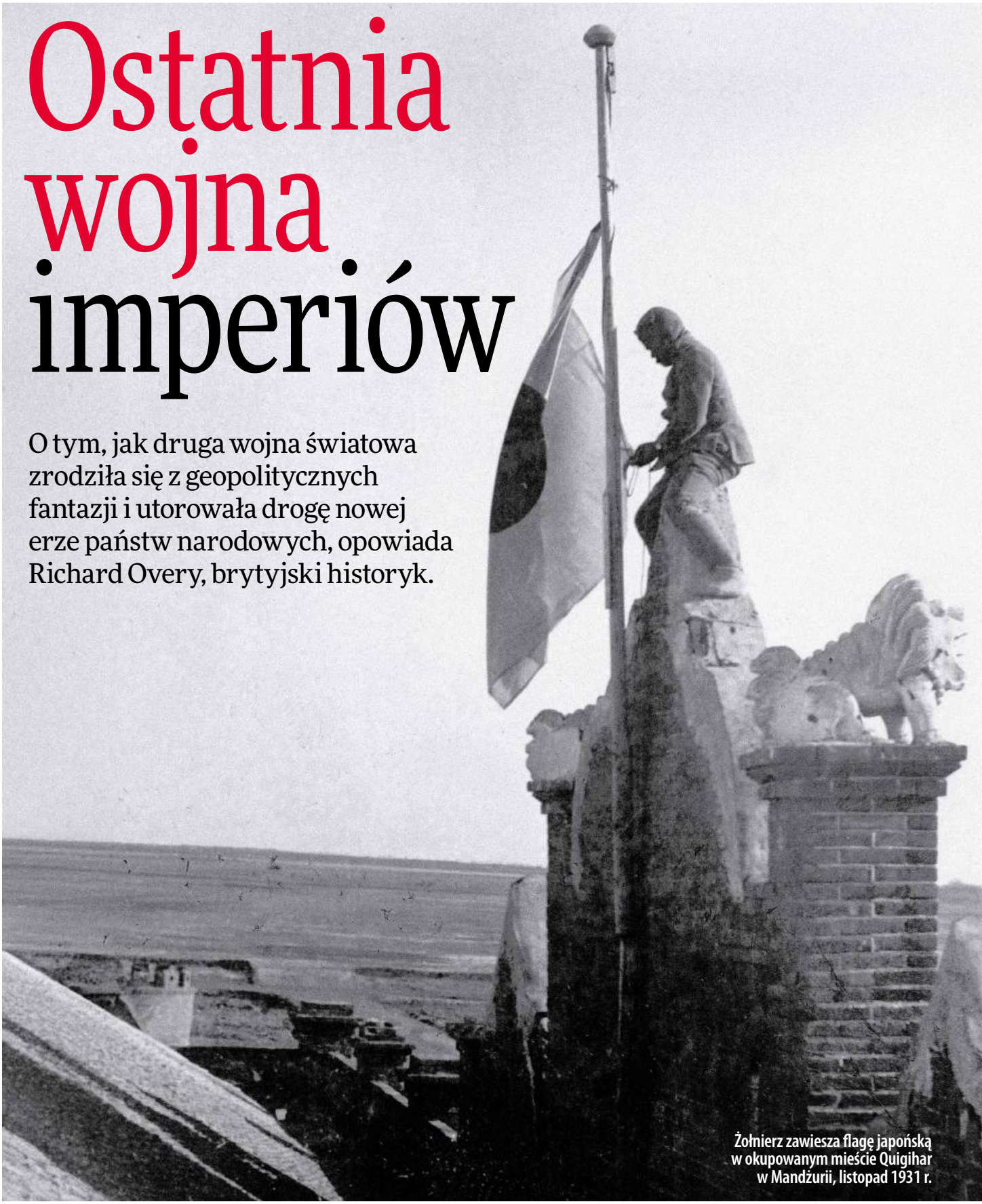

Żołnierz zawiesza flagę japońską w okupowanym mieście Quigihar w Mandżurii, listopad 1931 r.

eprasa.pl 9042e7cb93

TOMASZ TARGAŃSKI: **– Według pana druga wojna światowa ani nie zaczęła się 1 września 1939 r., ani nie skończyła 8 maja 1945 r. W takim razie co właściwie stało się 1 września 1939 r.?**

RICHARD OVERY: – Był to początek drugiej wojny światowej w Europie. Ale jeśli szukać początków całego globalnego konfliktu, to trzeba sięgnąć co najmniej do 1931 r., kiedy wojska japońskie wkroczyły do Mandżurii. Pomimo nazwy drugą wojnę światową długo – a w pewnym sensie nadal tak jest – uważano za konflikt europejski, którego celem było powstrzymanie ekspansjonistycznych zapędów Hitlera na starym kontynencie. W swojej książce próbuję rozbić ten mit i opowiedzieć o niej jako o wydarzeniu globalnym, efekcie bardzo specyficznego porządku międzynarodowego opierającego się na rywalizacji imperiów.

Dlaczego w takim razie rok 1931 i zajęcie Mandżurii przez Japonię były tak ważne?

Był to pierwszy krok na drodze do budowy przez Japonię rozległego lądowego imperium. Wstąpiwszy na drogę ekspansji terytorialnej w Azji, Japonia znalazła się na kursie kolizyjnym ze „starymi" azjatyckimi imperiami: Związkiem Sowieckim i Wielką Brytanią. Przypomnijmy, że już w latach 30. Japończycy toczyli zaciekłe walki z Sowietami na Dalekim Wschodzie. Również w Europie jeszcze przed wrześniem 1939 r. machina wojenna poszła w ruch. W marcu 1938 r. Niemcy zaanektowały Austrię i dużą część Czechosłowacji, w kwietniu 1939 r. Włochy zaatakowały Albanię. Z tego wszystkiego wyłania się następujący obraz: na początku lat 30. zaczęły się kształtować dwa wrogie sobie obozy. Jeden tworzyły „stare" potęgi kolonialne: Wielka Brytania i Francja. Drugi to aspirujące potęgi, jak Japonia, Włochy i Niemcy, które chciały zbudować nowe imperia kosztem starych.

Geograf Karl Haushofer, autor koncepcji „przestrzeni życiowej", którą zafascynował się Hitler

Czy powodem tego wielkiego wyniszczającego konfliktu były więc, jak to pan opisuje, „imperialne fantazje"? Czyli właściwie co: żądza ziemi i władzy?

Przyczyn tej wojny nie da się pojąć bez zrozumienia szerszych procesów historycznych. Zasadzały się one na zrodzonym jeszcze w XIX w. przekonaniu, że stworzenie imperium kolonialnego w jakiś sposób definiowało potęgę, zapewniało korzyści ekonomiczne i dowodziło wyższości jednego narodu nad innymi. To przekonanie stało w centrum „imperialnych fantazji" narodów europejskich – było czymś w rodzaju wirusa umysłu. Jednocześnie stanowiło też motor napędowy dla wszystkich trzech państw Osi. Ambicje Niemiec, Włoch i Japonii zasadzały się przecież na dążeniu do zdobycia nowych terytoriów, czyli zasobów i rynków, które zapewniłyby im status imperium. Obszarów, na których mogły spełnić ambicje o rządzeniu innymi jako „rasa panów". We wspomnianych przeze mnie „fantazjach" równie mocno jak o rasę chodziło o ekonomiczną eksploatację mniejszych i słabszych narodów. Temu właśnie miały służyć pomysły „bloków gospodarczych": w Azji była to Japońska Strefa Wspólnego Dobrobytu Wielkiej Azji Wschodniej, a w przypadku Niemiec nazistowski „nowy ład europejski".

Ale przecież z punktu widzenia mniejszych narodów ta wojna nie toczyła się o żadne „imperialne fantazje". Dla Polski było to być albo nie być.

Oczywiście. Polska została zaatakowana przez państwo ogarnięte wizją stworzenia rozległego imperium terytorialnego na wschodzie Europy. Przecież niemal od pierwszych dni okupacji niemieccy planiści przystąpili do realizowania długofalowego planu kolonizacji. Jego częścią była nie tylko eksploatacja ekonomiczna milionów Polaków, ale również likwidacja polskich elit. Walter Emmerich, który zarządzał gospodarką Generalnego Gubernatorstwa, stwierdził wprost, że niemieckie rządy w Polsce tak naprawdę stanowią „szczególny europejski wariant polityki kolonialnej". Patrzenie na świat przez imperialne okulary powoduje, że mniejsze państwa narodowe tracą rację bytu. Z punktu widzenia III Rzeszy Czechosłowacja czy Polska były aberracją, przeszkodą na drodze do budowy kolonialnego porządku w tej części Europy.

Reasumując: czemu ostatecznie służą proponowane przez pana nowe ramy czasowe i pojęciowe drugiej wojny światowej?

Chcę w ten sposób dowieść, że była to ostatnia wojna imperiów. Klęska przedsięwziętych przez Japonię, Niemcy i Włochy programów kolonialnego podboju doprowadziła do nastania nowej ery państw narodowych. Pozostałości brytyjskich i francuskich rządów kolonialnych trwały jeszcze trochę po 1945 r., ale zawaliły się w ciągu dwóch dekad. A jedyne dwa supermocarstwa, które zostały „w grze" – Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki – zdominowały proces powstawania nowego ładu światowego.

Klasyczną „imperialną fantazją" był hitlerowski „Lebensraum". Łączył on w sobie programy polityczny, ekonomiczny i rasowy. Jak wszystkie geopolityczne banały był to termin tak pojemny, że znaczył wszystko i nic. Przed drugą wojną światową takie zbitki pojęciowe stały się bardzo popularne. Jaka była ich rola?

W latach 20. XX w. w Niemczech w reakcji na utratę dużej części terytoriów po pierwszej wojnie światowej upowszechniły się koncepcje dotyczące „naturalnej" potrzeby posiadania „przestrzeni życiowej". Również wtedy popularnością zaczęła się cieszyć nowa gałąź nauki, geopolityka, której ojcem był geograf Karl Haushofer. Popularność ta wynikała nie tyle z założeń owej dziedziny – dla wielu zbyt zawiłej, aby ją zrozumieć – ile z używanej w niej terminologii przestrzeni życiowej oraz jej skutków dla ówczesnego położenia Niemiec. Kluczową rolę grało też założenie, że ekspansja terytorialna jest wyznacznikiem nowoczesności państwa i pozwala mu panować nad całą hierarchią podległych ludów. To przemawiało do wyobraźni.

Czy wzrost popularności w ostatnich dekadach geopolityki, która posługuje się wszelkiej maści wszechogarniającymi hasłami, powinien budzić niepokój?

Najciekawsze jest to, że popularne dzisiaj hasła wytrychy, jak „ocean światowy" (ang. *world ocean*) albo „światowa wyspa" (ang. *world island*), narodziły się właśnie po pierwszej wojnie światowej. To wówczas angielski geograf Halford Mackinder zyskał sławę, strasząc brytyjską opinię publiczną, że kontynentalne potęgi, zdobywszy kontrolę nad zasobami „światowej wyspy", czyli Europą, Azją i Afryką, mogą zdominować położone na zewnątrz państwa morskie. Trudno się dziwić, że tezy Mackindera padły na podatny grunt właśnie w Niemczech. Człowiekiem, który je podchwycił i spopularyzował, był wspomniany Karl Haushofer. Już w pierwszych latach po zakończeniu wielkiej wojny zaczął ▶

© THE ASAHI SHIMBUN/GETTY IMAGES, PHILIPP KESTER/ULLSTEIN BILD/GETTY IMAGES

eprasa.pl 9042e7cb93

▶ pisać o „geograficznej osi", czyli koalicji eurazjatyckich potęg zdolnych zdominować morskich Anglosasów. Oczywiście zdaniem Haushofera Niemcy powinny grać w tym projekcie pierwsze skrzypce. Informacje o japońskiej kolonizacji Korei i Mandżurii przekonały go, że Japonia może być niejako naturalnym partnerem Niemiec w tym projekcie. Tezy Haushofera stanowiły bezpośrednią inspirację dla Hitlera. Coś, co zaczęło się jako abstrakcyjna spekulacja na temat przyszłego układu sił globalnych, dostarczyło niemieckim i japońskim imperialistom pseudonaukowej podstawy w ich dążeniu do zdobycia dominacji w Eurazji. Odpowiadając zatem na pytanie: tak, odrodzenie i popularność geopolityki w ciągu ostatnich dekad może budzić niepokój, ponieważ zmusza do mówienia o stosunkach międzynarodowych językiem terytoriów, nad którymi „trzeba" zapanować, aby utrzymać albo zdobyć władzę. W tej „grze" terytoria stają się żetonami, nie jest ważne, że mieszkają na nich ludzie, którzy chcą żyć w pokoju. Rosyjska napaść na Ukrainę jest dobitnym przykładem, jak tragiczne mogą być skutki myślenia tymi kategoriami.

Richard Overy (ur. 1947 r.) – profesor Uniwersytetu w Exeter i jeden z najbardziej znanych brytyjskich historyków. Autor kilkunastu książek o drugiej wojnie światowej – najnowsza z nich „Krew i zgliszcza" niedawno ukazała się po polsku.

Czy druga wojna światowa faktycznie była, jak pan mówi, ostatnią wojną imperiów? Stany Zjednoczone i Rosja przyjęły rolę globalnych imperiów i do dziś rywalizują o wpływy na świecie. Co więc się zmieniło?

Według mnie rok 1945 naprawdę stanowi punkt zwrotny w dziejach świata. Imperializm jako sposób myślenia o polityce, a nawet samo słowo „imperium" zostały skompromitowane. Stany Zjednoczone i Związek Radziecki określa się mianem mocarstw imperialnych, ale są to imperia zupełnie innego rodzaju niż te XIX-wieczne. Potęga USA jako supermocarstwa manifestuje się nie poprzez tworzenie nowych kolonii czy protektoratów, ale w drodze nacisków politycznych, gróźb ekonomicznych, inwigilacji wywiadowczej oraz interwencji zbrojnych. Tym, co naprawdę zmieniło się po 1945 r., była fala nacjonalistycznych i antykolonialnych nastrojów w Afryce oraz Azji. W ciągu kilkunastu lat po wojnie wszystkie kolonie głośno domagały się samorządu oraz niepodległości, co utorowało drogę do świata państw narodowych, w jakim żyjemy dzisiaj.

Co pan sądzi o nadawaniu wojnom wymiaru moralnego? Klasycznym przykładem jest właśnie druga wojna światowa, przedstawiana jako starcie dobra ze złem.

Przede wszystkim należy podkreślić, że pokonanie państw Osi było konieczne, a sytuacja, w której Niemcy, Włochy i Japonia rządziłyby dużą częścią świata, byłaby koszmarem. Mimo to myślę, że rozpatrywanie wojny jako walki dobra ze złem nie pomaga wyjaśnić jej zawiłości i niuansów. Holokaust jako wydarzenie jedyne w swoim rodzaju i niemające odpowiednika wcześniej sprawił, że w tym przypadku nie da się uciec od osądów moralnych, ale dychotomia „dobro vs zło" nie wydaje mi się jako naukowcowi dobrym językiem opisu. Państwa Osi dopuszczały się niewyobrażalnych okrucieństw, ale Związek Sowiecki był równie bezwzględny i despotyczny. Również Wielka Brytania i Stany Zjednoczone z czasem zaczęły podejmować coraz bardziej dyskusyjne pod względem moralnym kroki, jak bombardowanie całych miast czy zrzucenie bomby atomowej. Sądzę jednak, że jakakolwiek próba osądu moralnego takich wydarzeń, jak bombardowanie Drezna, Tokio czy zrzucenie bomby atomowej, to droga donikąd. Koniec końców zawsze prowadzi to do podziału na dwa wrogie obozy, gdzie i jeden, i drugi mają wiele dobrych argumentów na poparcie tezy, że coś powinno lub nie powinno być zrobione. Zadaniem historyka jest w możliwie najbardziej obiektywny sposób opisać warunki, w jakich podejmowano decyzje, i wyjaśnić, dlaczego podjęto właśnie takie, a nie inne. Oczywiście wolałbym, aby bomba atomowa nigdy nie została użyta, ale kluczowe jest, by zrozumieć, dlaczego mając do wyboru różne możliwości, zdecydowano się jej użyć. Święcie wierzę, że próba wczucia się w czyjeś racje i zrozumienia ich pozwoli nam uniknąć ślepych zaułków i błędów myślowych, bo to właśnie one sprzyjają podejmowaniu radykalnych decyzji.

Zajmuje się pan nie tylko drugą wojną światową, lecz wojnami w ogóle. Czy uważa pan, że tamta wojna była czymś innym na tle innych konfliktów w dziejach? A może tylko wydaje się nam wydarzeniem jedynym w swoim rodzaju, bo wciąż żyjemy w jej cieniu?

Nie relatywizowałbym jej znaczenia. Druga wojna światowa była wyjątkowa. Decyduje o tym nie tylko horrendalna liczba ofiar, lecz przede wszystkim globalny charakter zmagań. O jej wyjątkowym charakterze stanowi też koncepcja wojny totalnej – naprawdę wciągnęła w swoje tryby całe społeczeństwa, a cywile byli takimi samymi uczestnikami zmagań jak wojskowi. Tego wcześniej nie było.

W odniesieniu do drugiej wojny światowej i jej zbrodni często powtarzało się słowa „nigdy więcej". Ale z perspektywy tych 80 lat od jej zakończenia widać, że był to niestety frazes. Wciąż dochodzi do zbrodni wojennych, a nawet ludobójstw.

Tym, czego udało się uniknąć po 1945 r., była kolejna wojna totalna. Myślę, ale to tylko moje przypuszczenie, że nieprędko dojdzie do konfliktu, w którym przetrwanie narodu zależeć będzie od wykorzystania w jak największym stopniu zasobów ludzkich i materialnych. Nawet Ukraina, która walczy przecież o swoją suwerenność, nie prowadzi wojny totalnej. Społeczeństwo w dużej mierze funkcjonuje tam normalnie, jeśli można to tak nazwać. W mojej ostatniej książce „Why War?" (Dlaczego wojna?) dochodzę do wniosku, że wojna jest zjawiskiem endemicznym w historii rodzaju ludzkiego. Nie było w dziejach cywilizacji zorganizowanego społeczeństwa, które nie uciekałoby się do walki w tej czy innej formie. Niestety idea, że w pewnych okolicznościach walka zbrojna jest rozwiązaniem, a nie problemem, wciąż ma się dobrze. A wojny i zbrodnie dzieją się na naszych oczach: w Ukrainie, Sudanie czy Strefie Gazy. Jedynym, na co możemy mieć nadzieję, jest to, że uda się uniknąć kolejnej globalnej wojny.

ROZMAWIAŁ TOMASZ TARGAŃSKI

Polecamy pakiet Pomocników Historycznych POLITYKI o **II WOJNIE ŚWIATOWEJ**, który jest dostępny na **sklep.polityka.pl**

KUP TERAZ

© GRAHAM JEPSON/WRITER PICTURES/BE&W

eprasa.pl 9042e7cb93

Grzeszne przyjemności

O tym, skąd się wziął celibat w Kościele katolickim i dlaczego reforma gregoriańska miała kłopoty z homoseksualizmem wśród duchowieństwa opowiada prof. Krzysztof Skwierczyński.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA: **– Trwa dyskusja o niemoralnym prowadzeniu się ludzi Kościoła. Tymczasem na problem ten jako pierwszy zwrócił uwagę już w XI w. Piotr Damiani. Kim był?**

KRZYSZTOF SKWIERCZYŃSKI: – Włoskim eremitą, biskupem i kardynałem z Rawenny, a przede wszystkim uczonym oraz autorem dzieł teologicznych, moralnych i liturgicznych. Gdy badałem reformę Kościoła w XI w., zdałem sobie sprawę, że właściwie w niemal każdym jej aspekcie był prekursorem. Jako pierwszy zwrócił uwagę na sodomię wśród kleru.

Co przez sodomię rozumieli ludzie średniowiecza?

Wszelkie zachowania nieheteronormatywne, które nie prowadziły do prokreacji. Co prawda 100 lat przed Damianim ukazał się poemat jednego z reformatorów życia monastycznego, Odona z Cluny, w którym wspomniał on o sodomii wśród mnichów, ale Damiani w 1049 r. poświęcił jej całe dzieło. Jego traktat „Liber Gomorrhianus" zaczyna się słowami: „Wstyd mi to mówić, ale rak sodomickiej zarazy toczy zastępy ludzi Kościoła". Potem zauważa, że ponieważ kapłani układają księgi pokutne, to akurat za ten grzech wyznaczają niewielką pokutę lub sami się nawzajem rozgrzeszają. Nie rozumie, dlaczego duchowny za współżycie z mniszką jest ekskomunikowany, a za współżycie z innym duchownym – nie. Najciekawsze jednak jest to, że gdy pod koniec XI w. rozpoczęła się wielka reforma papieża Grzegorza VII i na synodach podejmowano wszelkie możliwe kwestie dotyczące moralności kleru opisywane przez Damianiego, tę jedną pominięto.

Czyżby homolobby ukrywało współgrzeszników?

W nauce anglosaskiej pojawiają się stwierdzenia, że był to rodzaj *omertà* ▶

© AKG/BE&W

Antykatolicka satyra, miedzioryt z XVI w.

eprasa.pl 9042e7cb93

▶ – zmowy milczenia typowy dla organizacji przestępczych. To jednak nieadekwatne porównanie, tak samo jak wystąpienia przeciwko sodomii nie miały nic wspólnego z homofobią, ponieważ pojęcie homoseksualności pojawia się dopiero w XIX w. Za skłonności nieheteronormatywne odpowiedzialna jest biologia, w średniowieczu tak samo jak dziś odczuwało je zapewne 10 proc. populacji. Ale to kultura pozwala je dostrzec, w średniowieczu były one niewidzialne i niedostrzegalne. Nie można mówić o ówczesnej subkulturze gejowskiej, bo nie postrzegano homoseksualności jako cechy człowieka, jako jego tożsamości, tylko jako grzech.

Ciężki?

Dla Damianiego najcięższy. To były czasy, gdy grzechem było odczuwanie przyjemności nawet w czasie uprawiania seksu małżeńskiego. Ale najważniejsze było to, że w XI w. doszło do przeobrażeń w religijności. Teolodzy zrozumieli wagę tego, że Bóg stał się człowiekiem, i znaczenie przemiany w trakcie eucharystii chleba i wina w ciało i krew Chrystusa. Dlatego od kapłanów, którzy je dotykali, zaczęto wymagać czystości. Damiani pisał do żonatego biskupa, nie przebierając w słowach, że „trzyma ciało Chrystusa ręką, którą wcześniej dotykał krocza dziwki". Rozpoczął walkę o wprowadzenie celibatu, wcześniej nieprzestrzeganego przez duchownych.

To musiało wywołać duży opór.

Olbrzymi. Małżonki należało oddalić, dzieci uznać za nielegalne, a żonaci dotąd kapłani zostali pozbawieni bliskości kobiet. Emocjonalny związek z nimi miała zastąpić wyidealizowana figura matki, która stopniowo przekształciła się w kult Najświętszej Marii Panny. Jeszcze zacieklej Damiani walczył z sodomią wśród kleru. Napisał traktat adresowany do papieża Leona IX, wzywając go do wprowadzenia dekretu, by ci, którzy dopuszczają się współżycia analnego, udowego czy wzajemnego onanizmu, byli ekskomunikowani. Papież postanowił jednak karać tylko za współżycie analne i to tylko wtedy, gdy grzesznik nie żałował swego czynu. Co więcej, zagroził Damianiemu, że jeśli będzie postulował inne rozwiązanie, sam zostanie ekskomunikowany i „zaaresztował" jego dzieło, zamykając w szkatule. Zachował się list uczonego do przyszłego papieża Grzegorza VII, w którym prosi o rozgrzeszenia na odległość za to, że źle wyrażał się o papieżu, który skradł jego „jedyne dziecko".

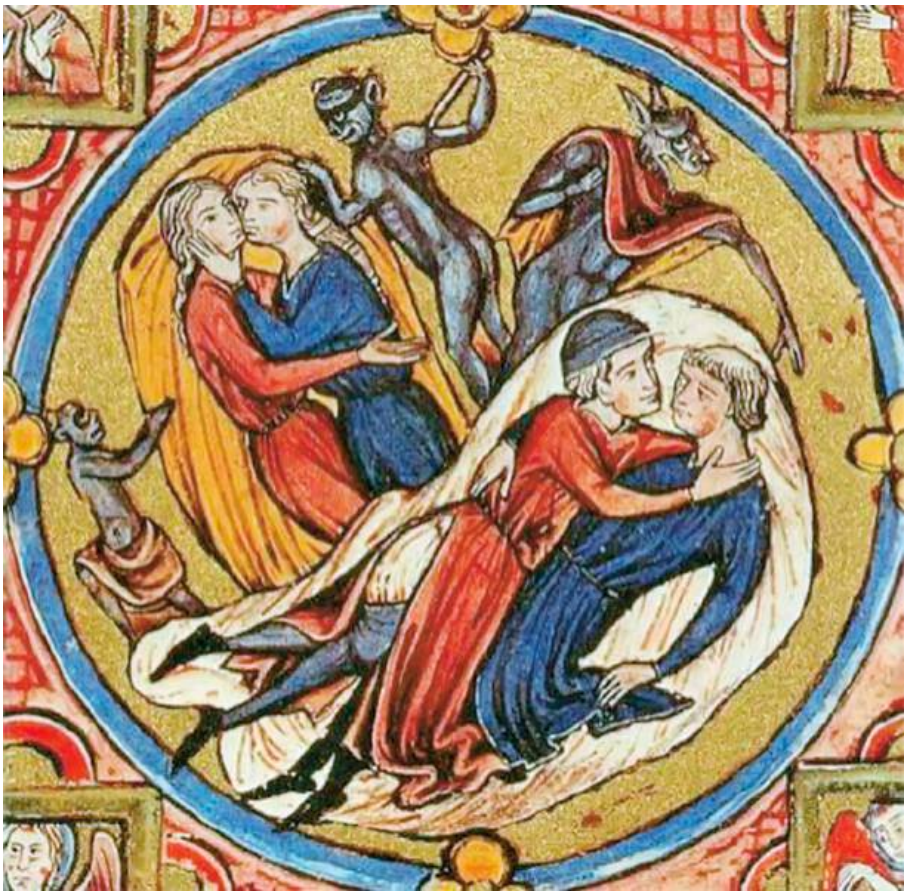

Rycina ukazująca upadek kleru z manuskryptu „Biblii moralizującej" z 1200 r. zwanego Codex Vindobonensis 2554

To kiedy Kościół przyznał Damianiemu rację?

Dopiero po IV soborze laterańskim w 1215 r., kiedy ostatecznie wprowadzono celibat, rozwiązano problem wyboru biskupów, podniesiono poziom edukacji kapłanów i zniesiono symonię, czyli kupczenie urzędami kościelnymi, sakramentami, odpustami i relikwiami. Skutkiem ubocznym reformy było wykształcenie się społeczeństwa represyjnego – ponieważ chrześcijanie przestali zastanawiać się, kim są, zaczęli szukać i prześladować „obcych": Żydów, muzułmanów, heretyków i sodomitów. Za sodomię pierwszy na stosie spłonął w 1287 r. w Parmie Niger de Pulis.

Czy to nie jest tak, że sodomię przypisywano tym, których chciano się pozbyć, np. przeciwnikom politycznym?

Oczywiście. Plotkowano, że skłócony z Grzegorzem VII król Niemiec Henryk IV Salicki rozdaje chłopcom za usługi seksualne stanowiska biskupie. A gdy polscy kronikarze chcieli przedstawić Bolesława Szczodrego w jak najgorszym świetle za zabójstwo św. Stanisława, którego nie popełnił, wymyślili, że na Rusi „zaraził się" zoofilią, więc po powrocie stamtąd współżył ze swoją kobyłą.

W średniowieczu pojawia się pojęcie „trzeciej płci", co brzmi bardzo genderowo. Co Damiani o niej myślał?

Wspomniany już Odon z Cluny wprowadził termin „trzeciej płci". Dotyczyła mnichów, którzy modlą się i rezygnują z grzesznej przyjemności niczym bezpłciowe anioły. U Damianiego termin ten pojawił się też w odniesieniu do duchownych uprawiających sodomię. Natomiast każdy, kto używa argumentu, że gender to ideologia wymierzona przeciwko Kościołowi, powinien wystąpić o odebranie Damianiemu tytuł doktora kościoła, bo on doskonale zdawał sobie sprawę z performatywności płci. W średniowieczu ludzie odgrywali określone role społeczne, a mężczyzna miał zapewniać bezpieczeństwo żonie i dzieciom. By pokazać „męskość" żyjącego w celibacie kapłana, opisywano walkę duchową jak walkę zbrojną. Damiani świadomie posługiwał się opisami ciała, zachowań i ról społecznych, żeby wzmocnić przekonanie, że świat powinien być podzielony na mężczyzn i kobiety. Każde odstępstwo od tej zasady traktował jako grzech i zagrożenie dla

eprasa.pl 9042e7cb93

porządku. Dziś można odczytywać jego teksty w świetle teorii gender i queer, ale pokazują one także jego namysł nad tym, czym właściwie jest płeć – nie tylko biologicznie, ale też duchowo i społecznie.

Cały czas mówimy o mężczyznach duchownych, a co z kobietami albo z osobami nieheteronormatywnymi?

Zdawano sobie sprawę z hermafrodytyzmu, z tym że w traktatach medycznych pisano o nim jako o chorobie. Nie ma też w źródłach śladu transwestytów, bo przebieranie się np. kobiet za mężczyzn ma zawsze jakieś głębsze uzasadnienie: po to, by bezpiecznie podróżować czy uciec przed niechcianym małżeństwem. Świętej Wilgefortis, która nie chciała wyjść za poganina i uprosiła Boga, by jej pomógł, przez jedną noc wyrosła broda, co skutecznie zniechęciło zalotnika. Ponieważ została ukrzyżowana jako męczennica, mamy mnóstwo przedstawień kobiet z brodą na krzyżu. Inną kobietą, która cała porosła futrem, była piękna Maria Magdalena. I ona modliła się, by zbrzydnąć, aby mężczyźni nie grzeszyli myślami, patrząc na nią. Swoją drogą Damiani, który przez niektórych uważany jest za mizogina, jest ojcem „zwrotu feministycznego w teologii". Nie tylko uważał za apostołkę Marię Magdalenę, ale twierdził wręcz, że bez kobiet nie byłoby możliwe zbawienie.

„Liber Gomorrhianus" nie wspomina o grzeszących mniszkach pewnie dlatego, że one nie brały udziału w przemianie chleba i wina.

Nie, ale jej autor zdawał sobie sprawę z istnienia związków lesbijskich. W jednym z listów pouczał, że każdy powinien trenować pamięć, by podczas spowiedzi nie zapomnieć o żadnym grzechu, i podał przykład duszy pewnej mieszkanki Rzymu, która nie może zaznać spokoju, bo jako młoda dziewczyna swawoliła z koleżanką i przez całe życie się z tego nie wyspowiadała. Według mnie Damiani był egzystencjalistą i feministą, w kazaniach pięknie i z szacunkiem pisał o świętych kobietach, a w opisach matek używał starotestamentowych przykładów, które dotyczyły tylko ojców. Można jednak wybrać teksty, w których ostro pisze o grzesznicach, i podeprzeć się argumentem, że był porzucony przez matkę, by nazwać go nienawidzącym kobiet mizoginem. Damiani był jednak sprawiedliwy – wychwalał obie płcie, jeśli na to zasługiwały, i ganił, jeśli grzeszyły.

Czy dla ludzi średniowiecza wszystko, co wiązało się z cielesnością, było uważane za grzech?

Zależy kiedy. W XI w. podejście do seksu było jeszcze bardzo surowe i trzeba było się spowiadać nawet z przyjemności, jaką się odczuwało podczas współżycia z małżonkiem. Grzechem był onanizm, a nawet nocne polucje, ponieważ w ten sposób dochodziło do marnowania nasienia. W przypadku kobiet masturbacja nie była obłożona ciężkimi pokutami. Co prawda w swoim podręczniku spowiednik Burchard, biskup Wormacji, instruuje, jak należy dopytywać, czy kobiety dotykały się same, czy robiły to z inną kobietą albo czy używały sztucznego penisa. Ale znacznie surowsze było podejście do homoseksualizmu mężczyzn, co brało się z założenia, że w seksie osobą aktywną zawsze jest mężczyzna, więc w zbliżeniu dwóch z nich któryś musiał przyjąć rolę kobiety, co było niezgodne z naturą.

Czyli najlepiej było tłumić w sobie wszelkie seksualne potrzeby?

Od pewnego czasu już nie, co wiązało się z tym, że na przełomie XI i XII w. uznano, że Chrystus był prawdziwym człowiekiem, który miał takie same potrzeby jak my. Damiani jako pierwszy wystąpiłby w obronie powieści Nikosa Kazantzakisa „Ostatnie kuszenie Chrystusa" oraz jej ekranizacji Martina Scorsese, uważał bowiem, że Chrystus dlatego pokonał śmierć i zbawił ludzi, że musiał ukrzyżować w sobie wszelkie pokusy, w tym tę największą, czyli miłość i potrzebę bliskości z ukochaną kobietą. W tym czasie narodziło się też poczucie, że jeśli człowiek jest stworzony na podobieństwo Boga, wszystko, co jest w jego naturze, w tym przyjemność seksualna, jest dobre.

Czyli w XIII w. już nie trzeba się było spowiadać z przyjemności w trakcie seksu z żoną lub mężem?

Nie, zaczęto wręcz dostrzegać, że pociąg seksualny jest tak przemożny, że lepiej współżyć z żoną w czasie zakazanym, np. w Wielkim Poście, niż oddawać się sodomii lub cudzołóstwu. Pojawił się kanoniczno-prawny termin *debitum coniugale*, oznaczający wzajemny obowiązek współżycia między małżonkami. Odmowa spełnienia „należności małżeńskiej" bez ważnej przyczyny była traktowana jako grzech lub powód do unieważnienia małżeństwa. Choć jak pisał Tomasz z Akwinu, nadużywanie tego przywileju dla przyjemności też było grzechem.

A co z pasami cnoty?

Nic. Opowieści o nich są przesadzone, tak jak mnóstwo historii związanych ze średniowieczem. Istniały od XII w., zachowały się materialnie i są pokazywane w muzeach, ale nie były powszechne. Poza tym używano ich aż do XIX w., nie były więc średniowieczną specyfiką. Przy każdej okazji staram się mówić, że wieki średnie były bardzo jasną, humanistyczną i nowoczesną epoką. Regres nastąpił później – palenie czarownic czy sodomitów to właściwie czasy nowożytne. Denerwuje mnie, gdy politycy albo osoby publiczne mówią o „powrocie do średniowiecza". Powiem tylko jedno – św. Tomasz z Akwinu twierdził, że jeżeli życie kobiety jest zagrożone, należy dokonać aborcji. Tak samo nowocześnie postrzegał świat Piotr Damiani. Oczywiście był wierzącym chrześcijaninem, ale wiele pytań, które sobie zadawał, było tak współczesnych, że wręcz niezrozumiałych dla ludzi XI w. To dlatego ten tytan intelektu został doktorem Kościoła dopiero w XIX w. Gdy moi studenci piszą jakąś pracę na temat średniowiecza, czy to będzie symbolika kamieni szlachetnych, czy bobrów odgryzających sobie jądra, zawsze mówię, by sprawdzili, czy pisał o tym Damiani, i zawsze okazuje się, że coś na dany temat wspominał.

Średniowieczny omnibus.

Raczej fizyk, bo tak w średniowieczu nazywano osoby, które opisywały świat, twierdząc, że wszystko, co nas otacza, jest językiem, jakim Bóg się z nami porozumiewa, więc trzeba się mu uważnie przyglądać, żeby zrozumieć przekaz. Stąd jego zainteresowanie seksualnością oraz jedzeniem, dwiema najważniejszymi potrzebami. I chyba wcale nie był jakimś nawiedzonym seksualnie paranoikiem, bo więcej miejsca niż sodomii poświęcił jedzeniu.

ROZMAWIAŁA
AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Prof. Krzysztof Skwierczyński
jest mediewistą z Uniwersytetu Warszawskiego, badaczem średniowiecznego duchowieństwa i autorem książki „Mury Sodomy. Piotra Damianiego *Księga Gomory* i walka z sodomią wśród kleru".

© ALAMY STOCK PHOTO/BE&W, LESZEK ZYCH

eprasa.pl 9042e7cb93

Skala ocen: 1(dno)–6(wybitne)

film

Koniec cywilizacji 4/6

Eden, reż. Ron Howard, prod. USA, 129 min, w kinach od 5 września

Pod koniec lat 20. XX w. niemiecki filozof i botanik Friedrich Ritter (tu gra go Jude Law), głęboko rozczarowany kierunkiem rozwoju zachodniej cywilizacji, wyjechał wraz ze swoją cierpiącą na stwardnienie rozsiane partnerką Dore (Vanessa Kirby) na wyspę Floreana w archipelagu Galapagos, by żyć z dala od świata i ludzi. Listy, które okazjonalnie wysyłał do ojczyzny, uczyniły z niego kogoś w rodzaju tajemniczego celebryty, więc wkrótce na wyspę przybyli kolejni poszukiwacze wrażeń: rodzina Wittmerów (Daniel Brühl i Sydney Sweeney), wierząca w głoszone przez Rittera idee powrotu do natury i odbudowania w ten sposób demokracji, oraz samozwańcza baronessa (**Ana de Armas**) i jej dwóch kochanków z ambitnym planem wielkiego hotelu dla milionerów. Wśród przybyszów coraz częściej dochodzi do spięć i awantur, a kolejne prowadzą do nieuniknionej tragedii.
Ten zestaw dziwacznych, nierzadko irytujących postaci może sprawiać wrażenie obsady z podrzędnej kryminalnej farsy, ale film oparty jest na faktach, na dodatek trzyma się przebiegu wydarzeń dość wiernie. Eksperyment doktora Rittera trwał zaledwie kilka lat i okazał się – także moralną – klęską, a zarazem pożywką dla spekulacji, co naprawdę wydarzyło się na Floreanie. Ronowi Howardowi posłużył zaś za temat sprawnego surwiwalowego thrillera w posępnej, choć czasami podszytej groteską tonacji. To nie pierwsza u tego reżysera wyprawa w podobne rejony – wystarczy wspomnieć „W samym sercu morza", również oparte na prawdziwych wydarzeniach – lecz pozbawiona wiary w ludzką solidarność i dobrą wolę (a to w jego filmach rzadkość). Bohaterowie „Edenu" są egoistami i manipulatorami, a w najlepszym przypadku (jak Ritterowie) naiwnie wierzą w niemożliwą do zrealizowania utopię. Postawieni w ekstremalnej sytuacji rzucają się sobie do gardeł. W kinie Howarda, zazwyczaj szukającego w ludziach siły i światła, to jednak spore zaskoczenie.

JAKUB DEMIAŃCZUK

film

Dzień świrów 4/6

Eddington, reż. Ari Aster, prod. USA, 148 min, w kinach od 5 września

Za oceanem mediom głównego nurtu „Eddington" podobał się średnio. Pusta diagnoza prowadząca donikąd – pisano. Trudno się z tym zgodzić. To może i mało przyjemna analiza, lecz prowadząca jak najbardziej dokądś. Ari Aster nakręcił brutalną satyrę na upadający mit Ameryki, jej wyobcowanie i znikające widmo wygaszenia wojen plemiennych. Hiperrealistyczna historia rozwija się zgodnie z paranoiczną logiką „Fargo" – od pozornie błahego szczegółu wywołującego zgrzyt w życiu zakompleksionego szeryfa po trudną do zatrzymania lawinę śmiertelnych wypadków i końcową apokalipsę. Antagonistą stróża prawa (**Joaquin Phoenix**) opiekującego się straumatyzowaną żoną (Emma Stone) jest ubiegający się o reelekcję burmistrz (Pedro Pascal), niesłusznie oskarżany przez szeryfa o gwałt. Film jak w soczewce skupia choroby cywilizacyjne współczesności. Spięcie na szczytach władzy, a w konsekwencji rywalizacja obu postaci w wyborach, staje się papierkiem lakmusowym zbiorowego obłędu Amerykanów zanurzonych w alternatywnych rzeczywistościach mediów społecznościowych, triumfalnego pochodu teorii spiskowych i strachu przed covidem. Można wzruszyć ramionami, że Phoenix powtarza role Jokera oraz Beau z „Bo się boi". Jego występ to nie przełomowa, lecz godna docenienia kreacja. Ameryka Trumpa ma swój „Dzień świra", szkoda tylko, że w to krzywe zwierciadło nie za bardzo chce spojrzeć.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Rozmowa z Arim Asterem s. 76

© JASIN BOLAND, JOE CROSS/MAYOR LLC, HBO MAX, NETFLIX, MP (2), WERONIKA BILSKA

eprasa.pl 9042e7cb93

Zostać i odejść 5/6

Grupa zadaniowa (Task), twórca serii: Brad Ingelsby, 7 odc., HBO Max, od 7 września

Kontynuacji „Mare z Easttown" – z Kate Winslet w roli policjantki, która oprócz trudnego śledztwa mierzy się z równie skomplikowaną sytuacją rodzinną – wciąż się nie doczekaliśmy. Ale HBO i twórca serii mają dla fanów coś w podobnych klimatach. Akcja „Grupy zadaniowej" również toczy się w Pensylwanii. Głównymi bohaterami – poznajemy ich równolegle i w równym stopniu – są agent FBI próbujący się pozbierać po rodzinnej tragedii (**Mark Ruffalo**) i ścigany przez niego i jego oddział Robbie (Tom Pelphrey), odpowiedzialny za serię napadów (jeden z nich poszedł szczególnie źle) na lokalnych handlarzy narkotykami. W najgłębszej warstwie to zaś historia o rodzinie, także tej z wyboru: o wyzwaniach, jakie stawia przed swoimi członkami, o sile, jaką daje i jakiej wymaga. Każdy tutaj ma swoje przejścia z najbliższymi, niektórzy muszą odejść, żeby (prze)żyć, i nie wszystkim się udaje, inni zostają i na różne sposoby walczą. Dorastanie polega na tym, że możesz wybrać, co wziąć od rodziców, a co odrzucić – mówi 21-letnia Maeve (Emilia Jones) córce Robbiego, a swojej kuzynce, której matkuje. Piszę dość ogólnie, bo serial Ingelsby'ego, choć z powodzeniem realizuje konwencję kina akcji, najciekawszy jest jako portret relacji międzyludzkich. Powiązania i motywacje ujawnia powoli – i z powolnego ich odkrywania płynie dużo przyjemności.

ANETA KYZIOŁ

Koleiny dorastania 3/6

Long Story Short, twórca serii: Raphael Bob-Waksberg, 10 odc., Netflix

Autora tego animowanego serialu znamy jako twórcę „BoJacka Horsemana", gdzie z prozy życia odrzuconej gwiazdy zrobił poezję i filozoficzną tragikomedię łączącą śmiech i łzy. Żeby powiedzieć coś boleśnie autentycznego, kreował tam sytuacje krańcowe i niewiarygodne, wykorzystując umowność. W „Long Story Short" podąża ścieżką konwencjonalną i wydeptaną: próbuje wycisnąć ciepły, dość przy tym grzeczny humor i wzruszenia z niechronologicznie (to skakanie między planami czasowymi XX i XXI w. bardziej przeszkadza niż pomaga) opowiadanych losów rodziny Żydów z amerykańskiego przedmieścia. Estetycznie Bob-Waksberg po raz kolejny współpracuje ze studiem animacji ShadowMachine (tworzyli także serial „Tuca i Bertie"). Dialogi są gęste, momentami wchodzą w nieznośne tempo, nakręcone temperamentem Naomi Schwartz, rzeczywistej głowy rodziny (jej mąż to Elliot Cooper, dzieci noszą nazwisko Schwooper). Jej głos podkłada Lisa Edelstein, niezapomniana Lisa Cuddy z serialu „Dr House". Całość momentami trzyma średni poziom historii o dorastaniu i dorosłości, ale czasem grzęźnie w koleinach, a na wyżyny wchodzi okazjonalnie, głównie, gdy twórca postaci BoJacka robi to, co potrafi najlepiej: śledzi historię outsidera, czyli Yoshiego, najmniej ogarniętego ze Schwooperów.

BARTEK CHACIŃSKI

nie przegap

Festiwal Ogrody POLITYKI w Elblągu, 5–7 września

Popołudniami dyskusje, wieczorami koncerty, w takim rytmie będzie się toczyła najnowsza edycja festiwalu przygotowanego przez Bibliotekę Elbląską i naszą redakcję. Tematami tych pierwszych będą m.in. kanon lektur czy kanon kultury oraz wpływ przeszłości na przyszłość. W ramach tych drugich zagrają Lech Janerka, trio jazzowo-hiphopowe Łona x Konieczny x Krupa, Brass Federacja i – na finał – przywołujący ducha polskich orkiestr jazzowych międzywojnia Jazz Band Młynarski-Masecki. AK

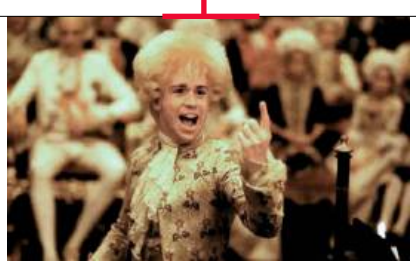

Amadeusz, reż. Miloš Forman, w kinach (ponownie) od 3 września

Nazywanie filmu Formana arcydziełem nie będzie przesadą. Jeśli już, to niedopowiedzeniem. Historia kompozytorskiej rywalizacji Mozarta (**Tom Hulce**) i Salieriego (F. Murray Abraham), opowieść o geniuszu, obsesji, zazdrości i nienawiści, a zarazem jeden z najważniejszych filmów w dziejach kina, znów trafi na wielkie ekrany. Tym razem we wspaniałej cyfrowej rekonstrukcji, więc nawet jeśli znacie go dobrze, warto obejrzeć (i posłuchać!) jeszcze raz. JD

Trzy miłości, reż. Łukasz Grzegorzek, w kinach od 3 września

Autor świetnego „Mojego wspaniałego życia" znów mierzy wysoko. Jego nowy film, reklamowany jako thriller erotyczny, okazuje się dość zmysłowym, ale w sumie niewinnym i tylko nieco przerysowanym romansem z kapitalną **Martą Nieradkiewicz** w roli kobiety poszukującej spełnienia w otwartym związku. Dramat wymieszany z komedią, grzeszne marzenia z wyrzutami sumienia – zaskakujące wyzwanie rzucone polskiemu kinu, warto sobie wyrobić na ten temat zdanie. JW

eprasa.pl 9042e7cb93

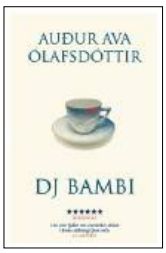

Święty spokój 5/6

Auður Ava Ólafsdóttir, **DJ Bambi**, przeł. Jacek Godek, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2025, s. 200

Islandka Auður Ava Ólafsdóttir jest specjalistką od drugich szans i nowych, ryzykownych początków. Jak przekonuje w swoich książkach (w Polsce ukazały się dwie), nigdy nie jest na nie za późno, choć z wiekiem trudniej się je wdraża i częściej podważa. Tytułowa „DJ Bambi" ma 61 lat. Urodziła się w ciele mężczyzny, dziś nosi imię Logn – co oznacza „bezwietrze", stan kompletnej ciszy, docenianej w takich krajach jak Islandia. „Logn" to zatem i nowe imię, i marzenie – o staniu się tym, kim się naprawdę jest. A to kosztuje, zwłaszcza emocjonalnie. W poprzednim życiu Logn była „mężem i ojcem", synem i bratem, didżejem, który pomaga matce w salonach fryzjerskich i podkrada siostrom sukienki. Lista osób, które ją odtrącają, teraz stale się wydłuża. Nie wyparł się jej brat bliźniak, który jest jej podporą i – siłą rzeczy – lustrem, kompletnym przeciwieństwem. Logn czeka w kolejce do operacji, wyprzedzana przez młodszych, którzy „mają życie przed sobą" albo są na skraju załamania, więc się szybciej kwalifikują. Jej kryzysów i zwątpień nikt nie zauważa. Ólafsdóttir dba o każdy element tej historii, jest przekonująca i poetycko ironiczna, gdy opowiada zarówno o transformacji Logn, jak i o przypadkowych towarzyszach jej podróży. O psycholożce, sąsiadach czy natrętnych mewach, które – „o ironio" – odlatują zimą w te same miejsca co umęczeni ptactwem Islandczycy. Kapitalna proza o prawie do zmiany i świętego spokoju.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

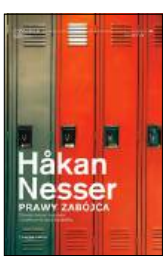

Ku przepaści 4/6

Håkan Nesser, **Prawy zabójca**, przeł. Inga Sawicka, Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2025, s. 352

Najpierw ginie nauczyciel wuefu, kilka tygodni później – młody trener osobisty. Obaj zastrzeleni z zimną krwią. Zbrodnie popełnione pozornie bez motywu, jakby zabójca wybierał przypadkowe ofiary, których nic nie łączy. Tak przynajmniej sądzą policjanci z zespołu inspektora Gunnara Barbarottiego, którzy prowadzą śledztwo. Czytelnicy tożsamość i złożone motywacje strzelca poznają dość szybko. Håkan Nesser, niezmiennie jeden z najważniejszych twórców skandynawskiego kryminału, nie jest zainteresowany klasyczną sensacyjną zagadką ani nawet żmudną drogą dochodzenia do prawdy. Interesuje go raczej gwałtownie zmieniająca się rzeczywistość, zresztą nie tylko szwedzka. I nie chodzi wyłącznie o sugerowany już w tytule moralny dylemat, czy istnieje uzasadnione zabójstwo. Tu dyskutuje się nie tylko o lokalnych przestępstwach, lecz także o zbrodniach popełnianych przez armię Putina w Ukrainie, terroryzujących Sztokholm gangach, katastrofie klimatycznej, radykalizacji społeczeństwa, rosnącej w siłę prawicy. Barbarottiego i spółkę nęka nie tylko pytanie, kto zabił, lecz przede wszystkim, jak żyć i pracować w czasach, gdy „nawet umiarkowani obserwatorzy polityczni oceniają, że cały świat zmierza ku przepaści". Nesser jak zawsze pisze błyskotliwie, nie unika zgryźliwej ironii, lecz w jego prozie coraz bardziej dominują bezradność i lęk przed przyszłością.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Branża mówi 4/6

Tomasz Lada, **Wszystko jak leci. Polski pop 1990–2000**, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2025, s. 472

Pomysł na książkę składającą się niemal wyłącznie z wypowiedzi osób przepytanych i wysłuchanych przez autora sam w sobie nie jest żadną ekstrawagancją. Od dłuższego czasu czynią tak historycy wykorzystujący metodologię *oral history*. Tyle że „Wszystko jak leci" jest jednak książką dziennikarską, a choć podobny chwyt narracyjny i w tej konkurencji bywał stosowany (vide: „Obok" Mirosława Makowskiego, na świecie powstało też niemało opowieści o muzyce snutych w ten sposób), wciąż wydaje się świeży. Tomasz Lada skrupulatnie relacjonuje wspomnienia, komentarze i opinie rozmaitych postaci szeroko pojętej branży muzycznej – wydawców płyt, menedżerów, dziennikarzy, producentów, samych artystów – i buduje z nich obraz pierwszej dekady III RP w muzyce popularnej. Przypominamy sobie stragany z płytami na Stadionie Dziesięciolecia, moment wejścia na polski rynek światowych firm fonograficznych, a także „kultowe" w tamtym czasie czasopisma (jak „Brum" czy „Machina"), wzlot i upadek musicalu „Metro", sukces Edyty Górniak na Konkursie Eurowizji…Omawiane w książce fakty są zapewne dobrze znane czytelnikom głębiej zainteresowanym współczesną historią polskiego popu, ale i oni mogą mieć satysfakcję z lektury – choćby dzięki temu, że ten cały ogrom faktów jest tu przedstawiany z rozmaitych perspektyw, odgrzebywany we wspomnieniach, a przede wszystkim chronologicznie uporządkowany. Przy okazji rekonstruuje się tu bardzo ciekawy proces zmian zachodzących w dominujących, modnych, ważnych dla branży rozrywkowej gatunkach i estetykach muzycznych. Warto przeczytać.

MIROSŁAW PĘCZAK

© LEONARDO CENDAMO/GETTY IMAGES, MP (7)

eprasa.pl 9042e7cb93

Królowa winylowa 4/6

Laufey, **A Matter of Time**, Membran/Mystic

Gdy Björk podbijała listy przebojów jazzowym „It's Oh So Quiet", wielu słuchaczy zaskoczyło odkrycie, że to nie autorska piosenka artystki, lecz nowa wersja standardu z połowy XX w. Z repertuarem jej rodaczki Laufey – największego muzycznego sukcesu eksportowego Islandii od czasu Björk właśnie – jest na odwrót: brzmi jak wyjęty wprost z amerykańskiego śpiewnika z jazzowymi szlagierami ery winylowej. Mimo to Laufey najsilniej przemawia do najmłodszej publiczności, stąd do 26-latki przylgnęło miano jazz-popowej królowej pokolenia zetek – na TikToku obserwuje ją ponad 9 mln osób. I to do nich głównie kieruje trzecią płytę „A Matter of Time", na której konfrontuje się z „parszywą stroną" zarówno własną, jak i „chorego świata, szczególnie dla młodych kobiet". Piękny głos Laufey przysłania nieco zabiegi aranżacyjne, a te czerpią także z tradycji musicalowej, filmowej, soulowej. Sama gra tu na fortepianie, wiolonczeli, kontrabasie i kilku innych instrumentach. Dla tiktokowej publiczności płyta może być streszczeniem zamierzchłej epoki i zachętą do poznania Franka Sinatry czy Elli Fitzgerald, którym Laufey składa tu otwarcie hołd. Dla starszych zaś sentymentalnym powrotem do przeszłości. Na pewno nie znajdziemy tu za to jakiegokolwiek akcentu islandzkiego – znów zupełnie inaczej niż u Björk.

MARIUSZ HERMA

Glass uszlachetniony 4/6

Iwo Jedynecki, **Philip Glass, Etudes Vol. 1**, Orange Mountain Music

Akordeon był jak dotąd w Stanach Zjednoczonych instrumentem raczej pogardzanym, kojarzonym z plebsem i muzykowaniem ulicznym. Dlatego też Iwo Jedynecki, współlaureat (w duecie ze skrzypaczką Karoliną Mikołajczyk) Paszportu POLITYKI za 2023 r., przyjeżdżając na stypendium Fulbrighta, zaskoczył i zadziwił tamtejsze środowisko muzyczne. Transkrybując fortepianowe etiudy Philippa Glassa, marzył o ich wykonaniu i nagraniu, a gdy wysłał demo kompozytorowi, ten od razu się zgodził. Po raz pierwszy w tej wersji zabrzmiały w całości na prestiżowym Long Play Festival, organizowanym w Nowym Jorku przez grupę nowej muzyki Bang on a Can, a nagranie właśnie ukazało się w serwisach streamingowych pod egidą firmy oficjalnie wydającej utwory Glassa. Trzeba powiedzieć, że jest to zupełnie nowa jakość, lepsza od oryginału. Na fortepianie te etiudy mogą wydawać się nużące i trywialne, na akordeonie w pełnym zaangażowania wykonaniu Jedyneckiego nabierają przestrzeni i bogactwa faktur. Muzyka w tej wersji jest jak żywioł, oddycha i faluje. Nawet jeśli ktoś nie lubi Glassa, płyta może mu się spodobać, a jeśli lubi, to tym bardziej.

DOROTA SZWARCMAN

Awangarda tu i tam

Avant Art Festival, Wrocław (4–14 września), Warszawa (15–21 września)

Tegoroczna edycja muzycznego festiwalu poświęconego krajowej i światowej awangardzie zaczęła się wcześniej. Już w czerwcu była częścią berlińskiego Polish Art Week, a na przełomie sierpnia i września zaplanowała w różnych miastach Dolnego Śląska pokazy filmów (m.in. o grupach King Crimson i Crass), które wrócą też podczas głównych festiwalowych wydarzeń: we Wrocławiu i w Warszawie. Główną gwiazdą wrocławskiej odnogi Avant Artu będzie trio Clipping – teoretycznie należące do pola hip-hopu, w praktyce jednak umykające łatwym definicjom. Kierowana przez wokalistę i aktora Daveeda Diggsa (znanego z musicalu „Hamilton" i z głównej roli w serialu „Snowpiercer") formacja idzie w stronę horroru i fantastyki, zainteresowana jest cybernetyką i światem bliskiej przyszłości. Z kolei w Warszawie błyszczeć będzie Shabaka Hutchings – saksofonista i flecista z Wielkiej Brytanii, lider zespołów Sons Of Kemet czy The Comet Is Coming, tu na koncercie solowym. Krajową scenę reprezentować będą m.in. perkusista Gary Gwadera, saksofonista Marek Pospieszalski i duet IFS (we wspólnym projekcie z japońskim wokalistą MA), ale program w obu miastach jest obszerny i w dużej mierze komplementarny. BCH

Szczegóły: avantart.pl/2025

Z różnych światów

Skrzyżowanie Kultur, Teatr Dramatyczny, Warszawa, 12–14 września

Omar Moctar urodził się w obozowisku w Nigrze, na Saharze, w tuareskiej rodzinie mechanika samochodowego, która musiała w ciągu kilku lat uciekać do Algierii. Uczył się gry na gitarze z rejestracji wideo zachodnich wirtuozów, a wrócił do kraju już jako muzyk. 20 lat zajęło mu przebijanie się – już jako Bombino – najpierw w Afryce, później na Zachodzie, aż do punktu, kiedy ma uznanie Keitha Richardsa czy Roberta Planta, a także pierwszą w dziejach Nigru nominację do Grammy. To są zwyczajne dzieje – można powiedzieć. Bo tę historię widzieliśmy już parokrotnie w odniesieniu do różnych postaci z regionu Sahelu. I oglądaliśmy na żywo podczas kolejnych edycji (tegoroczna jest 21.) festiwalu Skrzyżowanie Kultur. Bombino będzie – obok malijskiej gwiazdy Oumou Sangaré – reprezentacją Afryki i jednym z najbardziej jej oczekiwanych artystów. Muzyczny obraz tej części świata uzupełnią w tym roku projekcje filmowe („Ballaké Sissoko, Kora Tales" oraz znakomita „Ścieżka dźwiękowa zamachu stanu"). Choć oczywiście inne rejony też będą tu obecne. Trio legendarnego Paquito D'Rivery reprezentuje Kubę, a uduchowiona muzyka Naghash Ensemble – Armenię. BCH

Szczegóły: estrada.com.pl/skrzyzowanie_kultur

eprasa.pl 9042e7cb93

Histeria kontrolowana

Religia nie umarła, tylko rozproszyła się na drobne, chaotyczne systemy wiary: w marki, influencerów, rytuały wellness, teorie spiskowe – mówi amerykański reżyser Ari Aster, twórca filmu „Eddington".

JANUSZ WRÓBLEWSKI: **– „Eddington" to analiza skłóconej Ameryki, w której liberalna demokracja przestaje należycie funkcjonować, a relacje zamieniają się w koszmar. Da się określić, kiedy i jak właściwie ten kryzys się zaczął?**

ARI ASTER: – Nie ma jednej prostej przyczyny. To splot wielu czynników psychologicznych, społecznych, technologicznych i oczywiście politycznych, których kulminacją była ekspansja filozofii skrajnego indywidualizmu. Kultura indywidualizmu jest świetna, pod warunkiem że wszystko działa, jak należy. Lecz kiedy zaczyna się psuć, prowadzi do izolacji. I właśnie z tym zjawiskiem mamy obecnie do czynienia. Dominuje lęk, bezsilność, wrażenie eksploatacji, a aktywność przenosi się do internetu. Początkowo zdawało się, że przestrzeń cyfrowa będzie sprzyjać szybszej, dobrej komunikacji. Tymczasem nastąpiła atomizacja i fragmentacja życia. Media społecznościowe przekształciły się w system, który uzależnił nas od narzędzi wykorzystywanych do zaszczepiania fałszywych narracji.

Jaką rolę odegrał w tym ruch MAGA prezydenta Trumpa?

Ogromną. Ale nie tylko Republikanie ponoszą odpowiedzialność za dezinformacyjny chaos. Demokracja wymaga minimalnego konsensusu, aby możliwa była debata. Gdy poszczególne grupy opierają się na sprzecznych przekazach, proces się załamuje. Zamiast naturalnej różnicy zdań pojawia się wrogość. Ludzie postrzegają przeciwników politycznych nie jako obywateli z innymi poglądami, tylko jako zagrożenie dla siebie i kraju. To utrudnia jakąkolwiek współpracę, sprawia, że spory przybierają kształt wojen tożsamościowych.

Normy i wartości stanowią układ odpornościowy każdej wspólnoty. Łamanie ich przez polityków osłabia instytucje. A kiedy te zanikają, wszystko staje się możliwe. Problemem jest też to, że media społecznościowe i niszowe kanały informacyjne mają interes w suflowaniu skrajnych, sensacyjnych treści, ponieważ generują one ciekawość i większe zaangażowanie odbiorców, a przez to zyski. Tworzy się błędne koło, w którym nagradzany jest ekstremizm.

© MATERIAŁY PRASOWE, CHRIS PIZZELLO/AP/EAST NEWS

eprasa.pl 9042e7cb93

Jednym z objawów powszechnej paranoi, którą pokazuje pan w swoim filmie, jest właśnie przepotężna, destrukcyjna rola mediów oraz skłonność do wyjaśniania wszystkiego absurdalnymi teoriami spiskowymi.

Charakter prezydentury Trumpa, jego styl działania i posty zamieszczane na Twitterze zdecydowanie pogłębiły polaryzację. W swoich tweetach prezydent popierał zwolenników QAnon, promował fake newsy, często nazywał media głównego nurtu (m.in. CNN, „New York Times") „wrogami ludu", co podkopywało zaufanie do tradycyjnych źródeł informacji, niszczyło wiarygodność państwa i wzmacniało alternatywne fora internetowe. Ponadto nadużywanie przez niego takich haseł, jak *witch hunt* (polowanie na czarownice), *deep state* (głębokie państwo, w domyśle sabotujące jego prezydenturę) czy *hoax* (mistyfikacja) utrwalało narrację o ukrytym spisku.

Pandemia COVID-19, w czasie której rozgrywa się akcja „Eddington", jeszcze pogłębiła tę nieufność.

Era Trumpa nie stworzyła teorii spiskowych od zera, wykreowała za to idealne warunki dla ich rozprzestrzeniania się. Prezydent legitymizował rozmaite półprawdy, platformy technologiczne je rozdmuchiwały, głęboko spolaryzowane społeczeństwo było na nie podatne. To sprzężenie doprowadziło do tego, że teorie spiskowe przestały być marginalnym zjawiskiem, a stały się istotnym elementem mainstreamowej polityki.

Doszło do tego, że Trump i jego sojusznicy sugerowali, że demokraci i/lub ich sojusznicy celowo wykorzystali Covid-19 dla własnych korzyści politycznych, aby zaszkodzić jego prezydenturze i szansom na reelekcję.

Trump wielokrotnie twierdził, że lockdowny i inne restrykcje były nadmiernie promowane przez Demokratów nie ze względu na bezpieczeństwo czy zdrowie, ale po to, by sparaliżować gospodarkę, która była jednym z głównych atutów Trumpa w wyborach 2020 r. Chociaż Trump nie oskarżył demokratów wprost o stworzenie wirusa w laboratorium, to popierał teorię o jego laboratoryjnym pochodzeniu z Wuhan, często łącząc to z insynuacjami wobec swoich przeciwników. Nazywał SARS-CoV-2 „wirusem chińskim" lub „kung flu", oskarżając Chiny o ukrywanie prawdy i celowe rozprzestrzenienie choroby. Często dawał do zrozumienia, że Chiny mogły to zrobić, aby pomóc Demokratom w pokonaniu go w wyborach. Przekonywał, że szpitale i lekarze zgłaszają zawyżone liczby zgonów, aby zarobić więcej pieniędzy lub sprawić, by statystyki wyglądały źle dla niego.

Na świecie zaczęło krążyć bardzo dużo dziwnych teorii, szczególnie związanych z technologią. Jest taki termin wymyślony przez Douglasa Rushkoffa, amerykańskiego teoretyka mediów. Analizując, dlaczego zachodnie społeczeństwa zostały zdominowane przez wielkie korporacje i pozostają od nich całkowicie zależne, Rushkoff nazwał sztuczną inteligencję „bezpośrednim wzmacniaczem" tych procesów.

AI można wytrenować na dowolnych treściach, także rasistowskich, ksenofobicznych, homofobicznych, seksistowskich. To budzi przerażenie. Upadek religii, kryzys autorytetów, kwestionowanie prawdy dołożyły swoje.

Religia nie umarła, tylko po prostu rozproszyła się na drobne chaotyczne systemy wiary. Ludzie wierzą w marki, influencerów, rytuały wellness, teorie spiskowe. Nie sądzę, żebyśmy potrafili sensownie zracjonalizować to, co się stało i ku czemu zmierzamy. A dzieje się coraz gorzej. Ze strachu i bezradności zamykamy się we własnych systemach odpowiedzi. Dysponujemy zbyt dużą liczbą informacji, lęk przed nieznanym nas paraliżuje. Żeby zachować względną wolność, udowadniamy swoją rację krzykiem. A jak wszyscy zaczynają krzyczeć, nikt nikogo nie słucha. I nic się nie podoba. Stąd atmosfera gniewu, konfuzji, histerii, którą łatwo podsycać i kontrolować. Chciałem, żeby mój film był refleksją na ten temat, pokazującą, jak szybko przyzwyczajamy się do życia w zaburzonej rzeczywistości.

W zasadzie bohaterowie wszystkich pana filmów panicznie boją się utraty niezależności, cierpią z powodu egzystencjalnego kryzysu, który objawia się schizofrenią, depresją albo paranoją. Skąd ta obsesja zajmowania się tego rodzaju stanami?

Myślę, że są one logiczną odpowiedzią na brak sensu. W „Eddington" szeryf (grany przez Joaquina Phoenixa), z pozoru patriota i czuły mąż kobiety skrzywdzonej przez innego mężczyznę, próbuje znaleźć uzasadnienie dla nieprzyjemnych zdarzeń, bo tylko wtedy może udawać, że jego życie posiada jakąś zwartą i wyrazistą strukturę. Paranoja to nic innego jak akt wiary, że za światem stoi określony porządek. Niestety, zamykając się w swojej bańce, nie sposób uzgodnić, co jest prawdziwe. „Eddington" pokazuje, jak to jest istnieć w świecie, w którym fakty niewiele znaczą, a ustalenie wspólnego mianownika przekracza czyjekolwiek możliwości. I co się dzieje, gdy ludzie popadają w konflikty.

Co pana zdaniem najbardziej dzieli dziś Amerykę?

Brak wspólnego języka. To, że słowa znaczą coś innego dla każdej ze stron. Na przykład wolność może stanowić broń albo obietnicę. Empatia może być odebrana jako akt przemocy. To, że się słyszymy, nie oznacza, że się rozumiemy.

Czy jako artysta czuje pan odpowiedzialność za odbudowanie zgody?

Nie jestem kaznodzieją. Nie chcę uczyć ludzi, jak mają żyć. Ale wierzę, że kino może tworzyć przestrzenie, w których ludzie zatrzymają się na chwilę i zamilkną. Cisza w multipleksie, ta chwila skupienia, zanim rozlegną się brawa lub buczenie – to może być moment kluczowy, inicjujący rozmowę. ▶

Ari Aster (ur. 1986 r.) – amerykański reżyser specjalizujący się w artystycznych horrorach na pograniczu czarnej komedii i dramatu społecznego. Urodził się w żydowskiej rodzinie w Nowym Jorku w 1986 r. Za brak postępów w nauce został wyrzucony z liceum w Santa Fe. Ukończył University of Art and Design oraz American Film Institute w Los Angeles na wydziale reżyserii. W dorobku ma m.in. cztery pełnometrażowe fabuły: „Dziedzictwo. Hereditary", „Midsommar. W biały dzień", „Bo się boi" i „Eddington".

eprasa.pl 9042e7cb93

▶ Co jeszcze łączy pańskich bohaterów – od Annie w „Hereditary", przez Dani w „Midsommar", po Beau i bohatera „Eddington"?

To ludzie, którzy nie potrafią w pełni uczestniczyć w rzeczywistości. Wszyscy są uwięzieni między wewnętrznym chaosem a społeczną konwencją. Annie z „Hereditary" jest matką niepotrafiącą kochać, chociaż czuje, że powinna. Dani w „Midsommar" to dziewczyna, która szuka wspólnoty, ale znajduje kult. Beau to człowiek, który został odarty z podmiotowości. A szeryf z „Eddington" przestał rozumieć, czym jest prawda. Wszyscy oni żyją w jakimś stanie zawieszenia między tym, kim są, a kim ich nauczono być. I wszyscy – mniej lub bardziej – przechodzą przez piekło będące projekcją ich wewnętrznego zagubienia.

Portretowanie amerykańskich neurotyków sprawia panu przyjemność?

Dla mnie ważniejsze są sceny, w których ktoś nie potrafi wejść w interakcję z matką lub partnerką, niż te, w których herosi ratują świat. Amerykańska kultura zbudowana jest na micie kompetencji, samodzielności, skuteczności. Moje postaci nie pasują do tego mitu. Są jego ofiarami.

Joaquin Phoenix wciela się w nie perfekcyjnie. Co sprawia, że ten aktor jest dla pana tak ważny?

W „Bo się boi" potrzebowałem kogoś, kto odda absolutną bezradność, a jednocześnie nie wpadnie w groteskowy ton. Joaquin potrafił zagrać wyalienowanego neurotyka lękającego się własnego cienia i sprawić, że widz się nie śmieje, tylko zaczyna razem z nim dygotać ze strachu. W „Eddington" jego twarz staje się barometrem cywilizacyjnego zmęczenia – jest jak ekran, na który można rzucić każdą traumę.

Phoenix stanowi zaprzeczenie macho, nie jest symbolem siły ani sukcesu. Jest ikoną rozkładu.

Tak, ale nie nihilistycznego, tylko egzystencjalnego. Joaquin wyraża emocje człowieka tracącego pewność, że jego życie ma określony plan i kierunek. Twarz aktora stała się zwierciadłem cierpienia. Myślę, że wielu współczesnych mężczyzn – i nie tylko mężczyzn – patrzy na niego i widzi siebie.

Jakby pan określił swój stosunek do American Dream?

To piękna fikcja, którą odziedziczyliśmy jak mebel po dziadkach – nie pasuje do wystroju, lecz szkoda wyrzucić. W moich filmach pokazuję tych, którzy próbowali w American Dream wierzyć, niestety system ich zawiódł. Nie są to marzenia wielkie, ale właśnie przez to, że się nie spełniają, bardziej bolą. Szeryf z „Eddington" chce dobrze, jednocześnie nie dostrzega, co go naprawdę motywuje. Z drugiej strony w finale pojawia się ironiczne nawiązanie do sentymentalnej mitologii westernu. A sentymentalizm jest niebezpieczny, bo można z jego pomocą usprawiedliwiać okropne rzeczy.

Pana filmy przypominają psychoanalizę prowadzoną na oczach widza. Jak bardzo pańska twórczość jest autobiograficzna?

Nie piszę scenariuszy z założeniem: to będzie o mnie. Ale zawsze – prędzej czy później – okazuje się, że to jest o mnie. Pewne tematy wracają, niezależnie od konwencji: lęk przed porzuceniem, poczucie winy, niemożność zbudowania zdrowej relacji z bliskimi, przemoc emocjonalna, którą traktujemy jako normę. To wszystko są problemy, które znam nie tylko z książek. Kiedy pracowałem nad „Hereditary", wciąż przeżywałem nieprzepracowaną żałobę. „Midsommar" napisałem po najbardziej wyniszczającym rozstaniu w moim życiu. „Bo się boi" to list miłosno-nienawistny do mojego dzieciństwa i do matki. A „Eddington" to film o człowieku, który tak bardzo chciał być sobą, że postanowił tych, którzy mu to uniemożliwiają, wyeliminować. Za każdym razem próbuję zrozumieć, co się ze mną dzieje i dlaczego nigdy nie czuję się naprawdę u siebie w domu.

Czy dzieciństwo było dla pana czasem tortury?

Było czasem ogromnego napięcia. Mój ojciec był muzykiem jazzowym. Wrażliwym, jednak nieobecnym. Matka, poetka, była religijna, bardzo emocjonalna, niemniej jej miłość zawsze miała w sobie coś przerażającego. To nie była ciepła opieka, tylko rodzaj surowej kontroli podszytej troską. Przez lata próbowałem to zrozumieć. I myślę, że „Bo się boi" jest tego wyrazem. Nie zadaję w nim pytania: „czy matka mnie kochała?", tylko „czy wolno mi jej nie kochać?". To znacznie trudniejsza kwestia. Zwłaszcza w amerykańskiej kulturze, gdzie matka jest świętością.

Często czuje się pan obcy w świecie innych ludzi?

Prawie zawsze *(śmiech)*. W szkole byłem wycofany, nadwrażliwy, nie pasowałem do żadnej grupy. Nie rozumiałem gierek prowadzonych przez inne dzieciaki. Miałem za dużo lęków, za mało obronnych masek. W domu otaczało mnie trudne do zdefiniowania napięcie. Czułem się, jakbym żył pod wodą, wszystko działo się jakby przez szybę. Myślę, że kino stało się dla mnie sposobem na wynurzenie się.

Wrażliwość artysty zawsze wynika z cierpienia?

Nie jestem pewien. Ale cierpienie pogłębia uwagę. Sprawia, że patrzymy na świat nieufnie, czujnie, z większą intensywnością. A to z kolei rodzi potrzebę opowiadania, żeby uporządkować chaos. Nie wierzę w cierpienie jako fetysz, ale wierzę w jego siłę poznawczą. I w to, że sztuka może być jego przekształceniem. Moim ideałem jest kino, które nie potrzebuje biografii autora, żeby być osobiste.

Czy „Eddington" zawiera też jakieś elementy autobiograficzne?

Tak, choć w mniej oczywisty sposób. Moja rodzina mieszka w Nowym Meksyku i tam dorastałem; tam spędziłem okres dojrzewania. W 2020 r. strach przed covidem sprowadził mnie z powrotem do domu. Okazało się, że ci, których dobrze znałem, nagle zaczęli działać według nowych algorytmów. W ogóle nie mogliśmy się ze sobą porozumieć. Kiedy pandemia osiągnęła apogeum, zwątpiłem, że dożyję końca lockdownu, czułem, że świat, który znam, definitywnie się kończy. Postanowiłem to opisać. Zawsze też chciałem nakręcić film o Nowym Meksyku. I tak powstał rodzaj westernu.

Co pana zdaniem odróżnia intymność od ekshibicjonizmu w sztuce?

Intymność zakłada, że coś naprawdę ważnego zostało przepracowane i przekształcone w formę. Ekshibicjonizm to obnażenie bez filtra, które czasem może być interesujące – ale rzadko bywa głębokie. Staram się, żeby moje filmy były jak sny: osobiste, nieoczywiste, ale też otwarte na interpretację. To nie jest moja terapia. To jest dialog – między mną a widzem. I jeśli widz coś w tym odnajduje – nawet jeśli tego nie planowałem – to znaczy, że film się udał.

Gdyby miał pan opisać swoje kino jednym zdaniem, co by pan powiedział?

To są opowieści o dziecku, które bardzo chciało być kochane, i o dorosłym, który próbuje zrozumieć, dlaczego to było tak trudne.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI

eprasa.pl 9042e7cb93

Bez cudu nad Wisłą

PIOTR SARZYŃSKI

W wizji PiS było miejsce na łuk triumfalny, monumentalny pomnik oraz muzeum. Wszystkie sławiące zwycięstwo nad bolszewikami. Właśnie udało się zrealizować ostatni z pomysłów, choć poślizg jest duży, a efekt... taki sobie.

Pomnik miał stanąć na warszawskim reprezentacyjnym placu Na Rozdrożu. Ogłoszono i rozstrzygnięto nawet konkurs, a zwyciężył kontrowersyjny projekt Mirosława Nizia. Z kolei lansowany przez ówczesnego ministra kultury Piotra Glińskiego pomysł triumfalnego łuku oddano bez konkursu w ręce specjalizującego się w projektowaniu kościołów architekta Marka Skrzyńskiego. Ta idea wzbudziła jeszcze więcej kontrowersji i także ostatecznie umarła śmiercią naturalną. Muzeum Bitwy Warszawskiej 1920 r. miało więcej szczęścia i uroczyście otworzono je 16 sierpnia w Ossowie pod Warszawą. W pobliżu miejsca, w którym rozegrała się legendarna bitwa, znana w literaturze jako „cud nad Wisłą".

Losy projektu są długie i zawiłe. Już w 2017 r. sfinansowanie muzeum i jego otwarcie w okrągłą rocznicę bitwy zapowiedział publicznie ówczesny minister obrony narodowej Antoni Macierewicz. Ale sprawy toczyły się dość opornie.

Jeden z kilku autentyków Muzeum Bitwy Warszawskiej 1920 r.: płaszcz i czapka marszałka Piłsudskiego. Powyżej: **muzeum stanęło w miejscu dawnej bitwy, czyli... pośrodku niczego.**

Z opublikowanego swego czasu przez OKO.press reportażu wynika, że głównym zabiegającym o postawienie owego symbolu zwycięstwa nad „falą ze Wschodu" był architekt Czesław Bielecki, blisko związany z PiS, swego czasu kandydat partii na prezydenta Warszawy. I się doczekał. Ogłoszony w 2017 r. konkurs architektoniczny na koncepcję nowego muzeum wygrał właśnie Bielecki. Zdaniem obserwatorów inaczej być nie mogło. Po pierwsze dlatego, że konkurs miał charakter zamknięty, zaproszono doń tylko sześć pracowni projektowych. Po drugie, na opracowanie koncepcji dano im zaledwie... 10 dni. Oczywiście nikt nie zdążył – z wyjątkiem pracowni Bieleckiego, która od dawna miała wszystko przygotowane, włącznie z efektowną makietą.

Jak rosły koszty

Pomimo zapewnień władz prace nad budową muzeum szły niespiesznie, nad wszystkim ciążył konflikt Czesława Bieleckiego z dyrektorem Muzeum Wojska ▶

© ANNA GLEN/MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO (2)

eprasa.pl 9042e7cb93

▶ Polskiego Adamem Buławą, czyli formalnym inwestorem nowej placówki. Szybko więc trzeba było zrezygnować z fety jubileuszowej 2020 r., a do oficjalnego przekazu trafiały kolejne daty otwarcia: 2022, 2023, 2024 r. Co ciekawe, budowę muzeum powierzono Agencji Mienia Wojskowego Sineria, powstałej zaledwie kilka lat wcześniej, a przed otrzymaniem tego zlecenia chwalącej się tylko dwiema, umiarkowanie imponującymi realizacjami: biurem przepustek w Dęblinie oraz strzelnicą w Mikuszowicach.

W 2019 r. podjęto decyzję o uaktualnieniu koncepcji muzeum, którą ponownie wygrało biuro Czesława Bieleckiego – choć wyceniło tę pracę na 3,5 mln zł, podczas gdy konkurencja gotowa była zmieścić się w 2 mln zł. Pierwotna wizja nieco zubożała (np. dwa maszty flagowe, zaprojektowane na 100 m wysokości, trzeba było skrócić do 70 m), ale ostateczne koszty budowy mimo wszystko spuchły, początkowo do 200, a ostatecznie do 300 mln zł. Aż trudno uwierzyć, że wstępne szacunki, poczynione jeszcze w 2017 r., zakładały, że całość (budowa i wyposażenie) kosztować będzie ok. 30 mln zł. Nawet uwzględniając inflację, dziesięciokrotne przebicie musi budzić szacunek pełnym dezynwoltury rozmachem. Podobnie jak w przypadku konkursu architektonicznego, także konkurs na projekt wystawy wzbudził wiele kontrowersji. Wygrała go rekomendowana przez SARP wizja przedstawiona przez biuro NM. Decydenci nie zaakceptowali jednak tego wyboru i zadanie powierzyli – już bez konkursu, tylko w drodze negocjacji – Group AV.

Małe, ale napuszone

Muzeum rodziło się w bólach, a to, co przyszło na świat, dalekie jest od doskonałości. Noworodki zaraz po przyjściu na świat ocenia się w skali Apgar. Zastosujmy do tych narodzin własną skalę, oceniając owo świadectwo „cudu nad Wisłą" w czterech wymiarach. Zacznijmy od walorów urbanistycznych. Typowe dla rodaków myślenie magiczno-symboliczne sprawiło, że muzeum postanowiono ulokować dokładnie w miejscu dawnej bitwy, czyli... pośrodku niczego. Dlaczego nie w pobliskim Wołominie, posiadającym stację kolejową i lepszy dojazd trasą szybkiego ruchu, Bóg jeden raczy wiedzieć. Dojazd jest więc skomplikowany, otoczenie nieciekawe, do bólu monotonne, na styku rozległych łąk i przaśnej, wiejskiej jednorodzinnej zabudowy.

Sam budynek muzeum nie jest zbyt wielki, liczy sobie bowiem 4,8 tys. m kw. powierzchni użytkowej, z czego 1 tys. m kw. zajmuje sama ekspozycja (sporo miejsca poszło na hol wejściowy i schody). Dla porównania: Muzeum II Wojny Światowej jest blisko pięciokrotnie większe, a Muzeum Historii Polski – dziewięciokrotnie. Mimo to całość sprawia wrażenie dość monumentalne i z lekka napuszone. Z kilku zresztą powodów. Po pierwsze, budynek niejako wtopiono w specjalnie usypany 17-metrowy kopiec. Naturalnie więc góruje nad otoczeniem i wydaje się większy, niż jest w rzeczywistości. Po drugie, pompatyczności dodaje też konsekwentny porządek zagospodarowania otoczenia. Od frontowej osi głównego budynku wszystko jest perfekcyjnie symetryczne: drogi dojazdowe, chodniki, schody, alejki spacerowe, ściany oporowe, nawet miejsca parkingowe. Po bokach wspomniane już maszty sztandarowe, od tyłu zaś taras widokowy i amfiteatr na 2,7 tys. osób. Nie uniknięto kilku ewidentnie nieudanych rozwiązań. Jak choćby ulokowanie dużego parkingu bezpośrednio przed budynkiem czy wyraźne przeskalowanie ścieżek spacerowych wokół budynku. **Ocena: 3/5**.

Historyczny terminal

Przejdźmy do architektury. Sam gmach ma kształt prostopadłościanu, przy którym krytykowana za prostotę bryła stołecznego MSN wydaje się szaleńczo rozrzeźbiona. Przed skojarzeniami z bunkrem bronią go przeszklenia ścian, z gigantycznymi szybami od frontu.

Dominują materiały, które jeszcze dekadę czy dwie temu uważano w architekturze za modne, acz bardzo zimne: stal kortenowska oraz naturalny beton architektoniczny. Ową konwencję surowości nieznacznie przełamują tylko umieszczone w holu i na schodach ciemnozielone marmurowe płyty. Złośliwi mówią, że budynek przypomina lotniczy terminal tanich linii w mieście średniej wielkości. Tak źle nie jest, ale dobrze także nie. Zewnętrznej architekturze brakuje finezji i oryginalności, natomiast struktura wewnętrzna (hol wejściowy, schody, sale wystawowe) powtarza dominującą na zewnątrz nutę patosu. Wprawdzie w skromnej skali, za to bez kompleksów. **Ocena: 3/5** (lekko naciągane).

A co z samą aranżacją ekspozycji? Niestety, nie znam zwycięskiego, choć odrzuconego, projektu biura NM. O tym, który został zrealizowany, można napisać: elegancki, ale bez polotu. Zdecydowano się na dość zachowawczą, klasyczną konwencję, w której główną rolę grają eksponaty pomieszczone w gablotach, plansze poglądowe (nieliczne mają charakter interaktywny), zdjęcia. Gdyby nie liczne ekrany na ścianach, można by pomyśleć, że zwiedzamy Muzeum Wojska Polskiego w czasach PRL. Niemal całkowicie zrezygnowano z tego, co składa się na tak popularne dziś tzw. muzeum narracyjne. Myślę o takich walorach, jak interaktywność, odwoływanie się do emocji, immersyjność, scenograficzne aranżacje, symulacje, łączenie historii ze współczesnością, wydarzenia widziane z różnych perspektyw itd. Być może uznano, że temat jest zbyt poważny, by go teatralizować. Ale przypomnę, że narracyjną formułę z powodzeniem zastosowano w muzeach, które także traktują o gatunkowo ciężkich wydarzeniach z historii: Powstania Warszawskiego, II Wojny Światowej czy Fabryki Schindlera. Może więc zabrakło wyobraźni, a może czasu? **Ocena: 2/5.**

Ową konserwatywną formę ekspozycji mogłaby jeszcze uratować jakość zgromadzonych eksponatów. Ale i tu także trudno mówić o sukcesie. Jest oczywiście kilka hitów, jak wojskowy płaszcz i czapka marszałka Józefa Piłsudskiego czy sztandar armii sowieckiej zdobyty na polu walki. Jest też kolekcja polskich i radzieckich plakatów propagandowych (niestety, część to kopie) ujawniająca, jak wojnę widziano po obu stronach frontu. Ale już wszystkie najbardziej atrakcyjne eksponaty to repliki: samochód pancerny, czołg czy samolot. Poza tym zebrano to, co w oczywisty sposób kojarzy się z bitwą: karabiny i pistolety, odznaczenia, elementy wyposażenia osobistego żołnierzy. Jest sporo fotografii i filmów. Niestety, te ostatnie postanowiono wyświetlać równolegle na 18 ekranach umieszczonych ciasno obok siebie na jednej ścianie. Efekt oczopląsu gwarantowany. Jest i nieco obrazów, choć o arcydziełach trudno mówić. Temat: przede wszystkim śmierć księdza Skorupki. **Ocena: 2,5/5**.

Koniec epoki

Trudno nie docenić faktu, że oto powstało muzeum, które jest świadectwem naszego militarnego sukcesu, a nie klęski. Z drugiej strony – odnosi się wrażenie, że forma przerosła treść, względy

eprasa.pl 9042e7cb93

Gdyby nie liczne ekrany na ścianach, można by pomyśleć, że zwiedzamy Muzeum Wojska Polskiego w czasach PRL...

ideologiczne pokonały zdrowy rozsądek, a całe te zbiory dałoby się z powodzeniem umieścić w jednej większej sali Muzeum Wojska Polskiego na warszawskiej Cytadeli. Lepsza frekwencja gwarantowana, nie mówiąc o zaoszczędzonych 300 mln.

Wspomniane Muzeum Wojska Polskiego na Cytadeli (Muzeum w Ossowie jest jego filią) oraz sąsiadujące z nim Muzeum Historii Polski wydają się zamykać etap budowania w Polsce wielkich, nowych muzeów. Etap, w ramach którego doczekaliśmy się głównie placówek upamiętniających historię: Muzeum POLIN, Muzeum Śląskie czy Muzeum II Wojny Światowej. Powoli także kończy się czas nowych muzeów średniej wielkości jak to w Ossowie. Przed nami jeszcze fety (prawdopodobnie w 2026 r.) związane z otwarciem Muzeum Westerplatte i Muzeum Powstania Wielkopolskiego. Jeśliby dodać oddane w minionej dekadzie placówki (m.in. Muzeum Żołnierzy Wyklętych, Muzeum Piłsudskiego, Muzeum Martyrologii Wsi Polskiej, Muzeum Sybiru, Muzeum Polaków Ratujących Żydów podczas II Wojny Światowej im. Rodziny Ulmów w Markowej), to nurt martyrologiczny mamy już bardzo dobrze „umuzealniony". Domknie go Muzeum bł. ks. Jerzego Popiełuszki, którego otwarcie planowane jest na 2027 r. w miejscu urodzenia księdza w Okopach.

Co dalej? Generalnie brakuje w kraju artefaktów i eksponatów, by myśleć o tworzeniu nowych znaczących muzeów. Chyba że będą to placówki na wskroś narracyjne, w których liczy się atrakcyjnie i nowocześnie przekazana opowieść, a nie pamiątki czy oryginalne dzieła sztuki. Można się spodziewać, że niektóre samorządowe istniejące muzea będą się przenosić do nowych, lepszych siedzib mieszczących się w odrestaurowanych budynkach, np. zabytkowych lub poprzemysłowych. Tak jak Muzeum Sybiru trafiło do dawnych magazynów wojskowych, a Muzeum Bursztynu – do historycznego Wielkiego Młyna.

Powstawać i rozwijać się zapewne będą, często pod opieką miejskich samorządów, nieduże placówki zapełniające jakąś niszę. Najlepszym przykładem jest warszawskie Queer Muzeum. Ciągle niespełnioną, acz oczekiwaną nadzieję wiąże się z gromadzącymi różnorakie zbiory kolekcjonerskie muzeami prywatnymi. Już teraz ponadlokalną popularność zdobyły takie miejsca, jak założone w 1995 r. Muzeum Motoryzacji i Techniki w Otrębusach czy powstała w 2010 r. Villa La Fleur w Konstancinie-Jeziornie gromadząca sztukę z kręgu École de Paris. Ciągle jednak tylko nieliczni kolekcjonerzy decydują się publicznie udostępniać swoje zbiory. Miłośnicy sztuki wiele obiecują sobie po mającym powstać w podwarszawskich Oborach, według projektu wielkiego włoskiego architekta Renzo Piana, muzeum gromadzącym imponującą kolekcję sztuki rodziny Staraków. Być może byłby to dobry impuls dla tych, którzy na razie swoje, niekiedy prawdziwie imponujące, zbiory trzymają pod korcem w okazałych podwarszawskich, podpoznańskich czy podwrocławskich rezydencjach.

PIOTR SARZYŃSKI

© ANNA GLEN/MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

eprasa.pl 9042e7cb93

Ustawianie fortepianów

Wielu niespodzianek możemy się spodziewać po najmłodszych pianistach, także po 21-letnim Mateuszu Dubielu

© ŁUKASZ GĄGULSKI/PAP, NIFC, TYTUS ŻMIJEWSKI/PAP

Już za miesiąc 84 młodych pianistów z całego świata rozpocznie zmagania na 19. Konkursie Chopinowskim. W jakim stanie powita go polska pianistyka i czy jest szansa, by uczestników oceniano w pełni uczciwie?

DOROTA SZWARCMAN

Od 3 października na estradzie Filharmonii Narodowej zapowiada się ostra walka. Zgłoszenia w formie nagrań wideo przysłała rekordowa liczba kandydatów: 642 z 54 krajów. Przez pierwsze sito preselekcji przeszło 171 osób. W eliminacjach, które odbyły się na przełomie kwietnia i maja, wyłoniono 65 osób; kolejnych 20 zostało wpisanych na listę bez eliminacji – po raz pierwszy tak wiele.

Kto przyjedzie do Warszawy? Pianiści na różnym etapie rozwoju: od obiecujących 17-latków po 30-letnich wyjadaczy. Niemal każdy ze startujących ma za sobą sukcesy na innych międzynarodowych konkursach. W tym roku była ich kumulacja. Pojawią się więc laureaci III, IV i V nagrody na paryskim Konkursie im. Marguerite Long (Hyo Lee, Tiankun Ma i Eric Guo, ale też zwycięzca poprzedniej edycji sprzed trzech lat, Hyuk Lee, wyróżniony na Konkursie Chopinowskim w 2021 r.), parę osób wyróżnionych na Konkursie im. Królowej Elżbiety Belgijskiej w Brukseli (Shioki Kuwahara i Natalia Milstein) i finalista Konkursu Vana Cliburna w Fort Worth (Philipp Lynov).

Dzięki nagrodom z wybranych konkursów można było ominąć eliminacje. Ale nie wszyscy z tego skorzystali – np. nie pojawi się u nas nikt z laureatów zeszłorocznego konkursu w Leeds. Za to przyjedzie Eric Lu, znany świetnie polskiej publiczności laureat IV nagrody na Konkursie Chopinowskim w 2015 r. (miał wówczas 17 lat), który sukces na brytyjskim konkursie odniósł trzy lata później.

Nie on jeden wraca tu po dekadzie, ale jego powrót – osoby przecież już nagrodzonej – wzbudza powszechne zdumienie. Podobnie jak start również dobrze tu znanego Kevina Chena, zwycięzcy

eprasa.pl 9042e7cb93

dwóch dużych konkursów: im. Artura Rubinsteina w Tel-Awiwie (2023 r.) oraz w Genewie (2022 r.). Wydaje się, że sukces w Warszawie nie jest już im potrzebny, mają swoje ścieżki kariery – jednak startują. Świadczy to o wciąż wysokiej randze naszego konkursu.

Z drugiej strony wielu niespodzianek możemy się spodziewać po najmłodszych pianistach. Niektórzy już na eliminacjach pokazali niezwykle interesujące osobowości, świeże interpretacje i młodzieńczą naturalność – jak Chinka Yanyan Bao, Japonka Yumeka Nakagawa, Kanadyjka Athena Deng czy też najmłodszy, rewelacyjny Jacky Xiaoyu Zhang z Wielkiej Brytanii. Wśród polskich pianistów kimś takim wydaje się Mateusz Dubiel.

Zanik szkół pianistycznych?

W tym roku największa ekipa przyjeżdża na Konkurs Chopinowski z Chin – aż 29 osób. Na drugim miejscu są Polska i Japonia – po 13. Kiedyś w każdym kraju działali wyróżniający się pedagodzy, którzy wpisywali się w lokalne tradycje wykonawstwa. Mogliśmy mówić wówczas np. o szkole rosyjskiej czy polskiej. Dziś wszystko się przemieszało, pedagodzy zmieniają miejsca działania i coraz trudniej o jeden styl interpretacji kojarzony z danym krajem. Wiele zmian dokonało się też na skutek szerokiego upowszechnienia nagrań, zwłaszcza od czasu powstania serwisów streamingowych. Młodzi pianiści nader często sugerują się grą dawnych mistrzów i kopiują ją albo co najmniej się nią inspirują. Niejednokrotnie słuchając danego wykonawcy, można się domyślić, czyje interpretacje ostatnio odtwarzał sobie na YouTube czy Spotify.

Kolejne zmiany przyszły wraz z rozbudową i ekspansją rynku dalekowschodniego. Są w tamtym świecie osobne konkursy, także chopinowskie lub z obszernym uwzględnieniem twórczości Chopina, który jest tam uwielbiany. I coraz częściej już utalentowani adepci z tamtych krajów uczą się nie u pedagogów europejskich czy amerykańskich, ale u swoich azjatyckich rodaków.

Koreańczyk Yunchan Lim, sensacyjny zwycięzca konkursu Vana Cliburna w 2022 r. (miał wówczas 18 lat i był najmłodszą osobą, która kiedykolwiek tam wygrała), po tym sukcesie przeniósł się do Stanów na dalsze studia u swojego

Viet Trung Nguyen, pianista urodzony w Wietnamie, ale wychowany w Polsce i reprezentujący nasz kraj. Poniżej: **Hyo Lee, laureat III nagrody na prestiżowym paryskim konkursie im. Marguerite Long i Jacques'a Thibaud. Brat Hyuka Lee.**

koreańskiego profesora Minsoo Sohna, laureata kilku europejskich i amerykańskich konkursów, zaproszonego do kadry New England Conservatory of Music w Bostonie. Instytucją samą w sobie stał się dobrze nam znany Wietnamczyk Dang Thai Son, zwycięzca Konkursu Chopinowskiego z 1980 r., który obecnie mieszka w Kanadzie i wykształcił całą plejadę młodych pianistów, a jeszcze większy rozgłos zyskał po zwycięstwie w 2021 r. swojego studenta Bruce'a Liu. W tym roku w Warszawie pojawi się siedmioro jego uczniów (część z nich zresztą po raz drugi).

Wciąż nieźle ma się nowojorska Juilliard School i filadelfijski Curtis Institute. Także szkoła rosyjska, mimo wiadomych okoliczności, nadal budzi respekt. Młodzi pianiści z Rosji występują w Polsce „pod neutralną flagą" – jak Philipp Lynov, który uczył się u słynnej Wiery Gornostajewej. Także wielu adeptów z Azji studiuje lub studiowało w Moskwie (podobnie jak niegdyś Dang Thai Son). Aby przybliżyć się do Chopina, często wybierają też Polskę; najczęściej studiują u konkursowych jurorów: Katarzyny Popowej-Zydroń, Piotra Palecznego, Ewy Pobłockiej i Wojciecha Świtały. Biorą przy tym chętnie udział w polskich konkursach międzynarodowych w Bydgoszczy: „Artur Rubinstein in memoriam" oraz im. Paderewskiego.

Można tam wygrać całkiem niezłe nagrody, ale jest też większa korzyść: wspomniane ominięcie eliminacji do Konkursu Chopinowskiego. Wygląda na to, że w tym celu pianiści startują również w Międzynarodowym Konkursie Chopinowskim na Instrumentach Historycznych. Na podstawie przyznanych tam nagród w 2023 r. pojawią się w Warszawie: zwycięzca Eric Guo, laureat II nagrody Piotr Pawlak i zdobywca *ex aequo* III nagrody Yonghuan Zhong.

Konkursowe absurdy

Właśnie ta okoliczność zaskakuje *in minus* postronnych obserwatorów – wydaje się wytrychem przydatnym do forowania zwłaszcza polskich pianistów. Można bowiem zrozumieć przepuszczanie bez eliminacji laureatów tak ważnych konkursów, jak Vana Cliburna, Leeds, Hamamatsu, Królowej Elżbiety Belgijskiej w Brukseli, Artura Rubinsteina w Tel-Awiwie czy Ferruccia Busoniego w Bolzano. Trudno jednak traktować na równi z nimi polskie konkursy pianistyczne, a już zwłaszcza ogólnopolskie chopinowskie, które przecież nie są międzynarodowe. A takie zrównanie wynika z regulaminu.

Co więcej, mogą to być laureaci nie tylko z ostatnich lat. Z tej klauzuli skorzystał Eric Lu czy też Włoch Alberto Ferro, który otrzymał II nagrodę w Bolzano, również dekadę temu. Hyuk Lee zakwalifikował się nie dzięki wygranej w Paryżu (nie wiadomo zresztą, dlaczego ten konkurs nie jest w uprzywilejowanej grupie), tylko dzięki I nagrodzie na Konkursie im. Paderewskiego w Bydgoszczy, którą zdobył w 2016 r. Philipp Lynov wygrał ten konkurs dwa lata później i po raz drugi na tej podstawie wszedł na listę.

Jeszcze większe absurdy można zauważyć w kwalifikacji na podstawie Ogólnopolskich Konkursów Chopinowskich: tu wręcz w regulaminie podano, ▶

eprasa.pl 9042e7cb93

▶ że dotyczy to również konkursów sprzed 10 lat. Dzięki temu po raz trzeci pojawi się w październiku Andrzej Wierciński, obok swojego brata Krzysztofa, który zdobył II nagrodę w tym roku (wygrał Mateusz Dubiel). W 2018 r. zwycięzcą był Mateusz Krzyżowski, półfinalista poprzedniego „dużego" konkursu; będzie próbował po raz drugi. Podobnie Adam Kałduński, który na tym samym ogólnopolskim konkursie był drugi, po Krzyżowskim. Na podstawie zwycięstw w 2017 i 2020 r. dostał się na listę uczestników Piotr Alexewicz, również półfinalista z 2021 r. Co do tego ostatniego warto jednak zauważyć, że ten studiujący obecnie w Zurychu pianista odniósł w tym roku sukcesy w Stanach Zjednoczonych: otrzymał II nagrodę na konkursie w Hilton Head i był półfinalistą Vana Cliburna (i w ogóle pierwszym startującym tam Polakiem).

Polscy kandydaci mają też fory w postaci licznych recitali na festiwalach, dzięki którym mogą ograć program. Z 13-osobowej ekipy (licząc polskiego Wietnamczyka Viet Trung Nguyena) aż pięcioro przystępuje do konkursu po raz kolejny.

Z powrotami bywa różnie. Przykładem mogą być bohaterowie pamiętnego dokumentu Jakuba Piątka „Pianoforte": Michelle Candotti, która pojawiając się w Warszawie po raz trzeci, nie przeszła nawet eliminacji, i Hao Rao, który do konkursu przystąpi. Inna bohaterka, Leonora Armellini, na poprzednim konkursie, powracając po 11 latach, otrzymała V nagrodę – poprzednim razem uzyskała wyróżnienie.

Przykładem pozytywnego powrotu była też historia Amerykanina Kevina Kennera, obecnie członka chopinowskiego jury. Na konkursie w 1980 r. otrzymał wyróżnienie. Po dekadzie – II nagrodę (pierwszej nie przyznano). Tym samym pianista znalazł się w dwuznacznej sytuacji: niby zwycięzca, jednak nie zwycięzca. Przeżył to tak bardzo, że zainteresowały go mechanizmy oceniania na konkursach.

Jak oceniać bez skandali

Tu wkracza nazwisko, które poznaliśmy niedawno z zupełnie innego kontekstu. Dr Krzysztof Kontek zasłynął z protestu wyborczego po wyborach prezydenckich, opartego na własnej analizie wyników. Niewielu wie, że wcześniej zajmował się badaniem ocen na konkursach muzycznych. Wypomniał mu to ostatnio z właściwą sobie ignorancją Krzysztof Stanowski: „Cieszę się, że jedynie 582 000 złotych jest potrzebne słynnemu Krzysztofowi Kontkowi, aby zgłębić temat »uprzedzeń i manipulacji jurorów w konkursach muzyki klasycznej«". Chodzi konkretnie o grant z Narodowego Centrum Nauki, na który Kontek złożył wniosek wraz z prof. Honoratą Sosnowską. Został on przyznany, ale nie był wykorzystany – tego już Stanowski nie sprawdził – ponieważ Kontek rozstał się z SGH, która firmowała projekt (obecnie ma firmę informatyczną).

Wcześniej jednak z prof. Sosnowską opublikowali własne badania nad ocenami jurorów na Międzynarodowym Konkursie Skrzypcowym im. Henryka Wieniawskiego w 2016 r., w których udowodnili, że parę osób manipulowało wynikami. Kto śledził ten konkurs, pamięta, że tak właśnie było: pracami jury kierował wówczas Maxim Vengerov, a jednym z członków był jego dawny profesor Zakhar Bron, który rzeczywiście próbował wpływać na wyniki i wszedł przez to w konflikt ze swoim dawnym uczniem.

Tematem zajmowano się już wcześniej. Twórczyni polskiej psychologii muzyki prof. Maria Manturzewska badała pracę jury V Konkursu Chopinowskiego w 1970 r., odkrywając zależność ocen od miejsc i środowisk pochodzenia jurorów. Kontynuowała te prace prof. Małgorzata Chmurzyńska z zainicjowanego przez prof. Manturzewską, a dziś już nieistniejącego, Instytutu Psychologii Muzyki przy warszawskiej uczelni muzycznej. Ona z kolei sprawdzała uprzedzenia jurorów, czyli w jaki sposób wcześniej pozyskane informacje na temat danego wykonawcy (np. u kogo się uczył i jakie osiągnięcia ma za sobą) wpływają na ocenę jego gry. Okazało się, że nader często oceniający sugerują się bardziej tymi informacjami niż tym, co sami słyszą.

Za granicą do podobnych wniosków dochodzili badający Konkursy im. Królowej Elżbiety Belgijskiej, którzy wykryli, że także kraj pochodzenia czy płeć (zwykle gorzej oceniane są kobiety) mają wpływ na ocenę. Zresztą dotyczy to również opinii publicznej. Pamiętamy z Konkursu Chopinowskiego w 2010 r. przykład Yulianny Avdeevej, której zwycięstwo wiele osób wśród publiczności uznało za kontrowersyjne – można się domyślać, że wpływ na tę ocenę miał fakt, że jest Rosjanką, a zarazem pierwszą kobiecą triumfatorką od czasu Marthy Argerich, która wygrała 45 lat (!) wcześniej. Dziś polscy słuchacze odbierają ją już całkiem inaczej. Nawiasem mówiąc, to wszystko nie wydarzyłoby się, gdyby nie interwencja jurora, Fou Ts'onga, który ostro zaprotestował, gdy jury eliminacji nie zakwalifikowało Avdeevej (znał ją, była uczestniczką jego kursów). Została dopisana do listy i... wygrała.

Na tym samym konkursie wydarzył się też inny rażący incydent: II miejsce (*ex aequo*) otrzymał Austriak Ingolf Wunder, a firma Deutsche Grammophon właśnie z nim podpisała kontrakt, ignorując zwyciężczynię (i srodze się później na nim zawiodła). Tu zagrały liczne uprzedzenia i sugestie, w tym opinia jego pedagoga, a zarazem jurora Adama Harasiewicza, który choć nie mógł głosować na swojego ucznia, to jednak wypowiadał się szeroko w superlatywach na jego temat. Na trzecie miejsce wówczas spadł z tego powodu Daniil Trifonov, późniejszy triumfator kolejnych ważnych światowych konkursów.

Grant, o który się ubiegał Krzysztof Kontek, dotyczył stworzenia narzędzia informatycznego, które pomagałoby w uczciwym ocenianiu uczestników konkursów. Owo narzędzie stworzył we współpracy z Kevinem Kennerem, związanym jako profesor z uniwersytetem w Miami, który zapalił się do tego pomysłu. Wdrożono go już na paru konkursach, w których Kenner był przewodniczącym jury. Pierwszy był katowicki Konkurs im. Szymanowskiego w 2023 r. (efekty opisali we wspólnej pracy opublikowanej w „Journal of Cultural Economics"); w tym roku metodę zastosowano na Konkursie Chopinowskim w Miami oraz na Konkursie Chopinowskim „Borderland" w Teksasie.

Na czym polega? Z grubsza rzecz biorąc, na zapobieganiu manipulacjom. Jeśli widoczne jest np., że oceny któregoś z jurorów odbiegają w sposób rażący od głosów reszty, wówczas się go wyłącza. Czy to rzeczywiście coś daje? Na pewno, ale też bardzo uśrednia wynik. W 2010 r. nie byłoby może sytuacji z Wunderem, ale też z Avdeevą, bo nie brałaby udziału w konkursie.

Na najbliższym Konkursie Chopinowskim nie będzie eksperymentów. Pytanie, czy będą kolejne skandale?

DOROTA SZWARCMAN

eprasa.pl 9042e7cb93

Ewa Wójciak
(ur. w 1951 r.) – działaczka opozycyjna w czasach PRL, od 1970 r. członkini, razem z towarzyszącymi jej na zdjęciu Adamem Borowskim, Tadeuszem Janiszewskim i Marcinem Kęszyckim, poznańskiego Teatru Ósmego Dnia, legendy polskiego teatru alternatywnego, najpierw jako aktorka i reżyserka, potem także kierowniczka artystyczna i dyrektorka. W ubiegłym roku Ósemki obchodziły 60-lecie działalności. Książka Ewy Wójciak „Więcej niż teatr" ukaże się jesienią nakładem Wydawnictwa Miejskiego Posnania.

© ŁUKASZ CYNALEWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

Umieć powiedzieć nie

Młodzi mówią mi czasem, że mieliśmy lepiej, bo wróg był wyraźniejszy, a oni roztapiają się dzisiaj w tysiącu tematów – opowiada Ewa Wójciak, członkini legendarnego Teatru Ósmego Dnia, przed premierą autobiografii.

ARTUR DOMOSŁAWSKI: **– Lubisz, jak was, czyli grupę artystów Teatru Ósmego Dnia, porównują do Rolling Stonesów?**

EWA WÓJCIAK: – Nie bardzo, bo oprócz odwołań do rewolty '68 nic nas właściwie nie łączy.

Chodzi o waszą długowieczność jako grupy.

To chyba jedyne podobieństwo.

Nie marzyłaś o aktorstwie. To o czym?

Chciałam być adwokatką, śladami ojca. Adwokatura miała aurę szlachetnego zawodu, który służy pokrzywdzonym.

Z twojej książki zapamiętałem raczej, że chciałaś zostać rewolucjonistką.

Myślałam, że pytasz o zawód (*śmiech*). Tak, w latach 70. byłam przejęta walką zachodnioniemieckiej grupy Baader-Meinhof, włoskiej Lotta Continua, urugwajskich Tupamaros. W pewnym momencie miałam poczucie, że świat wkoło nas robił się coraz straszniejszy, nieznośny i – jak mi się wydawało – nikt tego nie widział i nie słyszał. Bomba wydawała mi się jedynym narzędziem, którym można by było ludzi obudzić. Nie chodziło o zabijanie, Baader-Meinhof (zachodnioniemiecka, ultralewicowa organizacja terrorystyczna – przyp. red.) zaczęła od wybuchu w pustym supermarkecie.

Aż tak bardzo PRL ci dopiekł?

To była szara, brzydka, monotonna rzeczywistość. Małe cele, małe marzenia. Mgła. Ludzie w półśnie.

Dlaczego utopistka zamieniła marzenie o rewolucji na teatr?

Na szczęście nie posiadałam wiedzy o konstruowaniu bomb, a ci z moich znajomych, którzy coś o tym wiedzieli, nie chcieli mi udzielać lekcji. Spotkałam na swojej drodze ludzi teatru, który manifestował niezgodę na rzeczywistość – i po długich zmaganiach ze sobą właśnie w teatrze skanalizowałam swój bunt. Jednak przełożenie tamtych emocji na ich ekspresję teatralną zajęło mi dużo czasu.

Piszesz, że spektakle miały być rzucanymi bombami. W kogo? W co?

W polityczne status quo, w konformizm społeczny, pewne stereotypy i tabu, które nas otaczały. Nasz teatr miał być wybuchowy jak rzucanie bomb. Ostry, krytyczny.

Artysta – jak piszesz – żyje ze swojego garbu, z tego, co go boli, z tego, co rozumie i o czym potrafi mówić. O czym były wasze przedstawienia?

To były przedstawienia przeciw ówczesnej rzeczywistości politycznej, przeciw despotyzmowi, dyktaturze. Ale też ▶

eprasa.pl 9042e7cb93

▶ o prawie człowieka do marzeń, do wolnego myślenia, podróżowania. Próbowaliśmy myśleć kategoriami świata, nie tylko własnego podwórka, a podróżowanie symbolizowało nasze marzenia najtrafniej.

Do jednego ze spektakli 25-letnia Ewa pisze taki test: „Istnieje granica rozpaczy, za którą już tylko wyje się o zadośćuczynienie, za którą się zabija. Każdej nocy rozmyślam nad sposobem zlikwidowania paru facetów stamtąd". Brzmi ponadczasowo.

Znam młodą kobietę, która wypowiedziała ten tekst całkiem niedawno – i dodała, że wyraża doskonale jej uczucia dziś.

Miałaś satysfakcję, że tekst „dobrze się zestarzał"?

Raczej się przeraziłam. Bo skoro on wciąż wyraża czyjeś uczucia, to znaczy, że rzeczywistość ciągle jest straszna.

Jak powstawały przedstawienia Ósemek? Czy teksty pisaliście wcześniej? Improwizowaliście? Jedno i drugie?

W czasie prób improwizowaliśmy, powstawały z tego sceniczne kolaże, a dopiero potem pisaliśmy tekst – rodzaj scenariuszowego zapisu improwizacji. Nadal pozostawał margines na coś spontanicznego, ale po jakimś czasie sceny czy wypowiadane kwestie utrwalały się i nadzwyczajnych zaskoczeń już nie było.

Robiliście teatr polityczny, zaangażowany, awangardowy. W książce pada jeszcze słowo „ludowy", które mnie zaskoczyło.

Ludowy, ponieważ poszliśmy w lud. Graliśmy np. we wrocławskim Dolmelu (fabryce maszyn elektrycznych – przyp. red.)między pierwszą a drugą zmianą. A w stanie wojennym – w kościołach. Czasem to była ta sama robotnicza publiczność wymieszana w kościele z inteligencją, ludźmi salonów kultury. To trwało dwa lata i było fascynującą przygodą.

Rozwikłasz dla młodszych czytelników tę sprzeczność: PRL był czasem zaduchu i konformizmu, a zarazem rozkwitu sztuki teatralnej i nie tylko?

Młodzi mówią mi czasem, że mieliśmy lepiej, bo wróg był definiowany i wyraźniejszy, a oni roztapiają się dzisiaj w tysiącu tematów i siła ich wyrazu nie jest tak duża jak nasza. W latach 70. teatr zaspokajał także potrzebę duchowej ucieczki, bo poza perspektywą małego Fiata i mieszkania nie było innej. Trudno o tym teraz mówić, bo wiem, że obecnie mieszkanie to dobro najczęściej niedostępne dla młodych.

Szara, brzydka rzeczywistość „motywowała" naszą wyobraźnię, musieliśmy ulatywać ponad nią, żeby żyć. Stąd pewnie obfitość różnych form teatralnych, artystycznych.

Kwestia mecenatu jest dziś trochę wstydliwie przykrywana – myślę, że niesłusznie, bo SZSP (Socjalistyczny Związek Studentów Polskich – przyp. red.) był przynajmniej na początku bardzo ideową organizacją, a jego liderzy – prawdziwie przejętymi kulturą mecenasami. Chcieli teatru takiego jak nasz, wspierali go i czasem zasłaniali własną piersią. Zdarzało się, że byliśmy z nimi w ostrym sporze, ale z perspektywy lat doceniam, że byli jednak niemałym wsparciem.

W latach 70., kiedy tworzyła się legenda Ósemek jako teatru buntu, największym guru teatru eksperymentalnego był Jerzy Grotowski.

Jego metoda polegała na sekwencjach ćwiczeń fizycznych, które stworzył pod wpływem technik Wschodu. Spędził jakiś czas w Indiach i wtedy to zakiełkowało. Ćwiczenia miały za zadanie wprawić organizm w stan bliski transowi i emocjonalnej gotowości stanięcia przed publicznością.

Chodziło o zrzucenie masek?

Nawet więcej – całkowite odsłonięcie się, ukazanie swojej bezbronności. To bardzo skuteczna metoda, o ile poważnie się do niej podchodzi. Ale trzeba być też czujnym, żeby zatrzymać się w odpowiednim momencie, nie wejść w jakąś psychodramę. Ona ma sens, gdy służy artystycznemu celowi. Przypuszczam, że dzięki tej metodzie mogłam być aktorką przez kolejnych 50 lat.

A zarazem byliście w opozycji do Grotowskiego w różnych sprawach.

Nasze przedstawienia powstawały kolektywnie. U Grotowskiego i jego uczniów rządził guru. Mężczyzna. Myśmy od początku na serio potraktowali pracę zespołową. Byliśmy też za bardzo anarchistami, żeby dać sobą kierować przez jakiegoś guru.

Potem irytowała nas okołoteatralna działalność Grotowskiego. Rzeczywistość społeczna była gorąca, wybuchowa, myśmy się z nią mierzyli, a on używał dziwnych, pojemnych metafor i żeglował ku jakimś duchowym azylom... Te grupowe wyprawy do lasu z nim jako guru wydawały nam się fałszywe. Myśmy też obcowali z przyrodą, jeździliśmy do lasu, robiliśmy sobie obozy twórcze w lesie, czytaliśmy, kochaliśmy spędzać tam czas. U Grotowskiego to były zorganizowane sesje, jak gdyby ludzie mieli po raz pierwszy doznać przyjemności bycia sam na sam z lasem, trawą, niebem. Nie kupowaliśmy tego.

W książce pada pytanie o komunę, która miała polegać na tym, że wszystko jest wspólnym dziełem, że razem pracujecie, razem mieszkacie, jesteście ze sobą przez dziesiątki lat i akceptujecie się wzajemnie. To była esencja Ósemek?

Ta komuna, wspólnota polegały na tym, że nasze działania nie ograniczały się do sztuki. Liczyła się jedność postawy – na scenie i w życiu. Empatia, wrażliwość społeczna towarzyszyły nam nie tylko w trakcie przedstawienia, ale w codziennym życiu. Organizowaliśmy spotkania, wystawy, dyskusje. Udzielaliśmy w teatrze miejsca różnym inicjatywom, braliśmy udział w demonstracjach. Wraz ze spektaklem nie kończyło się nasze zainteresowanie podjętym tematem. Jeszcze w latach 70. zatrzymałam się kiedyś u Adama Michnika i w pewnym momencie późnym wieczorem widzę, że zbiera się do wyjścia. Dokąd idziesz, spytałam. Pokręcić korbą powielacza, odpowiedział. To było mi bliskie. Robiliśmy spektakl, a równocześnie angażowaliśmy się w działalność podziemną.

Po roku '89 nie zrezygnowaliście z formuły teatru politycznie zaangażowanego. Dlaczego?

Pasja nie przechodzi wraz z poprawą materialnego bytu. A i rzeczywistość nie pozwalała nam, byśmy zajęli się czymś innym. Skrzeczała – w innych rejestrach, innymi dźwiękami, ale też dojmująco. Na początku pierwszej dekady po zmianie ustroju zauważyliśmy od razu straszną ekspansję Kościoła. Byliśmy wstrząśnięci – tym bardziej że mieliśmy za sobą epizod grania w kościołach. Pamiętaliśmy Kościół tolerancyjny dla nas, niewierzących, a tu nagle objawił się on z całą swoją wyższością. Drapieżny. Zrobiliśmy przedstawienie plenerowe „Sabat" poświęcone inkwizycji. Przeczuwaliśmy, że nadchodzą czasy Kościoła, który zaczyna się coraz bardziej rozglądać za władzą i pieniędzmi.

Z doświadczenia obu Polsk – tej przed i po '89 roku – powstał też spektakl „Teczki". Pokazaliście, jakie represje dotykały was w okresie PRL, a równocześnie sprzeciwialiście się temu, w jaki sposób archiwa esbeckie są

eprasa.pl 9042e7cb93

wykorzystywane w politycznych intrygach.

Staraliśmy się obśmiać represyjny system. On nam oczywiście doskwierał, prześladował nas, ale był też groteskowy, głupi, śmieszny. I tak jak trzeba było się wtedy przed nim ratować, tak w nowej Polsce trzeba było ratować się przed teczkami używanymi w rozgrywkach politycznych – też groteskowych i głupich. Próbowaliśmy zachować ten sam rodzaj dystansu i humoru – śmiech bywa zbawczy; czasem tylko on nam zostaje.

Z wiekiem ludzie zazwyczaj stają się bardziej konserwatywni, ale wy zachowaliście zdolność mówienia „nie". W spektaklu z okazji 60. rocznicy teatru „Nic nie wiemy na pewno" sprzeciwiacie się ksenofobii, a kontekstem jest wschodnia granica i wrogość wobec uchodźców. Ale wygłaszasz też ze sceny monolog przeciw „cancelowaniu" rosyjskich pisarzy, którzy byli dla was ważni. I pojawiają się fotografie z Gazy. Czy płynięcie pod prąd wiąże się i dziś z ryzykiem szykan?

Największy punkt zapalny pojawił się poza sceną. Była nim obelga, którą (w 2013 r. – przyp. red.) rzuciłam pod adresem papieża Franciszka, tuż po jego wyborze, z powodu jego uwikłań w czasie rządów junty wojskowej w Argentynie. W Poznaniu (gdzie mieści się teatr – przyp. red.) duże wpływy miała wtedy prawica, zaczęło się ode mnie, a skończyło na podważaniu repertuaru teatru i obcięciu nam dotacji. Potem je przywrócono – szczęśliwie Poznań miał nie tylko radnych z prawicy.

Twoja książka jest również opowieścią kobiety w męskim świecie. W pewnym momencie rewolucjonistka decyduje się zostać matką. Jakie to miało skutki dla rewolucjonistki?

Przez pierwsze lata pracy w teatrze i działalności społecznej towarzyszyła mi jakaś podświadoma chyba mądrość – nie wyobrażałam sobie wtedy, bym mogła mieć dzieci. To, jak sądziłam, musiałoby wpływać na moje decyzje, na odwagę, stopień zaangażowania. Bałam się, że konsekwencje spadną na dzieci. Zdecydowałam się zostać matką dopiero w drugiej połowie lat 80. Tak jak moi przyjaciele z teatru myślałam wtedy o wyjeździe z Polski, co w końcu się stało. Na emigracji, głównie we Włoszech, spędziliśmy kilka lat. Oczywiście konsekwencje naszej działalności spadały na innych członków naszych rodzin. Moja siostra, która była sędzią, dotkliwie odczuła zaangażowanie swojej nieprawomyślnej siostrzyczki.

Coś jeszcze chciałabyś osiągnąć? Na coś czekasz?

Chciałabym doczekać czegoś dobrego na Bliskim Wschodzie. Żeby ocalała Gaza i jej mieszkańcy. W miarę skromnych możliwości chciałabym dołożyć do tego swoją cegiełkę. Chciałabym, żeby Trumpa szlag trafił... Bo mam wrażenie, że stoimy na skraju przepaści. Marzę, żeby zobaczyć jeszcze świat przechylający się ku jaśniejszej stronie.

Myślałem raczej o twoich kwiatach i drzewach owocowych na skarpie nad Adriatykiem, o których piszesz z czułością. Bo jeśli nie doceniasz piękna codzienności, to po cholerę rewolucja – zgodzisz się?

Absolutnie. Myśmy wszyscy, moi przyjaciele z teatru i ja, zawsze to mieli. I myślę, że to m.in. pozwoliło nam trwać razem tak długo. Umieć powiedzieć „nie", znać smaki świata, celebrować życie.

ROZMAWIAŁ ARTUR DOMOSŁAWSKI

REKLAMA

POLITYKA **Zaprenumeruj nasz tygodnik przez** InPost Paczkomat 24/7

- **Gwarantowana dostawa w środę** do wybranego InPost Paczkomat 24/7
- **Darmowa przesyłka** przez cały okres prenumeraty
- **Niższa cena za egzemplarz** niż w punktach sprzedaży

569 zł za rok
Oszczędzasz 150 zł
Tylko ~~13,90~~ 11 zł za numer

299 zł za pół roku
Oszczędzasz 60 zł
Tylko ~~13,90~~ 11,50 zł za numer

blik PayU

InPost

Wejdź na **polityka.pl/paczkomat** lub zeskanuj kod QR:

eprasa.pl 9042e7cb93

Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Daniel Martyniuk, luminarz mediów brukowych, zarzucił swojej żonie kupno doktoratu. Cenię Daniela. Jest jak jeden z bohaterów „Tanga" Mrożka. W swej prostocie dorodny i regularny.

●

W Tele 5 pojawi się program „Dekalog zdrowego i szczęśliwego życia" prowadzony przez Jacka Rozenka. Doskonały ruch. Udział Tele 5 w rynku odpowiada udziałowi Jacka w zdrowym i szczęśliwym życiu.

●

Do grona osób prowadzących śniadaniowy program „Halo, tu Polsat" dołączą Aleksandra Filipek i Aleksander Sikora. Szanuję ten program. Pokazuje, że pochlebcy mogą być bardziej natrętni niż krytycy.

●

„Nie lubiłem piosenek pana Soyki. Teksty wydawały mi się banalne, a maniera w śpiewaniu irytująca". To Marek Migalski. Dzień po. Szybko. Teraz rozumiem, dlaczego 10 lat czekał na habilitację.

●

Joanna Opozda i Antek Królikowski znów razem. Tym razem nominowano ich wspólnie do Węży, antynagród filmowych, za najgorszą rolę żeńską i męską. Brawo. Kino dogoniło życie.

●

Szok w śniadaniówce Polsatu. Paulina Sykut-Jeżyna i Krzysztof Ibisz nie poprowadzą już razem programu. To najstraszniejsza wiadomość od czasu rozpadu duetu Akiry Kurosawy z Toshirō Mifune.

Według najnowszego rankingu „Wprost" Robert Lewandowski posiada aktualnie 723 mln zł majątku. Sporo. „Wprost" nie może się pochwalić takimi kwotami. Ich strata netto to zaledwie 8 mln.

●

Marcin Gortat zostanie ojcem. Gratulacje. Dotychczas rekordem w jego karierze w NBA były 23 rzuty z gry przeciwko Toronto Raptors.

●

Agata Rubik o początkach związku z Piotrem Rubikiem: „Piotrowi spodobało się, że dużo jem w przeciwieństwie do moich koleżanek". Ładne. Przez żołądek do serca. Właśnie tak zabija cholesterol.

●

Marzena Rogalska wróciła do „Pytania na śniadanie" w TVP. Monika Richardson skomentowała radośnie: „To jest dalej pudrowanie trupa". W wolnym tłumaczeniu: „Oceniając na chłodno, zaszły kosmetyczne zmiany".

●

„Tylko u nas. Włodarczyk pochwaliła się metamorfozą fryzury. Ekspert ma jasne zdanie". To plotek.pl. Też uważam, że w tematach znacznie przekraczających pojemność głowy lepiej zapytać fachowca.

●

Jakub Józef Orliński został ambasadorem marki Rolex. Ostatnio słyszałem go na Narodowym. Dobrze, że teraz ma zegarek. Będzie wiedział, ile czasu upłynie, zanim ktoś uzna, że to nie jest miejsce na koncerty.

●

Kasia Cichopek i Maciej Kurzajewski znowu nagrali zabawny filmik na Instagram o tym, jacy są fajni. Internet poszedł z dymem. Ale jak mawia Jan Paweł z „1670": „Kto nie ryzykuje, ten nie je ziemniaków".

●

Julia von Stein pokazała film z sali operacyjnej, gdzie wykonano jej lifting. Taką wiadomość znalazłem w sieci. Pani ma 29 lat. To trudny moment dla wybitnych ludzi. W jej wieku Beethoven zaczął głuchnąć.

●

Program „Piątka Pereiry" śledzi w stacji wPolsce24 średnio 99 tys. widzów. Samuel przedstawia różne wypowiedzi, doszukując się w nich kłamstw. Cenię Samuela. To przylądek Canaveral wszelkiej ściemy.

●

Lidl zaprosił do współpracy reklamowej na TikToku i Instagramie Małgorzatę Rozenek, Radka Majdana i Krzysztofa Ibisza. Nie ma się co czepiać. Dołęga-Mostowicz też mawiał: „Ja nie piszę. Ja zarabiam".

●

Do gwiazd kampanii PKO BP dołączył Bartek Topa. Dobry finansowy wybór. On już sezon temu wyznał: „Wszystko, co mam, odziedziczyłem sam, a resztę osiągnąłem ciężką pracą własnych chłopów".

© WOJCIECH OLSZANKA/DDTVN/EAST NEWS

eprasa.pl 9042e7cb93

FELIETON

Sulej

Jak zasmucić trolla

Ostatnio w jednej ze stacji telewizyjnych komentowałam zawetowanie przez prezydenta Nawrockiego ustawy, która miała ustabilizować pomoc dla migrantów i migrantek z Ukrainy. Byłam koszmarnie zawstydzona. Nie umiem sobie wytłumaczyć, jak to jest możliwe, że trzy lata po narodowym zrywie pomocy nastał narodowy zryw nieżyczliwości – mówiąc eufemistycznie. Zażenowana, mówiłam rzeczy oczywiste. Jak to, że samotne matki i babcie w obcym państwie potrzebują opieki, że pomoc od państwa jest potrzebna najsłabszym, którzy tutaj wychowują dzieci, starając się jakoś przepracować traumę.

Mówiłam, że nasze kultury są podobne, że zmiana społeczna już się dokonała, niezależnie od tego, jak absurdalnie długo będzie trzeba czekać Ukraińcom i Ukrainkom na obywatelstwo. Mówiłam, z poczuciem ogromnego zawstydzenia, że jeśli do kogoś nie trafiają argumenty związane z prawami człowieka, to może przekona go do większej życzliwości fakt, że Polska zarabia na Ukrainie dużo więcej, niż traci. Jeśli założymy, że osoby, które teraz dostają 800 plus, po prostu je marnują, to i tak Ukraińcy, którzy w Polsce i dla Polski pracują, przynoszą nam o wiele więcej dochodu (tak ze trzy razy – wedle badań). Rozkręcają tu swoje biznesy, zasilają nasze, tworzą swoje butiki, sieci kawiarni, swoje restauracje – i my z tego korzystamy.

Większość osób nie zna ukraińskiej historii czy kultury. Jeśli już coś wiemy, to wybieramy to, co najgorsze.

Kulturowej zmiany nie zatrzyma żadna ustawa, ale może nam tę zmianę utrudnić – zamiast przypływu, będziemy widzieć potop. Tak wielką siłę mają społeczne narracje.

Obchody Dnia Niepodległości Ukrainy w Warszawie musiały mieć dodatkową ochronę, bo obawiano się przemocy. Dzieciaki, które zrobiły burdę w czasie pogo na koncercie, potraktowano jak niebezpiecznych przestępców i deportowano. Napruci kibole i inni „patriocī" po ulicach i tramwajach szukają okazji, żeby pobić „jakiegoś Ukraińca". Nieraz w środkach komunikacji miejskiej podsłuchuję, że „ci Ukraińcy to wcale nie są tacy biedni", bo mają samochody i drogie torebki. No tak, tacy też są. Ale są też weterani z PTSD, których nikt nie leczy i żebrzą pod Dworcem Wileńskim. „Ukrainki zabiorą nam mężów" – w tym zdaniu jest mniej więcej tyle prawdy, ile w stwierdzeniu, że „Arabowie zgwałcą nasze kobiety". To nasze społeczne fantazje, które mają dać nam alibi dla nienawiści, manifestacja umysłowego lenistwa.

Polacy czują się też moim zdaniem przez Ukraińców zagrożeni, bo te osoby mają silną motywację, ciężko pracują, osiągają sukcesy, mimo trudnego położenia. Nie można już sobie powiedzieć: „Nie da się, o ja biedny...". Dobrze więc przykryć to przekonaniem, że dają sobie radę, bo nam podbierają, kłamią, kręcą, nie zasługują. Większość osób nie zna ukraińskiej historii czy kultury, choć jest ona z naszą spleciona na dobre i złe. Jeśli już coś wiemy, to wybieramy ten najgorszy, najtrudniejszy moment – Wołyń. Upraszczamy, redukujemy: „Ukrainiec równa się UPA". A przecież większość z nas jest trochę ukraińska, białoruska, niemiecka – granice ustalone po drugiej wojnie poszły w poprzek wielu kulturowych i rodzinnych połączeń. Naskakując na Ukraińców czy Białorusinów, naskakujemy więc też na siebie.

Politycy chcą nas zamknąć w oblężonej twierdzy, choć jesteśmy teraz w zupełnie innym momencie naszej historii. Mamy szansę być portem, hubem kreatywności, „liderem regionu", przepisać naszą najtrudniejszą wspólną historię i razem obronić się przed Rosją – narodem, który również jest przez swoich przywódców spychany nieustająco w przeszłość, zasilany nienawiścią. Czy naprawdę chcemy być jak ta Rosja, z którą walczymy? Mam znajomą seniorkę, której rodzina zginęła na Wołyniu. Powiedziała mi, że kiedy zaczęła pomagać osobom z Ukrainy, poczuła, jak jej historia się leczy. Bo przecież czemu winne są te dzieciaki, ich matki? Traumę, zaklęty krąg zemsty przezwycięża wybaczenie, pójście ku życiu – i to jest bardzo chrześcijańskie.

Siedziałam sobie w tej telewizji i myślałam, że w ogóle nie powinno mnie tam być. Powinna być tam ukraińska dziennikarka, przecież mamy ich tyle, tak wspaniałych, jest spośród kogo wybierać. Dlaczego ja mam mówić w imieniu osób z Ukrainy, jakby nie były podmiotami? Jak wywabić plamę lęku, kiedy nie pokazujemy twarzy i nazwisk, nie oddajemy im głosu? Jeśli po obu stronach zamkniemy się na amen przed sobą na cztery spusty, wygra na tym Rosja – i Niemcy, dokąd pojadą Ukraińcy, żeby się schronić przez naszą nienawiścią.

Musimy przerwać zaklęty krąg – mniej politycznej propagandy, a więcej realnych rozmów z Ukraińcami i Ukrainkami na co dzień, więcej osób z Ukrainy w programach telewizyjnych, w prasie, w kulturze, w filmach. To, że mamy teraz bardziej różnorodną Polskę, nie jest zagrożeniem, lecz szansą. To zasób, a nie ubytek. Psycholodzy często mówią, że reakcją zdrowego człowieka na to, czego nie rozumie, jest zaciekawianie się. Ciekawość leczy lęk, daje nowe możliwości, łączy z tym, co na początku obce. W każdym momencie, kiedy razem gadamy, śpiewamy, pracujemy, wspólnie tańczymy, jemy, śmiejemy się, Putin przegrywa, a ruskie trolle płaczą.

KAROLINA SULEJ

eprasa.pl 9042e7cb93

Powrót do Urzędowa

Jak to we wrześniu, mamy w mediach wysyp tekstów o drugiej wojnie światowej. Rzadko niestety pojawia się w nich wątek niedoinformowania ówczesnych kluczowych decydentów, przygnębiająco dziś aktualny. Kiedy minister spraw zagranicznych Józef Beck i generalny inspektor sił zbrojnych Edward Rydz-Śmigły wygłaszali historyczne przemówienia o „nieoddawaniu ani guzika" oraz o „honorze, który nie ma ceny", byli przekonani, że do wojny nie dojdzie. Ba, do 17 września uważali, że Sowieci nie zaatakują. Wiedzieli o pakcie Ribbentrop-Mołotow, ale wydawało im się, że to tylko środek nacisku na Zachód – przecież Stalin nie chce granicy z Hitlerem! Z dyplomatycznych archiwów wynika, że o planach IV rozbioru Polski zdawali się wiedzieć w Europie wszyscy politycy poza polskimi.

Zimą z 1939 na 1940 r. Melchior Wańkowicz przeprowadził z Beckiem i Rydzem unikalne wywiady na temat wrześniowej katastrofy. Obaj zostali de facto uwięzieni przez Rumunię, która nominalnie była naszym sojusznikiem, ale już wtedy zorientowanym raczej na współpracę z Hitlerem. Wańkowiczowi udało się przekupić strażników.

Opisał te rozmowy w książce „Drogą do Urzędowa". Formalnie to powieść, Wańkowicz przedstawia siebie pod postacią dziennikarza Haukego. O ile mi wiadomo, wańkowiczolodzy nie kwestionują samego faktu przeprowadzenia tych wywiadów i prawdziwości cytatów.

Frakcje w obozie sanacyjnym były pochłonięte wzajemną walką i nikt nie miał głowy do wrogów zewnętrznych.

Uwięziony przez Rumunów Beck przedstawił swoją politykę zagraniczną jako pasmo sukcesów. Zaprzeczał nawet, że jest uwięziony – przecież miał *droit de passage*, z którego korzystał tak, jak uważał za stosowne. Chwilowo po prostu uważał za stosowne siedzenie pod strażą. Powiedział, że Piłsudski powierzył mu cztery zadania. Jednym z nich było wypowiedzenie narzuconego Polsce traktatu o mniejszościach narodowych. I co? Wypowiedział. Drugim było zmuszenie Litwy do uznania granicy z Polską. Kolejny sukces! Trzecim – zajęcie Zaolzia. Może nie zajął? Czwartym było nieoddanie Gdańska. Tu sprawa była złożona. Wprawdzie Gdańsk chwilowo utracono, razem z całym krajem, ale dzięki polityce Becka podczas rozmów pokojowych „zasiądziemy do stołu obrad jako kontrahenci, gdy Czesi stać będą za drzwiami". Słowem, to zadanie Beck uważał za wykonane do połowy, zatem całkowita ocena, którą sobie wystawiał, to 3,5 na 4.

Hauke/Wańkowicz próbował te pyszałkowate monologi przerywać pytaniami w rodzaju: „Ale czy pan minister liczył się z niemiecką agresją?". Beck nie dawał się zbić z tropu i wspominał, jak Hitler „cofał się w dyskusji" z nim, jak dawał sobie wszystko „wytłumaczyć" – co za pech, że akurat w sprawie polskiej uległ Ribbentropowi, „który jest głupim człowiekiem". Przyciśnięty do muru wydusił, że owszem, spodziewał się niemieckiej agresji – ale, że „pójdzie Dunajem, na południe Europy".

Rozmowa z Rydzem wyglądała inaczej. Wańkowicz opisuje przegranego człowieka, który na wszystko odpowiadał: „A co ja mogłem?". Zastał „plan grożący katastrofą, oparty na fikcji 46 dywizji, podczas kiedy 30 było marzeniem nie do spełnienia". Kosztorys najskromniejszych umocnień na zachodzie wynosił półtoraroczny budżet kraju, „a przecież już fortyfikowaliśmy wschód". „Cóż miałem robić? Nie jestem fachowcem ekonomistą. Kwiatkowski mówił, że dalej iść nie możemy". „Od wiosny częściowo mobilizowaliśmy, to jak się burzono! Jakie listy słano! Z grupy śląskiej miałem ponad tysiąc dezercji do Niemiec". Ale czy nie można było lepiej wykorzystać tych skromnych zasobów? – dopytywał Hauke/Wańkowicz. Rydz-Śmigły przyznał, że „nie docenił znaczenia broni pancernej" i rozmarzył się: „Ach, gdyby to była taka wojna jak w 1920, to byśmy...".

Praprzyczyną tragedii było to, że poszczególne frakcje w obozie sanacyjnym do samego gorzkiego końca były tak pochłonięte wzajemną walką, że nikt nie miał głowy do wrogów zewnętrznych. Beck ukrywał beznadziejne położenie międzynarodowe, bo myślał, że armia jest tak potężna, jak zapewniał Rydz. Ten z kolei oczekiwał, że prawda o armii nie wyjdzie na jaw, bo przecież nie będzie wojny – jak twierdził Beck. I np. przygotowania obrony Warszawy ruszyły dopiero 3 września – nie było nawet worków do napełniania piaskiem! – bo gdyby Rydz zaczął wcześniej, przeciwnicy oskarżyliby go, że „chce" oddać Poznań.

Dziś w Polsce też mamy ośrodki władzy pochłonięte wzajemnymi złośliwościami. Gdy czytam, jak to jeden dzwonił do drugiego, ale tamten nie odebrał „i co ja mogłem", albo że „to skandal, że opracowano plan obrony na linii Wisły", przypomniał mi się stary dobry Wańkowicz.

Książka zaczyna się 25 sierpnia, gdy bohaterowie dowiadują się o brytyjskich gwarancjach dla Polski. Jeden z nich komentuje to szmoncesem o swacie, który podjął się wydania córki Rabinowicza za księcia Walii i powiedział: „50 proc. interesu mam już zrealizowane – Rabinowicz się zgadza!". Po czym dodaje: „I podobnie Anglia się zgodziła – podpisać pakt. Ale czy się zgodzi walczyć, to ja jeszcze idę wątpić". Czy tym razem byłoby lepiej – to ja niestety też „idę wątpić".

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl 9042e7cb93

FELIETON

Chutnik Plebanek

Gorzkie ugody

Głośny spór między autorką bestselleru „Chłopki" Joanną Kuciel-Frydryszak a wydawcą książki (Marginesami) wreszcie znalazł swój finał, na szczęście nie w sądzie. Doszło do długo wyczekiwanej ugody. Na wieść o tym, że autorka znakomitej książki dostanie należne jej pieniądze, media społecznościowe zalała fala gratulacji dla Kuciel-Frydryszak. Ale pojawiły się i inne głosy. Parę osób zadeklarowało, że zraziło się do autorki. Godnie opłacana za pisanie? To się w głowie nie mieści.

Przypomnijmy, o co poszło. Książka „Chłopki" osiągnęła status niekwestionowanego bestsellera. Kiedy słupki sprzedaży poszybowały w górę, przynosząc wydawcy potężny zysk, autorka powołała się na artykuł 44, czyli tzw. klauzulę bestsellerową polskiej ustawy o prawie autorskim. Pozwala ona twórcom żądać zapłaty dodatkowej kwoty, gdy pierwotnie ustalone wynagrodzenie jest „rażąco niskie" w stosunku do korzyści osiąganych przez kontrahenta. Ten przepis jest liną ratunkową dla autora, który podpisał standardową umowę, gdy tymczasem jego dzieło stało się hitem. Standard to zwykle kilkanaście procent od tzw. ceny zbytu, czyli mniej więcej połowy ceny okładkowej. W przypadku dużych wpływów ze sprzedaży autor zostaje z zarobkiem nieproporcjonalnie małym wobec tego, jaki przypada innym graczom rynku książki. To dlatego z klauzuli bestsellerowej skorzystał Andrzej Sapkowski przy okazji serii o Wiedźminie.

Czy pisarce wypada wyciągać rękę po swoje? Odpowiedź zostawiamy tym, którzy dostają wynagrodzenie za pracę.

W każdym innym zawodzie taka postawa byłaby zupełnie zrozumiała. Ale w przypadku pracy twórczej budzi niesmak. To ciekawe zjawisko z gatunku ciężkiej hipokryzji. Czytelnik, czytelniczka, owszem, z wypiekami na twarzy śledzi niedolę ludu pracującego. Gdy jednak autorka bestsellera karmiącego wydawcę i innych graczy rynku domaga się, żeby i jej płacono stosownie do zysków, oburzenie wylewa jak Wisła wiosną. Piszmy o wyzysku, dyskutujmy o nim na salonach, ale żeby się tak kłócić o pieniądze, i to jawnie? No, naprawdę nie wypada. Poza tym sporo grosza autorce „Chłopek" skapnęło, więc nie przesadzajmy już z tą biedą.

Mentalność jaka jest, każdy widzi. „Poszedłby do normalnej pracy, leń jeden" – słyszymy od ludzi pozbawionych empatii, wrażliwości i wyobraźni. Sami nie mogliby być pisarzami, nadają więc na nich w godzinach swojej „normalnej" pracy. Na szczęście polskie prawo jest w stanie zapobiec niesprawiedliwości. Autorka nie musi błagać o jałmużnę, bo wie, co jej się należy (określa to jasno art. 44). Służące do wszystkiego nie miały wyjścia, ale dziś pisarki i pisarze walczą o swoje, choć podobno to nie wypada.

W ostatnim numerze miesięcznika „Odra" Błażej Torański pisze: „Wbrew pozorom »wiosna pisarzy« nie jest wyłącznie walką o pieniądze, o procenty z ceny okładkowej, ale przede wszystkim o godność zawodu. Przekonanie wydawców, że zostali zaatakowani przez pisarzy, jest błędem. To nie jest konflikt, bo interesy są spójne". Warto myśleć o proteście pisarek i pisarzy właśnie jako o zwróceniu uwagi na prawa pracownicze. Przykład Joanny Kuciel-Frydryszak, naszej koleżanki ze stowarzyszenia Unia Literacka, najlepiej wyjaśnia, czemu je założyliśmy. UL nie ma jeszcze dziesięciu lat, a już dzięki wspólnemu działaniu, lobbowaniu i uwrażliwianiu współpracujemy z ludźmi, którzy rozumieją rolę literatury i pomagają zmienić pisarską rzeczywistość na lepsze. Udało się znacznie zwiększyć pulę wypłat z wypożyczeń bibliotecznych (PLR), to wynik upartego działania młodego stowarzyszenia UL oraz dobrej woli pracowników i pracownic Ministerstwa Kultury i innych instytucji.

Czy pisarce wypada wyciągać rękę po swoje, oto jest pytanie. Odpowiedź zostawiamy tym, którzy dostają wynagrodzenie za swoją pracę. Co by było, gdyby się narobili, ale wypłaty nie dostali? Z czego spłaciliby kredyt, załatali dziecku dziurę w zębie? Nie mając przy tym widoków na emeryturę ani ubezpieczenie zdrowotne, dodajmy.

Nie użalamy się, działamy. Unia Literacka nie jest sama, siostrzanych stowarzyszeń w Europie jest kilkadziesiąt, zrzesza je Europejska Rada Pisarzy. Rolą tej organizacji, liczącej sobie ćwierć miliona członków i członkiń, jest poprawa warunków życia autorów i autorek. Bo to gatunek zagrożony. Produkty sztucznej inteligencji karmionej naszymi książkami stają się łakomym kąskiem dla tych wydawców, którzy wolą sprzedać tekst z maszyny niż napisany przez człowieka. Zalanie rynku produktami AI to realne zagrożenie dla małych języków (w tym polskiego), które przestaną się rozwijać. Inną poważną konsekwencją jest oddanie big techom odpowiedzialności za stan naszych umysłów. Wkrótce nie będzie komu inspirować do niezależnego myślenia, bo autorzy z biedy przejdą do innych zawodów. Unia Europejska nadal nie stworzyła skutecznych przepisów, które zabezpieczyłyby intelektualne mienie twórców.

Czy w warunkach bliskiej zapaści literatury, zapaści fizycznej, bo wynikającej z biedy, w jaką rynek wpędza twórców, wypada się domagać stosownej zapłaty za swoją pracę literacką?

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl 9042e7cb93

Inwazja dziwadeł

Posłanka Wojciechowska van Heukelom z PiS wyznała w telewizji, że z niepokojem obserwuje w przestrzeni publicznej „jakieś dziwadła". Nie jest jasne, czy chodzi o przestrzeń w jej głowie, czy o przestrzeń poza nią, w każdym razie dziwadła są bezczelne i promują nowy upiorny przedmiot: edukację zdrowotną oraz usiłują decydować za rodziców, czy ich dzieci mają się go uczyć.

Wojciechowska van Heukelom nie ujawniła, kim są widziane przez nią dziwadła. Biorąc pod uwagę, że jest członkiem PiS, z pewnością chodzi o Niemców, z tym że nie mają oni hełmów i nie napastują Wojciechowskiej van Heukelom. Zasadniczo niczego złego jej nie robią, poza zamęczaniem jej swoim istnieniem w przestrzeni jej głowy i przymuszaniem polskich uczniów do edukacji zdrowotnej, która wprawdzie jest nieobowiązkowa, ale tak szkodliwa, że należy jej zabronić.

W zamyśle MEN edukacja zdrowotna ma łączyć w sobie elementy rozmaitych nauk, co budzi zrozumiałą podejrzliwość polskich biskupów. Opieranie edukacji na zdobyczach nauki, powiadają, oddala uczniów od Boga oraz prowadzi do erotyzacji, seksualizacji, laicyzacji i innych chorób. Biskupi ostrzegają rodziców, że edukacja zdrowotna to zamach na przyszłość ich dzieci oraz przejaw „systemowej deprawacji", która pod płaszczykiem rzekomego dostarczania informacji o zdrowiu może poważnie utrudnić zbawienie.

Za szczególnie groźne episkopat uznaje współżycie młodych, które jest nieodpowiedzialne, bo jego celem jest osiągnięcie przyjemności. Poza tym do współżycia dochodzi stanowczo zbyt łatwo. „Za jedyny warunek podjęcia współżycia uznane zostało kryterium świadomej zgody" alarmują biskupi, dla których – jak rozumiem – obustronna zgoda to za mało, żeby współżycie było udane.

Zgadzam się, że takie współżycie jest trochę egoistyczne. Przyjemność z takiego współżycia czerpią wprawdzie bezpośredni uczestnicy, ale na pewno nie biskupi czy posłanka Wojciechowska van Heukelom, którzy oprócz zgody współżyjących oczekują zgody jakichś osób dorosłych, np. rodziców lub członków Konferencji Episkopatu.

Od razu mówię, że oczekiwanie to uważam za rozsądne, gdyż jest duża szansa, że zanim episkopat wyda zgodę, niedoszłym współżyjącym przejdzie ochota na współżycie i będą mogli się skupić na czymś pożytecznym i mniej przyjemnym.

GALERIA POLITYKI

ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(dyr.),*

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWCZY
Piotr Zmelonek (dyrektor) *22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka (dyrektor) *67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk (dyrektor)

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
Infolinia: *tel. 67 210 86 30,*
e-mail: infolinia@polityka.pl
tel. 22 451-61-00, 451-61-15

PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: *tel. 22 336-79-16,*
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

SERWIS INTERNETOWY
www.polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

PORTAL POPULARNONAUKOWY
projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BNP Paribas Bank Polska S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Quad8 leipa passion process technology

eprasa.pl 9042e7cb93

POLITYKA niezmiennie numerem 1

Miło nam poinformować, że według najnowszych danych spółki Polskie Badania Czytelnictwa również w drugim kwartale 2025 r. POLITYKA odnotowała najwyższą sprzedaż spośród wszystkich tygodników opinii w Polsce. Z wynikiem 73,4 tys. średnio sprzedanych wydań była tym samym najchętniej kupowanym tytułem w segmencie.

Na drugim miejscu w zestawieniu tradycyjnie znalazł się „Newsweek" – ze średnią sprzedażą na poziomie 52,4 tys. egz. Pozostałe tygodniki społeczno-polityczne i tym razem zostały daleko w tyle: „Gazeta Polska" sprzedawała średnio 23,9 tys. egz., „Do Rzeczy" – 25,3 tys. egz., „Sieci" – 24,1 tys. egz., „Tygodnik Powszechny" zaś – 20,7 tys. egz.

POLITYKA wypada również najlepiej pod względem sprzedaży wydań cyfrowych (tzw. e-wydań). Głównie za sprawą Polityki Cyfrowej w drugim kwartale roku zanotowaliśmy średnią sprzedaż na poziomie 26,8 tys. egz. Drugie miejsce i tu przypadło „Newsweekowi" – 16,9 tys. egz. Natomiast żaden z pozostałych tytułów nie przekroczył progu 7,3 tys. średnio sprzedanych egzemplarzy.

REDAKCJA

SALON POLITYKI

ODCHODZIĆ PO LUDZKU

Jak nadążyć za starością

Serdecznie zapraszamy do Sopotu na kolejny już Salon POLITYKI – tym razem skupiający się na seniorach: ich problemach i niepokojach, ale też radościach i refleksjach. Spotkanie odbędzie się w ramach zainicjowanego przez nas w ubiegłym roku cyklu „Odchodzić po ludzku", a gośćmi dziennikarki POLITYKI Katarzyny Kaczorowskiej będą: wybitna polska aktorka Emilia Krakowska oraz Marta Lau, autorka książki „On nigdy taki nie był", opowiadającej o trudnych doświadczeniach bliskich i rodzin osób zmagających się z chorobą Alzheimera i demencją.

Dyskusja odbędzie się we wtorek **9 września o godz. 17 w Centrum Kultury Mamuszki 14** (aleja Franciszka Mamuszki 14, sala na drugim piętrze). Wstęp jest wolny.

A wszystkie teksty i wywiady, które do tej pory ukazały się w cyklu „Odchodzić po ludzku", znajdą Państwo w specjalnej zakładce na naszej stronie: **www.polityka.pl/odchodzicpoludzku** Zachęcamy też do dzielenia się z nami swoimi doświadczeniami: **akcja@polityka.pl**

Ogrody POLITYKI powracają

Tygodnik POLITYKA oraz Biblioteka Elbląska im. Cypriana K. Norwida już w najbliższy weekend (**5–7 września**) serdecznie zapraszają do Elbląga na Ogrody POLITYKI. Ten najdłużej funkcjonujący festiwal kulturalny w mieście, którego główną ideą jest połączenie intelektualnej dyskusji i kulturalnej rozrywki, wraca po kilkuletniej przerwie. Organizowany wspólnie przez Bibliotekę Elbląską i naszą redakcję na stałe wpisał się w pejzaż miasta, zyskując wierną publiczność i ogólnopolski prestiż.

Na początek festiwalu organizatorzy zaplanowali wyjątkowe sympozjum: „Subregion elbląski jako szansa zrównoważonego rozwoju – mit czy cel strategiczny?". W obliczu nowej perspektywy UE na lata 2028–34 współpraca Elbląga i dwóch sąsiadujących powiatów staje się kluczowym elementem budowania wspólnej strategii i – co za tym idzie – silnego subregionu.

Debata będzie się składała z dwóch paneli. W pierwszym, poświęconym „Perspektywom samorządowym", prowadzonym przez naszego dziennikarza Michała Tomasika, wezmą udział: prezydent Elbląga dr Michał Missan, starosta elbląski Maciej Romanowski oraz prof. Wojciech Dziemianowicz, profesor UW, doradca samorządowy i regionalista.

Z kolei publicystka POLITYKI Joanna Solska poprowadzi panel „Szanse i ograniczenia dla gospodarki", a jej rozmówcami będą: prezydent Konfederacji Lewiatan Marek Górski, Florian Romanowski, członek Rady Biznesu i były prezydent Związku Pracodawców Ziemi Elbląskiej, oraz Katarzyna Wójcik-Borsukowicz, wiceprezeska ds. finansowych w Meble Wójcik.

Panele odbędą się pierwszego dnia festiwalu (obowiązują zaproszenia) Ogrodową publiczność zapraszamy również na pozostałe wyjątkowe spotkania z muzyką, teatrem, literaturą i rozmową – w tym koncerty Lecha Janerki, Jazz Band Młynarski-Masecki czy tria Łona x Konieczny x Krupa. Szczegółowy program znajduje się na naszej stronie: **polityka.pl/ogrodypolityki**

REDAKCJA

Festiwal odbędzie się dzięki wsparciu miasta Elbląga.

eprasa.pl 9042e7cb93

TREND

Zimna wojna na tekstylia

Jedni są krytykowani za piaskowy beż, inni za brak krawata. „Policja mody" jest dla polityków równie bezwzględna jak niektóre ich decyzje.

Co może być złego w powiedzeniu komplementu – nawet głowie państwa – że świetnie wygląda w garniturze? Jeśli dziennikarz wcześniej nie zostawił, nomen omen, suchej nitki na innym stroju tej samej głowy państwa, to sprawa nabiera politycznych rozmiarów. Rzecz dotyczy oczywiście prezydenta Wołodymyra Zełenskiego i odbioru jego strojów podczas wizyt w Białym Domu. Goszcząc u prezydenta Trumpa w lutym tego roku, nie założył standardowego w takich sytuacjach zestawu: garnitur, koszula, krawat. Dziennikarz Brian Glenn zapytał go wtedy złośliwie, czy to dlatego, że go po prostu nie posiada, i dodał: „Amerykanie będą mieć problem z tym, że nie szanuje pan powagi tego urzędu".

Prezydent Zełenski od początku pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę w sytuacjach oficjalnych nosi strój podkreślający, że jego kraj jest w stanie wojny. Większość garderoby służbowej Zełenskiego, zaprojektowanej przez Elwirę Hasanową czy Wiktora Anisimowa, jest uszyta z takiego samego materiału, z jakiego robi się mundury. Koszulę czy marynarkę często zdobi tryzub – herb Ukrainy. Jest to więc nie abnegacja, ale bardzo świadomy wybór. Praca z symbolami to wszak wspólny oręż polityki i mody – choćby się wydawało, że te dwie dziedziny leżą na przeciwnych krańcach spektrum powagi i nic ich nie łączy. W modzie łamanie zasad jest wszak w cenie, a kto bardziej zaskoczy, przenicuje obowiązujące zasady, ten ma większe szanse na sukces. W polityce jest dokładnie odwrotnie.

Ola Salwa
– absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Pisze o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

Podczas niedawnej wizyty w Białym Domu Zełenski zaskoczył zmianą stroju. Prace nad nowym wizerunkiem zaczęły się jeszcze na początku roku. Jak mówił na łamach „The Wall Street Journal" Wiktor Anisimow: „Po tym, co się wydarzyło w lutym, znając zasady naszego prezydenta, pomyślałem, że nie będzie chciał wprowadzać zmian. Ale nie, zdecydował, że powinniśmy kontynuować". Dodał też, że ów nowy image Zełenskiego ma być „bardziej cywilny, przy zachowaniu odniesień do stylu wojskowego".

I rzeczywiście – w sierpniu **prezydent Ukrainy pojawił się w Białym Domu w czarnych spodniach, koszuli i marynarce**, chociaż z powodu kroju, materiału i liczby kieszeni bliżej jej do munduru niż stroju typowego dla politycznego dress code'u. Można to odczytać jako gest kompromisowy – zostając przy ważnym dla siebie przekazie, upodobnił ubrania do akceptowanych na politycznych salonach. Gdy Brian Glenn publicznie przeprosił za swoją poprzednią wypowiedź i skomplementował ubiór prezydenta Zełenskiego, ten się uśmiechnął, ale wbił szpilkę dziennikarzowi: „Pamiętam pana. Ma pan na sobie ten sam garnitur (co poprzednio – przyp. red.). Ja się zmieniłem, pan nie".

Styl polityków bywa sztywny jak wykrochmalone prześcieradło, ale też ewoluuje pod wpływem zmian społecznych. Np. w brytyjskim parlamencie nie trzeba już nosić męskiego żakietu do połowy uda, jak w późnych czasach wiktoriańskich, jednak pojawienie się bez marynarki nadal nie przejdzie. A sir Lindsay Hoyle, spiker Izby Gmin, powiedział wprost: „Jeśli nie widzę krawata, nie widzę osoby, która chce zabrać głos". W trakcie pandemii, gdy posiedzenia odbywały się wirtualnie, te zasady też obowiązywały i kiedy jeden z brytyjskich parlamentarzystów pojawił się w swetrze, jego mikrofon pozostał wyciszony podczas całej sesji.

Bohaterem jednej z najgłośniejszych w ostatnich latach modowych afer w polityce jest Barack Obama. Na konferencji prasowej w 2014 r., na której zapowiedział możliwe zwiększenie militarnych działań USA w Syrii, miał na sobie beżowy garnitur, a nie – czego oczekiwali jego krytycy ze względu na powagę chwili – ciemny. „Tan suit", czyli garnitur w kolorach letnich i na letnie okazje, wypominano mu do końca prezydentury. Nawet przychylny „New York Times" klawiaturą swojej naczelnej krytyczki modowej Vanessy Friedman uznał, że nijaki i słaby jest i kolor marynarki, i ten ruch Obamy.

Z dwojga złego chyba jednak lepiej być krytykowanym za styl w modzie niż za styl uprawiania polityki. ■

© ANDREW CABALLERO-REYNOLDS/AFP/EAST NEWS, ARCHIWUM PRYWATNE, SKYROCKET, JAROSŁAW JAKUBCZAK/POLSKA PRESS/EAST NEWS

eprasa.pl 9042e7cb93

TECHNO

Jak zabawić bez ekranu

Czy inteligentne pluszaki to dobra alternatywa dla ekranów? **Miś Poe** został wyposażony w sztuczną inteligencję, która pozwala mu opowiadać bajki („Wybierz bohatera, miejsce i rodzaj opowieści, np. zabawną, straszną, przygodową. Możesz także zostawić wszystko w rękach Poe – miś samodzielnie uzupełni brakujące elementy, tworząc fascynującą historię"). Nic nowego, poza interfejsem – zamiast (a raczej: oprócz) smartfonowej aplikacji ma formę dziecięcej gadającej przytulanki. Opowiadanie bajek przybrało formę usługi – po wyczerpaniu puli darmowych tokenów należy dokupić następne.

Dominuje przekonanie, że główny problem współczesnych dzieci i rodziców stanowią wszechobecne ekrany. Młody człowiek posadzony przed telewizorem, by zabiegany opiekun znalazł chwilę na przygotowanie posiłku czy przedszkolnej wyprawki, staje się obiektem nieco fałszywej troski społeczeństwa: zamiast mówić o problemie owego zabiegania, uwagę skupiamy na szkodliwości ekranu. Ćwierć wieku temu telewizora, dziś – smartfona.

Pojawił się więc rynek na alternatywy – jak zabawić bez ekranu? Jego brakiem reklamuje się zarówno misia Poe, jak i pluszaki ze start-upu Curio (rakieta Grok, królik Grem **i konsola** Gabbo), mające odgrywać rolę inteligentnych towarzyszy zabaw. Interakcja opiera się na konwersacji – zabawki nie robią min jak Furby czy wycofany z produkcji robot Moxie (POLITYKA 30). Z jednej strony to spełnienie dziecięcych fantazji o tym, żeby ulubiona zabawka ożyła, z drugiej – masa problemów. Po pierwsze, prywatność; po drugie, chaty AI mają tendencję do mówienia rzeczy, których nie powinny, nawet jeśli są zabezpieczone.

Najważniejsze jednak, że maskotki nie potrzebują sztucznej inteligencji, a nawet prymitywnych funkcji interaktywnych. Są przecież żywe w wyobraźni dziecka: to ważne narzędzie dla rozwoju, pozwalające na wyrażenie swojego głosu, rozmowę z samym sobą. Potęga dziecięcej fantazji jest większa niż cokolwiek, co jest w stanie zaoferować Dolina Krzemowa: w młodych rękach zabawkowe roboty działają nawet po wyjęciu z nich baterii.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

SŁOWO

Język nieżywy

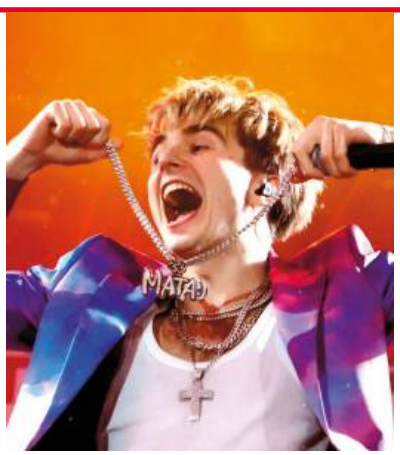

Rok temu w Muzeum Popkultury w Seattle przy gablocie poświęconej Kurtowi Cobainowi pojawiła się kontrowersyjna tabliczka. Była na niej informacja o przedwczesnej śmierci artysty, ale zamiast słowa *suicide* (ang. samobójstwo) znalazło się tam hasło *unalived himself*. Dosłownie: znieżywił się. Rzecz szybko zdjęto na skutek protestów, ale o powodach, dla których tabliczka w ogóle się pojawiła, pisze Adam Aleksic w książce „Algospeak", na którą powoływaliśmy się w zeszłotygodniowej POLITYCE w tekście o języku omijającym pułapki algorytmów. Te bowiem nie lubią słowa „samobójstwo" – zwiastuje niebezpieczną, ryzykowną treść i może skutkować automatycznym zmniejszaniem zasięgów piszącemu.

Unalive jest jednym z bezpiecznych zamienników. Pochodzi z wydanego kilkanaście lat temu komiksu o Spider-Manie, w którym postać Deadpoola mówi w ten sposób o tym, że chce kogoś „unieszkodliwić". W ostatnich latach przydało się to w sieci, a w końcu – jak potwierdza przypadek z Seattle – musiało się przenieść do realu.

Z polskim odpowiednikiem *unalive* nie jest łatwo. „Unieszkodliwić" to słowo stare i rzadziej dziś używane. Okazjonalnie pojawia się właśnie „znieżywić" („na jego miejscu bym się znieżywił" – brzmi komentarz na platformie X), dużo częściej jednak mówimy o „wylogowywaniu się". Najprościej: „wylogował się ze świata". Albo: „przeszedł na offline", które znalazłem w komentarzu przy zdjęciu nagrobka. Najpopularniejsze, ale trochę obok (nie da się nim opisać targnięcia się na własne życie), pozostaje pochodzące z żargonu graczy słowo „dednąć" (o którym szerzej było w POLITYCE 32/24).

To, że nie ma u nas prostego odpowiednika angielskiego eufemizmu, nie znaczy jednak, że tematu śmierci w języku nie trywializujemy. Weźmy przykład z tych najnowszych. Kiedy **Mata** rapuje na ostatniej płycie: „Mała, mów mi kamikaze, bo zaliczę zgon dziś", to ostrzega tylko o tym, że może się upić do nieprzytomności. Śmierć w języku nie jest tym, czym była, zanim zaczęły go cenzurować algorytmy: tę na poważnie opisują słowa niezbyt poważne, a naprawdę mocne terminy pozostają do opisania nie pożegnania z życiem, tylko chwilowej niemocy.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

Więc wynajmujesz kawalerkę, bo starych masz dosyć,
Będziesz tam zaliczać żywe i zaliczać zgony
Dwa Sławy, To już?, 2018 r.

Zaliczać – wyrywać, odbywać przygodne stosunki seksualne

eprasa.pl 9042e7cb93

PODRÓŻE

Galeria pod niebem

Zamiast leżeć na plaży na tunezyjskiej Dżerbie, turyści zwiedzają coraz chętniej jedną z najciekawszych galerii ulicznych w Afryce Północnej.

Na Dżerbie można iść i na plażę, i zwiedzać. Co kto lubi, ja zaczynam od obejrzenia jednej z ciekawszych w Afryce **galerii pod gołym niebem**. Bo tak chyba można nazwać Djerbahood w wiosce Erriadh. To niewielkie miejsce, w samym sercu wyspy, wypełnione jest setkami prac artystów z całego świata.

Djerbahood to inicjatywa lokalnego artysty kojarzonego głównie z twórczością uliczną. 11 lat temu, latem 2014 r., Mehdi Ben Cheikh wpadł na pomysł, żeby ściągnąć na Dżerbę ponad 150 grafficiarzy z różnych stron świata, w tym z Polski. Celem projektu Djerbahood było przybliżenie turystom mniej znanego oblicza kraju i wyspy, a prace miały nawiązywać po prostu do Tunezji, Dżerby i tego, co lokalne. Można więc zobaczyć postacie kobiet i mężczyzn w typowych dla wyspy ubiorach, arabskie ornamenty czy motywy znane z orientalnych baśni. Ściany budynków w Erriadh ozdobiło ponad 250 murali, a do stworzenia ich wykorzystano ok. 4,5 tys. pojemników sprayu. Murale znalazły się również na wioskowych drzwiach, podwórkach, a nawet skrzynkach pocztowych.

Pomysł na rewitalizację jednej z wielu zapomnianych wiosek, odległej od strefy turystycznej, okazał się strzałem w dziesiątkę. Nikt się nie spodziewał, że projekt przyciągnie tłumy zwiedzających, a zdjęcia ściennych obrazów obiegną cały świat.

Na zobaczenie wszystkich murali trzeba sobie zaplanować przynajmniej kilka godzin. Gubienie się w kameralnych uliczkach to jednak czysta przyjemność. Ale i wiele niespodzianek, bo żeby zobaczyć niektóre graffiti, trzeba zejść z głównego szlaku i po prostu zaglądać tu i ówdzie w bramy. To też dobra okazja, aby przyjrzeć się życiu mieszkańców wioski. Za kolejnym zakrętem spotykam dwóch artystów, którzy zdobią o dziwo wolną ścianę. Chociaż projekt Djerbahood był jednorazową akcją, ciągle pojawiają się w jego ramach nowe murale. Te, które zostały namalowane wcześniej, często niszczeją lub po prostu bledną. Część też znika, gdy mieszkańcy decydują się przeprowadzić remont lub wymienić elementy budynku. Na miejscu starych obrazów szybko pojawiają się nowe. Ekspozycja podlega więc nieustannym zmianom i modyfikacjom.

Galeria uliczna w tej małej wiosce zaczęła przyciągać turystów, ale to nie wszystko. Kolorowe ściany umieszczane na Instagramie sprawiły, że w Erriadh zaczęły pojawiać się też modne kawiarenki, sklepy z pamiątkami, starociami, jest nawet *concept store*. Jeśli będziecie w Erriadh, warto zajrzeć w jeszcze jedno miejsce, o ile będzie otwarte. W pobliżu znajduje się słynna synagoga Ghriba, jedna z najstarszych na świecie. Budynek dzisiejszej synagogi La Ghriba jest co prawda z XIX w., został jednak postawiony na miejscu świątyni, której wiek szacuje się na prawie 1900 lat. Erriadh to taka ukryta perełka wyspy. Niepozorna na mapie, w rzeczywistości okazuje się ucztą dla oczu i wyobraźni. Ciężko wyjechać, a pierwotnie planowana krótka wycieczka zamienia się często w całodzienną wyprawę.

Zamysł twórców projektu Djerbahood niewątpliwie zakończył się sukcesem, bo Dżerba stała się tunezyjskim centrum graffiti, a prace, jakie można podziwiać w tej chwili już niemal w każdym jej zakątku, są unikatowe i współtworzą niepowtarzalny klimat tego miejsca. Komu jednak będzie mało sztuki ulicznej w wiosce Erriadh, dużo jej znajdzie w Houmt Souk, uznawanym za główne miasto wyspy. Wiele prac powstało tutaj właśnie na fali zainteresowania uliczną twórczością. Ozdobione zostały ściany, przystanki autobusowe czy wnętrza kawiarni. A uliczni twórcy nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa. ■

Magdalena Gorlas – dziennikarka w podróży. Publikowała m.in. w „Chicago Tribune", POLITYCE, „Vogue'u", „Dużym Formacie" czy „Piśmie. Magazynie Opinii".

© MAGDALENA GORLAS (2), ARCHIWUM PRYWATNE, ADAM PAWŁOWSKI MS WINE ACADEMY, RAFAŁ MASŁOW

eprasa.pl 9042e7cb93

Niektórzy się z tego śmieją. W końcu, gdy lubimy np. jagodzianki, to nie zapisujemy się zaraz do Akademii Jagodzianek.

Wiedzy nigdy za wiele

WINO

Dla zainteresowanych sfermentowanym sokiem z winogron rozwijanie wiedzy to ważny element całości. Dlatego kursy wiedzy o winie, degustacje komentowane i różne „scholary" także w Polsce pękają w szwach.

„Scholar" odnosi się do Wine Scholar Guild, międzynarodowej platformy seminariów i kursów online, która w ostatnich latach odniosła ogromny sukces. Jej świetnie sformatowane kursy na różnych poziomach dostępne są dla każdego, kto chce głębiej zapoznać się z tematem. Na przykład z marszu można zacząć French Wine Essentials, oglądając interaktywne wykłady online, a element degustacyjny – bo oczywiście teoria to nie wszystko, żeby poznać winiarstwo danego kraju, trzeba skosztować samych win – uzupełnia się we własnym zakresie na podstawie proponowanej listy. Essentials to ok. 25 godzin nauki, które za 475 dol. dadzą nam wiedzę wystarczającą do swobodnego poruszania po świecie win francuskich.

Na drugim biegunie jest uruchomiony w zeszłym roku program Masters, gdzie wykładowcami są najwięksi specjaliści w danej dziedzinie – dla Bordeaux Masters są to np. najbardziej znany dziennikarz winiarski Andrew Jefford i regionalna ekspertka Jane Anson – to już 150 godzin nauki, uwieńczonych wymagającym egzaminem za, bagatela, 995 dol. Absolwenci będą za to wiedzieć o bordeaux (prawie) wszystko.

Spytacie – po co? Przecież bardzo dobrą butelkę wina z tego regionu można kupić za, powiedzmy, 100 zł, do tego dowolne kompendium wiedzy o winie z księgarni, nie mówiąc już o tym, że w internecie mnóstwo informacji dostępnych jest za darmo. No i po co w ogóle się nimi faszerować, zamiast po prostu z przyjemnością się napić? Co do tej przyjemności – będziemy jej czerpać więcej, wiedząc co nieco o temacie. Fascynaci/tki żużla, którzy wszystko wiedzą o parametrach maszyn i startujących zawodnikach, z pewnością lepiej się będą bawić na zawodach niż ktoś, kto pierwszy raz trafi na stadion. Oczywiście, wino można pić z przyjemnością bez bagażu naukowego, ale już do docenienia mineralnej nuty w niemieckim rieslingu albo niecodziennego bukietu w winie pomarańczowym z Gruzji trochę wiedzy i doświadczenia jest wręcz niezbędne.

Kursy Wine Scholar Guild czy choćby szkoła wina prowadzona przy piśmie „Ferment" przez Państwa uniżonego sługę adresowane są przede wszystkim do amatorów wina, którzy fascynują się nim po godzinach. Natomiast wśród profesjonalistów z branży winiarskiej potentatem jest WSET. Założona w 1969 r. brytyjska fundacja stworzyła standard, który utrwalił się na całym świecie. Cztery poziomy zaawansowania do dziś wyznaczają ścieżkę rozwoju dla blogerów, sommelierów, importerów, właścicieli sklepów winiarskich i winiarzy, wreszcie dla edukatorów, którzy sami chcą wiedzę o winie propagować.

Kurs WSET 1 można ukończyć w jeden weekend, by bez obaw poruszać się po podstawach winnej wiedzy i być przygotowanym na pytania ze strony gości czy klientów. WSET 3 to już kilkusetstronicowy podręcznik, dziesiątki regionów winiarskich i egzamin z degustacją win w ciemno (nie wiemy, co w kieliszku, i musimy jego zawartość kompetentnie opisać). Poziom 4 zaś – Diploma – można porównać do studiów podyplomowych, wymaga już wybrania się do Londynu albo Austrii. Z Diplomą w kieszeni zatrudnienie w branży winiarskiej – cierpiącej na chroniczny brak wykwalifikowanych kadr – mamy w zasadzie gwarantowane. Ale WSET jest też przydatny dla amatorów, którzy szukają ogólnokształcącego standardu.

Wojciech Bońkowski
– od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine. Chief Wine Officer w Studi Media, wydawcy pisma o winie „Ferment".

Polacy, jeśli chodzi o pęd do winnej wiedzy, ustępują w ostatnich latach tylko Chińczykom. Rozmaite kursy odbywają się w głównych miastach Polski w zasadzie co tydzień, a uznawane na całym świecie kursy WSET realizuje u nas kilka niezależnych ośrodków (adampawlowskims.pl, andrzejstrzelczyk.pl, winedukacja.pl, fermentmag.pl/szkola-wina). Koszt: od 1150 zł (WSET 1) do 4700 zł (WSET 3).

To co, widzimy się z kieliszkiem w ręku w ławie szkolnej? ■

This Wine Plants a Tree Sauvignon Blanc 2024, 19,99 zł (sklepy Lidl)
Sauska Tokaji Furmint 2021, 60 zł (2bratanki.pl)
Ghiomo Arneis Inprimis 2024, 99 zł (winecorner.pl)
Dr. Bürklin-Wolf Gaisböhl Riesling GG 2020, 179 zł (mielzynski.pl)

eprasa.pl 9042e7cb93

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Zakazać pokazów?

Po katastrofie polskiego F-16 w Radomiu w sieci mnożą się wątpliwości, **czy pokazy lotnicze w ogóle należy organizować, skoro mogą być tak groźne. Michał Fiszer, były pilot wojskowy i instruktor, na polityka.pl wyjaśnia, po co nam one.** Pokazy, tak jak defilady, to nie tylko widowiska, ale i bezpośrednie spotkania młodych cywilów z wojskiem, konieczne, jeśli chcemy mieć jeszcze ochotników w armii. Zwłaszcza że wróg nie śpi.

Episkopat straszy dzieci

Biskupi jeszcze nie złożyli broni, z uporem zniechęcają do zajęć z edukacji zdrowotnej (seksualizacja!) – piszemy na polityka.pl. Uczniowie są na ten przedmiot zapisani automatycznie. Do 25 września mogą ich jeszcze wypisać rodzice. Gotowe formularze podsuwają im parafie, a wtórują im w oburzeniu organizacje pokroju Ordo Iuris, politycy Konfederacji czy były szef MEN Przemysław Czarnek. Z naszych ustaleń wynika, że rodzice, nawet wierzący i praktykujący, nie dają się zastraszyć.

Wróg Trumpa nr 1

Donald Trump chciałby rządzić swobodnie i nie oglądać się na nikogo, ale ma poważną przeszkodę w postaci szefa Rezerwy Federalnej, czyli banku centralnego USA. **W podkaście „Portret polityka" Łukasz Wójcik przedstawia Jerome'a Powella, który jedną decyzją może wywołać potężne wahnięcia na giełdzie albo zmienić kurs dolara. I pilnuje inflacji, blokując szalone pomysły.** A Trump szuka sztuczek, żeby się go pozbyć. Ale to nie jest opowieść wyłącznie o Ameryce...

Rowery na zakręcie

Firma 7Anna to gigant w branży rowerowej. Ale złożyła wniosek o upadłość (o czym POLITYKA informowała jako pierwsza), wywołując spore poruszenie w środowisku. Co się zdarzyło, **czy kultowe i nagradzane rowery znikną z rynku i czy całej branży grozi wkrótce zapaść? Tomasz Cybula i Szymon Kobyliński, założyciele 7Anna, zdradzają kulisy w podkaście „Rowery, nie bajki"**. Uwaga! Rozmowy rowerowe Juliusza Ćwielucha mają odtąd nowy (osobny i stały) adres na YouTube.

Kogo obchodzi Taylor Swift

Taylor Swift i Travis Kelce ogłosili zaręczyny, przyćmiewając na niekrótką chwilę inne doniosłe wydarzenia na świecie. Parze pogratulowała Iga Świątek, powinszował nawet Trump (Swift poparła w kampanii Kamalę Harris). **Zaręczyny Taylor Swift okazały się kulturowym wydarzeniem. Choć są i tacy, którzy pytają: kogo to obchodzi? Odpowiadamy na polityka.pl.** Skąd ta powszechna ekscytacja i jak o nas świadczy – pisze Michał R. Wiśniewski.

GALERIA POLITYKI

JAN KOZA

© MARCIN BANASZKIEWICZ/FOTONEWS/FORUM, WALDEMAR DESKA/PAP, ALAMY/BE&W, ANNA AMAROWICZ, TAYLOR SWIFT & TRAVIS KELCE/ZUMA PRESS/FORUM

eprasa.pl 9042e7cb93

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
Pełny zakres badań

Diagnostyka
RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl 9042e7cb93

POLITYKA

Subskrybuj za 4 zł / tydzień przez rok

lub zapłać z góry 199 zł za rok

polityka.pl/powitalna

eprasa.pl 9042e7cb93